

NAVAL

Nie walczyliśmy za Afganistan.
Walczyliśmy za siebie.
Za GROM.

AFGANISTAN NA KOŁACH



BELLONA

NAVAL



AFGANISTAN NA KOŁACH

BELLONA
WARSZAWA

Spis treści

Nasz pierwszy raz

Baza Kandahar

Ze wspomnień gunnera

Ratuj chomika!

Ania, rakietka i oranżysta

Ambasada

Nasz, nie nasz świat

Pod liściem klonowym

Grunwald

Epilog

Projekt okładki i stron tytułowych: Paweł Panczakiewicz/PANCZAKIEWICZ ART.DESIGN
Redaktor prowadzący: Joanna Markiewicz
Opracowanie redakcyjne: Ewa Cieślak-Kaczyńska, Joanna Kłos
Redaktor techniczny: Marcin Adamczyk
Korekta: Grażyna Ćwietkow-Góralna, Joanna Markiewicz, Teresa Kępa

Copyright © for this edition by Dressler Dublin sp. z o.o.,
Ożarów Mazowiecki 2022
Copyright © by Naval 2022

ISBN 978-83-11-16739-1

Wydawca:
Bellona
ul. Hankiewicza 2
02-103 Warszawa
www.bellona.pl
www.facebook.com/Wydawnictwo.Bellona

Księgarnia internetowa: www.swiatksiazki.pl

Dystrybucja:
Dressler Dublin sp. z o.o.
ul. Poznańska 91, 05-850 Ożarów Mazowiecki
tel.: (+ 48 22) 733 50 31/32
e-mail: dystrybucja@dressler.com.pl
www.dressler.com.pl

Wersję elektroniczną przygotowano w systemie *Zecer*

Jestem zmęczony wojną i mam jej dość. Wojenna chwała to bzdura.
Tylko ci, którzy nigdy nie oddali strzału ani nie słyszeli krzyków
i jęków rannych, głośno domagają się krwi, zemsty, spustoszenia.
Wojna to piekło.

Słowa przypisywane
gen. Williamowi Tecumsehowi Shermanowi,
1863 rok

Miałem podobne myśli po powrocie z każdego kilkudniowego patrolu. Po
takim wyjeździe nieodzownym rytuałem było wydłubywanie z nosa
zaschniętych strupów oraz wypluwanie z zatok i płuc gęstej flegmy zmieszanej
z kurzem i całym tym afgańskim gównem, które wdychało się podczas jazdy
naszym zmechanizowanym taborem.

Pamięci chłopaków, którzy poświęcili swoje życie,
byście mogli żyć bezpiecznie
i czytać takie książki jak ta.

„Szczupły”
„Kaśka-Żuku”
„Diabeł”
„Ousi”
„Poziomka”
„Witek”
„Mirek”
„Krzychu”
„Gienek”
„Bartek”

Nasz pierwszy raz

Zanim wyruszymy na nasz pierwszy patrol, pakujemy do samochodów od cholery amunicji i jedziemy na strzelnicę – przewietrzymy się i poznamy najbliższą okolicę. Strzelnica oddalona jest o jakieś siedem kilometrów od bazy, znajduje się na południe od lotniska, już poza terenem osiedli przyległych do miasta. Jest nią ogromna piaszczysta pustynia ciągnąca się po granicę z Pakistanem. Z bazy wyjeżdżamy niezatrzymywani przez nikogo. Przekraczamy pierwszą bramę wyjazdową, służę, drugą bramę. Przyjaźnie machają do nas żołnierze pełniący służbę ochronną na posterunkach. Ostatnią bramę zajmują afgańscy policjanci, którzy salutują, stając na baczność. Chwilę po wyjeździe dostajemy info od wywiadu, że w okolicy rozdzwoniły się telefony i nastał w sieci szum alarmujący o tym, że z bazy Kandahar wyjechał patrol. Jadę drugi w kolumnie, przede mną humvee (HMMWV) z chłopakami z poprzedniej zmiany, którzy zostali nieco dłużej i wprowadzają nas w tajniki tutejszego funkcjonowania. Ci brodaci faceci pewnie mają już przed oczami pakowanie frachtu, ale jeszcze na ten jeden raz muszą przeobrazić się w nomadów. Zresztą ich długie brody świadczą o tym, że i tak nieomal się nimi stali.



Poradzieckie złomowisko

Na takich jak my patrzą w bazie trochę jak na szaleńców, którzy wyjeżdżają z bezpiecznej fortecy na kilka dni w teren. W okolicy jedyną władzą stanowią rodziny klany – co nie oznacza talibów. Teren, po którym jeździmy, to miejsce, w którym prawdopodobnie nigdy nie widziano białego człowieka; nie było tam do tej pory wojsk koalicji, co więcej, nawet Ruscy się tu nie zapuszczali. A nasi – tak. Dlatego gdy wyjeżdżamy, nikt w bazie nie pyta, dokąd i po co, tylko zerkają na nas jak na straceńców czy ludzi niespełna rozumu. Tutejsza wojna, jak każda, ma swoją specyfikę: regularne wojska koalicji sprawują, a przynajmniej tak im się wydaje, kontrolę nad miastami i głównymi ciągami komunikacyjnymi, bezapelacyjnie zaś panują w powietrzu. W teren, poza główne drogi, wyjeżdżają praktycznie tylko żołnierze jednostek specjalnych, ale moim zdaniem to ci z jednostek konwencjonalnych mają dużo gorsze zadania. To oni, jeżdżąc głównymi drogami, są łatwym celem, my zaś będziemy poruszać się tak, by nie być zwierzyną łowną, a drapieżnikiem.

Za bramą nie przemierzamy się drogą, tylko pierwszym z możliwych zjazdów kierujemy się na bezdroże. Samochód skrzypi tak okropnie, jakby zaraz miał się rozpaść na wiele kawałków. Gdy naciskam pedał gazu, by utrzymać odległość za pierwszym pojazdem, który właśnie mocno przyspieszył, czuję, że moc silnika nie pozostawia złudzeń: pod maską silne mechaniczne konie rwą się do roboty. Jak ja lubię ten odgłos, wracają irackie wspomnienia...



Miejsca walk usłane poradzieckim sprzętem

Teren poza bazą jest strasznie zaśmiecony: mnóstwo reklamówek, plastikowych butelek, szmat – jak na dzikim wysypisku. Nie lubię takich miejsc. Przemierzamy ten bajzel z dobry kilometr, a następnie przejeżdżamy przez stromy ziemny wał i kierujemy się w nieco dziwne jak na tutejsze realia miejsce. Trzy żółtawe, podobne do tych z naszych polskich osiedli dwupiętrowe bloki wyglądają na tym pustkowiu co najmniej osobliwie. Wokół nich biega chmara dzieciaków. Wydaje się, że im bardziej się zbliżamy, tym więcej jest tych urwisów. Z radia pada komunikat, by nikt nic dzieciakom nie dawał, zrobimy to w drodze powrotnej. To zresztą nie widok dzieci przykuwa w pierwszej kolejności moją uwagę. Raczej to, że każdy z bloków ma w samym środku wyrwę, taką od dachu po parter. Takie wyrwy są pozostałościami po trafieniu pociskiem.



Poradzieckie bloki na przedmieściach Kandaharu

Bloki to relikwiny po rosyjskiej obsłudze lotniska. Podobnie jak u nas, Ruscy, chcąc się zadomowić, budowali dla swoich szeregowców bloki z wielkiej płyty. Dziś w Polsce hula w nich już wiatr. Mamy w nich świetne miejskie obiekty treningowe. Tu zaś, niezależnie od stanu, w jakim się znajdują, tętnią życiem. Pełno dzieciaków, pod blokami na ławkach siedzą dorośli i przypatrują się nam, nie wyrażając jakichkolwiek emocji. My podobnie: patrzymy na nich i jesteśmy jakby niemymi obserwatorami ich codzienności. Gdy suniemy dość sprawnie pod oknami bloków, przed oczyma migają mi zaskakujące obrazy. Zostawiamy bowiem to dziwne miejsce za sobą i otwiera się przed nami szeroka pusta przestrzeń. Jadąc, rozwijamy się w szyk, tak by żaden z samochodów nie jechał w kurzu poprzednika i każda załoga miała dobry wgląd w teren. Często tak jest, że zakładana taktyka różni się od tego, co zastaniemy na miejscu. Jadąc jeden za drugim, minimalizowalibyśmy co prawda ryzyko wjechania na minę – no, ale jak patrzę na to, co unosi się z ziemi po przejeździe pierwszego samochodu, to dziękuję za poruszanie się w takiej chmarze brązowego kurzu.



Bloki po trafieniu pociskiem

Po parunastu minutach słycać z eteru krótki komunikat: „jedna minuta”, a po chwili: „to tu”. Nietrudno odgadnąć, że to faktycznie nasze miejsce docelowe. Ustawiamy się w linii, a przed nami piękny widok: pustynia, taka prawdziwie piaszczysta. Dwieście pięćdziesiąt kilometrów piasków, zaś za nimi pasmo Sulaiman, góry, które są przedłużeniem południowego masywu Hindukuszu. Granicę afgańsko-pakistańską stanowią praktycznie tylko takie pasma, o długości aż 2430 km.

Czy podczas przestrzeliwania broni coś nas ogranicza? Nie. Może kierunek prowadzenia ognia. Jeśli jest południowy, to do dzieła. No, prawie, bo jak to ze snajperami... pojechali w cholerę na pięćset, tysiąc i jeszcze dalej metrów, tak że prawie ich nie widać, by porozstawiać swoje snajperskie cele. Wreszcie po dobrych dwóch tygodniach pakowania się i przerzutu na raty nastął czas, że możemy poczuć zapach prochu. Trochę dajemy upust swym wojowniczym skłonnościom do demolki i niszczymy tarcze, beczki i palety porozstawiane na przedpolu. W firmie szkolono nas przede wszystkim w walce na niewielkich odległościach, a dosłownie w pokojach, korytarzach, budynkach, mieście. Tam każdy strzał musiał być precyzyjny. Tu natomiast mamy teraz okazję powalić trochę dalej. Sto, trzysta czy nawet pięćset metrów – i to nie ogniem takim na maksa celowanym, a seriami z pozycji, jaką kto uzna za dogodną: stojąc, klęcząc, leżąc.

Nasze karabiny grają muzykę, która koi – możecie w to nie wierzyć, ale tak jest. Największą frajdę mają pewnie gunnerzy, bo ich karabiny dudnią prawie jak działa:

walą głośno i daleko, siejąc na przedpolu spustoszenie w poustawianych paletach. To właśnie na tę chwilę w swej wojskowej karierze każdy z nas czekał. Mam poczucie satysfakcji, poniesienia sensownego wysiłku i poświęcenia, które było niezbędne, by dostać się do GROM-u. Wiem, że każdy z nas zdarł do kości piętę, zarywał noce, ucząc się zagadnień operacyjnych, słał się na nogach z niewyspania i na zmęczeniu ćwiczył taktykę. Marzył, pocił się, nie miał wolnych weekendów, nie spędzał błogich popołudni nad Wisłą, popijając piwo... Jeszcze długo mógłbym wymieniać, z czego musieliśmy zrezygnować, ale było warto. To nagroda – móc stać na skraju afgańskiej pustyni i strzelać, ile dusza zapragnie, a lufa wytrzyma.

Lufa z mojego minimi zaczęła parować rozgrzanym mirażem, po wystrzeleniu dwunastonabojowej taśmy zmieniam ją na nową. Podnoszę klapę i zaglądam do wnętrza broni. Widzę tam sporo mosiężnych opiłków, które starły się z łusek po kolejno ładowanej do komory naboջowej amunicji. Dwieście sztuk wystrzelanych seriami pocisków odbyło się bez zacięcia, to dobry znak. Pędzelkiem czyszczę i wydmuchuję zabrudzenie – zmiana lufy i drugie dwieście. FN Minimi 5,56 to dobra broń, zaprzyjaźniliśmy się już w naszych Bieszczadach podczas strzeleckich przygotowań, a teraz, w tym pylistym środowisku, w którym czuję, że non stop oddycham pustynnym kurzem, karabin maszynowy też daje radę.



Pustynna strzelnica. Dopóki nie zmieni się dowódca, włosów nie zetnę

Jeżeli na tym bożym świecie można poczuć się wolnym, to właśnie w takiej chwili. Takie mam odczucie. Wyjechaliśmy z bazy o drugiej w nocy, by pod osłoną ciemności uciec od ciekawskich spojrzeń, ale po drugiej stronie, tak jak i u nas, ktoś nie spał. W tej robocie ktoś zawsze czuwa. Chwilę po naszym wyjeździe wywiad doniósł, że wśród miejscowych rozeszło się info o kolumnie czterech aut wyjeżdżających z bazy Kandahar. To dla nas zła wiadomość, ale ma i dobrą stronę. Po chwili bowiem dowiadujemy się, że przeciwnik nie może ustalić, w którą stronę się udaliśmy po wyjechaniu z miasta. Prowadząc humvee, jesteśmy wyposażeni w noktowizory, nie potrzebujemy do jazdy świateł drogowych, więc szybko znikamy w afgańskim mroku.

Pierwszy odcinek drogi pokonujemy dość szybko, poruszamy się po dobrej jakościowo asfaltowej drodze, która jest oznaczona na mapie jako trasa A75. W linii prostej kieruje się ona ku przejściu granicznemu z Pakistanem w Spin Boldak. Gdy tak jedziemy ciemną nocą, przypominają mi się irackie czasy. Wtedy, w kolumnie kilku humvee razem z żołnierzami Navy SEALs siedzieliśmy sobie dosłownie na błotnikach, mknęliśmy jak duchy irackimi autostradami z prędkością w granicach stówy na godzinę. Tu z kolei dość szybko zjechaliśmy z drogi na otwartą przestrzeń, by toczyć się ociężale po bezdrożach, polach i pagórkach. Choć Afganistan to przeważnie górzysty kraj, tylko mijamy potężne górskie masywy i kluczymy pomiędzy nimi, teren jest dosyć płaski. Staramy się zachować taktyczny dystans od stromych ścian pobliskich gór.

Zaczyna świtać – to chyba pierwszy tak chłodny poranek końca lata. Przekręciłem nagrzewnicę na maksymalne obroty, trochę zakłóca ona skrzypienie humvee. Wiem, że z czasem przyzwyczaję się do odgłosów, które wydaje, ale obecnie martwię się bardziej tym, że zaraz się rozlecimy: wszystko rzezi i skrzypi. Podczas roboty w Iraku przywiązywaliśmy ogromną wagę do dźwięku. Gdy jechało się ulicami nocnego Bagdadu, każdy szelest, zgrzyt blachy o blachę był ogromnym zagrożeniem, bo nie mogliśmy pozwolić, żeby nas wykryli. Jadąc tu, skrzypimy, zgrzytamy, blachy i wyposażenie stukają o siebie, dosłownie trzęsiemy się na nierównościach jak rzymski tabor. Może nas nie widać, ale słychać – tak jakby złomowisko jechało. Jesteśmy poubierani w puchowe kurtki. Naszej trójce tu w środku jest w miarę ciepło, ale Karol, stojąc w wieżyczce jako operator na gunnie, marznie pewnie do połowy, no a Grzesiek na pace, mimo że mocno opatulony, szczęka zębami z zimna. Temperatura trzyma się w granicach zera i jest bezwietrznie, co widać po kurzu – unosi się i opada w tym samym miejscu, w którym poderwały go przejeżdżające koła.



Widok na afgańską wioskę składającą się z kilku kampandów

Wstaje świt. Najpierw jest nieprzyjemnie szaro, co potęguje odczucie zimna, gdzieś tam pokazują się pierwsze promienie słońca, ale akurat w tej chwili jedziemy ku górze, która jeszcze przez dobre pięć kilometrów kryje nas w swoim cieniu. Zaczynam patrzeć na otaczającą nas przyrodę. Na pierwszy rzut oka to tu, kurde, nic nie ma. Zmierzamy w kierunku południowo-wschodnim, po prawej mamy ogromną pustynną piaskownicę, tę, która kilka dni temu była naszą strzelnicą. Dziś w szarawym poranku wygląda na smutne miejsce pozbawione kolorów. Po lewej stronie widać ciemną ścianę górskiego masywu, który na mapie komputerowego monitora pozbawiony jest nazwy. Zaczynam zwracać uwagę na podłoże, po którym się przemieszczamy. Jadąc na noktowizji, należy poruszać się trochę bezwiednie za pierwszym pojazdem. Ja jako drugi w kolumnie po prostu jadę po śladach – on przejechał, to i ja dam radę. Trochę cyrku było podczas przekraczania wyschniętego koryta rzeki, kolejnego miejsca pozbawionego nazwy. W korycie drogę przejazdu grodziły nam ogromne kamienie, takie rzeczne otoczaki, i trzeba było się sporo namanewrować, omijając je. Teraz przejazd jest dość prosty. Przemieszczamy się granicą pustyni i skalnego podłoża góry. Gdzieś tam świeci już słońce, widać to po rumieniącym się w oddali piasku pustyni, a my w rękawiczkach, czapki na głowach, nikt się do nikogo nie odzywa.

Mija czwarta godzina naszego pierwszego patrolu, tę ciszę, a raczej skrzywienie, zakłóca głos nawigatora oświadczający, że za pięćset metrów robimy postój. Michał odebrał ten komunikat, odpowiadając ze stoickim spokojem i lapidarnie:

odbiór. Zerkam z nadzieją, że wyjedziemy za górę, by ogrzać się w słońcu, ale niestety. Komfort podczas działania spada na ostatnie miejsce w rankingu dotyczącym taktyki. Zatrzymujemy się w ugrupowaniu obrony okrężnej, jeszcze w cieniu góry, praktycznie na granicy nocy i dnia. Tym umiejscowieniem pewnie najbardziej zawiedzeni są gunnerzy. Muszą jeszcze chwilę wytrzymać. Wychodzę z samochodu rozprostować kości, zerkam na Grześka i jego karabin: pokrywa go szron, tak jak i większą część samochodu. Do podstawy masywu mamy dobry kilometr, a po jego drugiej stronie znajduje się samotna osada.

Taką miejscową zabudowę nazywamy potocznie kampanDEM. Składa się ona zazwyczaj z kilku budynków i przylegającego do nich poletka, a całość otoczona jest glinianym murem. Z daleka widok takiego gospodarstwa jest bardzo malowniczy. Jakieś trzy kilometry za kampanDEM leży wioska składająca się z kilku kampanDEW, za wioską zaś nasz cel, czyli wspomniana trasa A75, której to chcemy się przyjrzeć. Ten odcinek drogi pomiędzy Kandaharem a Spin Boldak jest ważnym miejscem komunikacyjnym na mapie Afganistanu: po drugiej stronie granicy, w Pakistanie, otworzono właśnie połączenie kolejowe miejscowości Chaman z resztą kraju, co spowodowało wzmożenie transportu i po tej stronie granicy.

Wreszcie padają i na nas zbawienne promienie słońca – wychodzimy spod przykrycia w postaci mroku. Grzesiek z Karolem nawet się nie ruszyli ze swoich pozycji. Siedzą jak w kokonach wpatrzni w obrany sektor, a Przemo zabrał się za gotowanie wody. Praktycznie nikt się nie odzywa, a jak już, to tak przez zęby, jakby to miało pomóc w zatrzymaniu ciepła. Słońce po raz kolejny udowadnia, jaką ma moc. Myślę, że nie minęło pięć minut, a już odtajaliśmy na całego. Odtajanie ma to do siebie, że wraz z nim wraca humor i zaczyna być gwarno. O zachowaniu ciszy nie ma tu mowy, widać nas jak na dłoni, a schować się nie ma jak. Na każdym gunnie zostaje obserwator, więc mamy cztery pary oczu, a pozostali mają czas dla siebie, czyli na śniadanie i kawę. Jest szósta rano, więc dość wcześnie, mnie zaś w takich okolicznościach przyrody nic tak dobrze nie smakuje jak kakao z amerykańskiej racji żywnościowej MRE. Robimy sobie dwie godziny przerwy, które szybko mijają.

Zrywa się lekki wiatr i choć świeci słońce, to taki zimny powiew potrafi zmrozić do szpiku kości. Ruszamy tą naszą ociężałą karawaną w stronę wytyczonego zadania. Dajemy sobie dwie godziny na dojazd, by w okolicach drogi być około godziny jedenastej i zająć pozycję nie dalej niż kilometr od A75. Teraz dopiero mogę zobaczyć, jak w całej okazałości wygląda ten nasz patrol. Pierwszy samochód lekko kluczy, poszukując najlepszej drogi, ja za nim staram się jechać po śladach, wiatr wieje z boku, więc nie najemy się kurzu. Słońce osuszyło już podłoże zroszone poranną rosą, toteż przez wszystkie możliwe szczeliny zaczyna

się wdzierać do kabiny pył. W środku mamy pylastą zawieszinę. Teraz to my zazdrościmy chłopakom na zewnątrz: oni oddychają świeżym powietrzem, mnie kręci w nosie i pieką oczy. Kulamy się bardzo powoli po pustyni. Teren nieco pofałdowany ustąpił miejsca podłożu o skalistej nawierzchni z luźno rozsypanymi kamieniami. W okolicy nie ma żadnej utwardzonej drogi poza tą, do której mamy dojechać, obierając północny kierunek. Przejeżdżamy przez prawie puste koryto rzeki, tylko jakiś lekko wijący się strumyk dzieli nas od drugiego brzegu.



Kampand

Taki widok jest miłą odskocznią od otaczającego nas krajobrazu. Gdy zaś wyjeżdżamy na drugą stronę, zaskakuje nas kolejny dziwny pejzaż. Po lewej mijamy bowiem jakieś zabudowania, które z daleka wyglądają na niezamieszkane. Zresztą, patrząc na krajobraz, ciśnie się na usta nieeleganckie pytanie, kto by tutaj chciał żyć i mieszkać, a jednak... Drugą stroną brzegu rzeki wjeżdżamy na teren, który wygląda na porzucone uprawne pole oddzielone od siebie ziemnymi wałami, takimi maksymalnie do pół metra. Przejeżdżam przez ten wał pod skosem, jedno koło, drugie, trzecie i czwarte kolebią się delikatnie. Mam też w pamięci, że na pace nie wiozę worka ziemniaków, a swojego dowódcę sekcji.

Zresztą, patrząc na nasze rozstawienie i funkcje na pojazdach, to tu żaden stopień nie ma znaczenia. Wszyscy na równi robimy tę robotę, przeszliśmy taką samą selekcję, podczas której wszystkich obowiązywały te same kryteria. Potem przyszedł czas na takie samo szkolenie, ten sam wysiłek, ten sam upór, a teraz to

samo działanie. Na pace wiozę więc nie dowódcę, a przyjaciela, o przyjaciół zaś trzeba dbać, więc każdy z naszych samochodów przetacza się przez kolejny i kolejny ziemny wał z wyczuciem.

– Co za francowate podłoże – słyszę z góry klnącego Karola. Z ziemi, która zapewne od czasu do czasu bywa uprawiana, unosi się gęsty pył przenikający do samochodu. Muszę owinąć głowę arabską chustą, mrugając, w oczach czuję piasek. Takiej jazdy mamy jeszcze z godzinę. Przejeżdżam pięćdziesiąt, czasami sto metrów ornego terenu, następnie zwalniam prawie do zera i pokonuję kolejno każdym kołem z osobna ziemny wał. Tu wzbija się jeszcze bardziej brązowawy bąbel wdzierającego się do kabiny syfu, z tym balastem kolebię się do następnego wału, wzbijając kolejną chmurę. Pył ma konsystencję rozsypanej mąki, jest gęsty i wisi w powietrzu, nie chcąc opaść.

Michał, mający taktycznego laptopa z wgraną satelitarną mapą, wlewa w nas nadzieję, że to już niedługo, widzi to na monitorze, który online pokazuje położenie naszej kołowej karawany. Po chwili słyszę Karola obwieszczającego „no wreszcie”, a przez zakurzoną jak cholera szybę widzę, że faktycznie ziemia z brudnoszarej zmienia kolor na czerwony, pewnie nawet opony odetchnęły, wjeżdżając na twardą skałę. W nosie czuję suchą skorupę, od tego kurzu chce mi się rzygać... zatrzymujemy się na chwilę, by przewietrzyć środek auta. Smarkam i pluję, ale to nie pomaga, więc wlewam sobie trochę wody na dłoń i wciągam ją przez nos, rozmiękczając to, co w nim powstało. Charkam, pluję, zresztą wszyscy pozwalamy sobie na podobne zabiegi, pewnie nasze płuca wyglądają jak worek w dawno nieczyszczonym odkurzaczu.

Dalej ruszamy już nieco szybciej, ale dokucza jak nie kurz, to słońce. Koło dziesiątej zaczyna całkiem mocno palić, zaś wraz z wybiciem jedenastej czuję, że prażymy się jak w mikrofalówce, która w ekspresowym tempie podgrzewa danie składające się z chłopaków z Marsa.

Co za kraj – w nocy zimno jak cholera, a jak wychodzi słońce, to człowiek wystawiony jest jak na patelni, żadnego cienia. Ten był rano za górą i to wtedy, gdy akurat nie był potrzebny. Zaczynam wyrastać na malkontenta. Choć nikt z nas tego głośno nie mówi, pewnie wszyscy czujemy to samo. Moje wewnętrzne rozważania zakłóca Michał, który do tej pory w skupieniu pracował na komputerowej mapie. Pojawił się na jego twarzy uśmiech wraz z pierwszym taktem muzyki, którą udało mu się odpalić z laptopa. I tak do dźwięków skrzypienia wydawanych przez humvee dołączyli Lady Pank z utworem *Kryzysowa narzeczona*, a zaraz po nich mocnym głosem zaśpiewał Krzysztof Krawczyk. Do naszych uszu dotarła melodia i słowa piosenki:

Chciałem być marynarzem

*Chciałem mieć tatuaże
Podróżować, zwiedzać świat
Pięknie żyć, garściami życie brać.*

Lepszej piosenki do czasu i miejsca, w którym się obecnie znajdujemy, nasz dowódca już nie mógł dobrać. Mamy już pewnie hymn na cały pobyt w Afganistanie. To nasz pierwszy bojowy wyjazd z bazy – docieramy się. Można przyjąć, że już za parę tygodni obecne niedogodności nawet nie będą odczuwalne, przełączymy się na tryb zadaniowy. Wtedy zimno, kurz, piach... uznamy, że to taka robota: jest zima, musi być zimno.

Jedna minuta, podaje nawigator. Michał lekko zachrypniętym od kurzu, a nie od śpiewania głosem potwierdza – odbiór. Do naszego celu mamy w linii prostej, tak jak założyliśmy, około kilometra. Przez miraż nawet bez lornetki widzę sunące po drodze piętrowe ciężarówki, które są charakterystycznym obrazem dla afgańskich dróg. Rozstawiliśmy się taktycznie. Czas na to był najwyższy – godzina jedenasta minut trzydzieści. Z nieba leje się płomienny żar. Ja, zgodnie z zakładaną rutyną, biorę się za tankowanie potwora; żre ten samochód tyle, ile mu się należy. Według instrukcji humvee powinien palić w granicach dwudziestu litrów na 100 kilometrów. Bak jest sporej pojemności i pomieści dziewięćdziesiąt pięć litrów, ale nasza prędkość, trudny teren i ciężar powodują, że opróżniliśmy już pierwszy dwudziestolitrowy kanister, choć nie przejechaliśmy więcej niż pięćdziesiąt kilometrów.



U podnóża masywu górskiego jeden z naszych humvee wygląda jak drobinka

Michał zdecydował, że zostajemy tu na trzy godziny, ale bez rozbijania taboru. Pozostajemy w takiej połowicznej gotowości; do drogi jest blisko, jesteśmy widoczni, więc musimy być mobilni. Trochę się odkurzyłem i zerkam na humvee, zapisując pomysły, jak udoskonalić tę naszą brykę – już wiem, czego mi w niej brakuje. Na bank na tylnych drzwiach po mojej stronie zamontuję pojemnik z wodą. Przyspawam noszak, taki na miarę, by wsuwać odwrócony do góry nogami kanister – dzięki temu będziemy mieć bieżącą wodę. Poza tym kanistry na wodę mają kraniki – teraz, chcąc się umyć, lejemy sobie wodę nawzajem. Do tego na każde okno niezbędna nam będzie zasłonka do zamontowania, a Grzesiek na pakę potrzebuje baldachimu dającego cień, podobnie Karol. Próbnie rozstawiamy siatkę maskującą – cień z niej jest mizerny, a słońce pali niemiłosiernie nawet pod nią. Dlatego już wiem, że pod siatką umieszczę brezent – wtedy cień będzie całkowity. Co poza tym? Odciągi i stelaż naciągający siatkę maskującą są w miarę OK, ale i tak zamontuję wszystko po swojemu jeszcze raz i wymienię odciągi na nowe.

Na drodze nic się za bardzo nie dzieje, snajperzy odpowiedzialni za obserwację liczą ciężarówki. Później porówna się: ile z nich dotrze do Kandaharu, a ile rozmyje się po drodze, zjeżdżając w nieznane, by ominąć rządowe posterunki. Korzystam z okazji i krótko drzemię na moim reżyserskim krześle przywiezionym jeszcze z Iraku. Zostaliśmy tu jednak nieco dłużej i nastąpiło całkiem przyjemne popołudnie. Gdy spałem, nic mnie nie ominęło: Karol mówi, że tylko w pobliżu przeszło stado kóz z przestraszonym pasterzem, a drogą jechał autobus, który na

dachu wiozł drugi, i to większy. Zapada decyzja, że się zbieramy. Czas na demonstrację siły: pokaz, że są tu wojska koalicji i kontrolują sytuację. Inaczej mówiąc, trochę takie strozenie piórek.

Podjeżdżamy do drogi i suniemy równolegle do niej. Po pokonaniu nie więcej niż dwustu metrów dostrzegamy, że nasza obecność tu jest zauważalna: kierowcy zwalniają, niektórzy wręcz nie są pewni, czy mogą jechać dalej. My zaś nikogo nie zatrzymujemy, po prostu jedziemy, snując się powoli w stronę granicy z Pakistanem.

Gwiazdzista i totalnie cicha noc nastąpiła nieco szybciej, niż rano budził się dzień. Trochę kluczymy, już po ciemku, tak by się dobrze ustawić. Dobrze, czyli w takim miejscu, by nikt nas nie mógł podejść, zresztą nie ma jak nas znaleźć w tej ciemności na odludziu. Wywiad milczy, w eterze cisza, toteż nikogo wyposażonego w łączność radiową nie ma w okolicy. Jeżeli można powiedzieć, że nie ma nic, to jesteśmy w takim właśnie miejscu, poza nami nicość. Pamiętam podobne niesamowite noce, które miały miejsce podczas operacji na wodach Zatoki Perskiej, czasami było tak cicho, że dało się słyszeć ocierającą się o poszycie naszej łodzi MKV wodę, tu teraz nawet żadnego szmeru nie ma.



Afgańskie poranki potrafiły być magiczną grą światła i cienia

Dziś testujemy nasz wewnętrzny system łączności. Ja jako kierowca obstawiam wartę – jest nas pięciu, więc czuwamy po godzinie. Za pięć godzin, o drugiej w nocy, wracamy do bazy, w linii prostej mamy około 70 km, więc powinniśmy

wrócić koło siódmej rano, taki plan. Teraz, uzbrojony w termowizor – nowoczesną broń, a dokładnie lornetkę termowizyjną – strzegę snu chłopaków. To niesamowicie przydatne i inteligentne urządzenie pozwala na wykrycie obiektu, który emituje fale cieplne, czyli człowieka, zwierzęcia, maszyny. W miejscu, w którym się ustawiliśmy, mamy podgląd na otwarty teren na dobre dwa kilometry, czyli tyle, ile pozwala lornetka. Patrząc przez nią na rozgrzaną pustynię, widzi się jasnożółty kolor, który oznacza ciepło, lub czerwony kolor – to gorąco. A gdy przełączam kolory na chłodne, widzę zimne barwy: niebieski, ciemnoniebieski... Człowiek w ubraniu będzie wyróżniał się na tle pustyni jako chłodniejszy odcień. Nie ma jak się ukryć przed tym urządzeniem, trzeba by się ubrać w folię RSC, ale szeleszczącą postać w tej ciszy usłyszelibyśmy z kilometra. Wreszcie nastał czas, że wraz z umiejętnościami, dobrą bronią i kamizelkami taktycznymi jesteśmy wyposażeni również w optoelektronikę.

Do pełnego żołnierskiego szczęścia brakuje nam własnych pojazdów, śmigłowców, samolotu i satelity, ale jak wiadomo, nie od razu Kraków zbudowano, któreś pokolenie naszych żołnierzy się doczeka, oby generałowie i politycy zdążyli przed kolejną wojną. Z lektury wspomnień radzieckich żołnierzy wiem, że to właśnie noc była tym czasem, w którym nieuważni wartownicy stawali się łatwym celem dla mudzahedinów. Ponoć przyłapani przez swoich na spaniu na warcie żołnierz wracał kolejnego dnia do domu jako „bohater” w cynkowej skrzyni. U nas zaśnięcie nie wchodzi w grę, nawet nie wiem, kiedy minęła moja godzina. Termowizor oraz rozmyślanie o mudzahedinach i młodych Rosjanach sprawiły, że mój czas szybko zleciał.

Wyposażony jestem w jeszcze jeden wynalazek, nie żaden cud techniki, ale sprawdza się idealnie. Jest nim sznurek, którego drugi koniec przywiązany jest do palca Michała. Szarpiąc za sznurek, budzę Michała, on przewiązuje sznurek na palec Karola i nie opuszczając stanowiska, dokonujemy rozprowdzenia wartowników na warcie; rozprowdzający kapral do parady jak w wojsku tu nam jest niepotrzebny.

Cztery godziny snu w ciepłym śpiworze minęły jak zawsze szybciej niż godzinna warta... Zerkam w niebo. Jest gwiazdziste, a gwiazdy widać tak blisko nas, i to nie tylko te w zenicie, ale i te dostrzegalne po sam horyzont. Całe niebo zasiane jest mrugającymi w naszą stronę konstelacjami. Można poczuć się częścią kosmosu, częścią nieba... to jeszcze Ziemia czy już Mars? Mars, i to całkiem prawdziwy.

Czar nocy prysł po ujechaniu dwóch kilometrów, znowu wpakowaliśmy się w jakieś pyliste gówno, czuję, że moje nozdrza, gardło i płuca napełniają się kurzem. Jadę na noktowizji i nawet w niej widzę tumany kurzu unoszące się za pierwszym samochodem. Kilometr, dwa, dziesięć, godzina, dwie... na zegarku

szósta, nikt się nie odzywa, kto może, ten pewnie przysypia, kierowcy i gunnerzy robią swoje. Jedną z ważniejszych funkcji podczas patrolu sprawuje nawigator, ja jadę tam, gdzie on mi wyznacza drogę, Michał pewnie mógłby też przymknąć oko, ale całą drogę dubluje robotę nawigatora, potwierdzając słuszność wyboru trasy z tym, co widzi na satelitarnej mapie w laptopie, Przemo zresztą zameldował do bazy, że wrócimy zgodnie z planem. Poranek wstaje podobny do tego wczorajszego, witamy szarawy świt, zerkam na zegarek – siódma. Wreszcie kawałek asfaltu, mocno przyśpieszamy, za każdym z naszych samochodów zaczyna wirować rdzawy kolor pyłu zwiewanego z auta. Wreszcie nastąpiła chwila, w której możemy zanucić za Krawczykiem:

*Przemierzyłem cały świat od Las Vegas po Krym
Zgrałem tysiąc talii kart, które lubią dym
Skasowałem kilka bryk, nie żałuję dziś
Nie żałuję dziś.*

Jak zmiana miejsca pracy potrafi zmienić podejście do wykonywanej czynności... Pracując jako ślusarz–spawacz w Raciborskiej Fabryce Kotłów RAFAKO, zasypiałem z niechęcią, wiedząc, że po przebudzeniu będę musiał pojechać do fabryki, przebrać się w „arbajtancug”, wejść na halę produkcyjną i zająć się pracami ślusarsko-spawalniczymi. Teraz głowę mam pełną pomysłów ślusarsko-spawalniczych i sam się do tej roboty garnę, wręcz jestem wdzięczny za tamtą robotniczą szkołę. Gdy pojawia się potrzeba, wiem, gdzie, co i jak przyciąć, zeszlifować i czy da się jedno z drugim zespawać, ale wpierrw jest do rozwiązania ważna kwestia, skąd pozyskać materiał do moich konstrukcji? Tu kłania się irackie doświadczenie, całą pracę muszę rozpocząć od wizyty na pobliskim złomowisku. Takie miejsce już tradycyjnie traktujemy jak magazyn rzeczy komuś niepotrzebnych, a innym bardzo. Jestem umówiony z Tylutem na popołudnie, musimy się śpieszyć, by czasem inni modernizatorzy nas nie wyprzedzili. Na takim złomowisku zawsze znajdzie się coś cennego. Teoretycznie ląduje tam już niepotrzebny materiał, za to inni pozyskują go jako cenne znalezisko. Zresztą wyjeżdżając z Iraku, na podobne miejsce sporo gratów zabraliśmy z myślą, że się komuś przydadzą.



Nie tylko Polak potrafi

Znowu uciekłem myślami, a tu już brama wjazdowa stoi otworem. Pierwszą przejechaliśmy witani na baczność przez Afgańczyków, w drugiej nikt nas o nic nie pyta, nie sprawdza przepustek, widać, że jesteśmy swoi, jesteśmy w domu. W domu? Kiedyś wymyśliłem powiedzenie: tam dom twój, gdzie skrzynia twoja, moje są tu pod łóżkiem w bichacie, ale zanim do niej wejdem, smarkam i kaszlę, tak że prawie wypluwam płuca. I to nie ja jedyny. Przed wejściem ściągamy ciuchy – jestem zakurzony, jakbym w młynie pracował; inni poszli jeszcze dalej, udając się pod prysznic tak jak stali, w mundurach, czyli robią przy okazji pranie. Musimy się śpieszyć, śniadanie jest do dziesiątej, a po powrocie nie ma czasu na lenistwo, tylko trwa tankowanie pojazdów i choć powierzchowna obsługa broni. Minimi nawet nie wyciągnąłem z auta, a wygląda, jakby przeszła długi bojowy szlak. Tu na miejscu mamy dwa kompresory, cztery węże, sprężone powietrze doskonale radzi sobie z pyłem. Wreszcie czas na prysznic, niestety ciepłej wody nie ma, to normalka... w ciągu dnia, jak jest gorąco, to z prysznica leci tylko gorąca woda, a w nocy jest zimno, to i woda lodowata. Teraz nie ma to żadnego znaczenia, czuję się tak brudny, że umyję się każdą wodą, byleby się łała obfitym strumieniem na kark. Serio, prysznic potrafi ukoić poczucie swędzącego ciała. Spływa ze mnie rdzawobrunatna woda, a piasek, pył i kurz mam dosłownie wszędzie, wszędzie i wszędzie. Smarkam i kaszlę, chcąc się pozbyć tego, czym przez ostatnie dni oddychałem. Ten syf mam nie tylko na skórze, ale i w nosie, zatokach, płucach... a i to nie wszystko, mam pewnie najdłuższe włosy w polskim wojsku, piasek ma

się gdzie zbierać, ale ni hu-hu... Na pohybel tym betonom w wojsku. Osobisty bunt sprawia, że włosów nie zetnę.



Na granicy nocy i dnia

Na śniadanie wkraczamy chwilę przed dziesiątą, jak zawsze po cywilnemu: w czystych koszulach, żel na włosach lśni, czysti i wypachnieni. Ci, którzy nie wiedzą, czyli stołówkowa większość, zerkają na nas jak na leni, którzy dopiero co wstali, chcąc zjeść poranny posiłek prawie że w południe. Mamy to w poważaniu, ale ubaw niezły – w jakiej bazie bym nie był, to żołnierze jednostek specjalnych są podobnie postrzegani, przychodzą na śniadanie jako ostatni, raczej niewyspani, pewnie balowali do późna... Ale przecież nikomu nie będziemy się tłumaczyć, że ten posiłek jest tak naprawdę naszą kolacją... no i kto by tam uwierzył gościom w czystych koszulach opowiadających o miejscach, w których mogli nocą poczuć się jak „bogom nocy równi”.

Baza Kandahar

Życie w wojskowych bazach, z dala od domu, kraju, rodziny i prozy codzienności, powoduje, że żołnierz, jakim by nie był twardzielem, to w samotny wieczór po prostu zatęskni. Za dziećmi, ukochaną kobietą, mamą, tatą, a i psem... Tacy jesteśmy, tego nie da się oszukać, tym bardziej w samotną noc, leżąc pod afgańskim niebem i będąc przykrytym kocem w drewnianej bichacie. Mądre armie i mądrzy dowódcy dbają o to, by żołnierze w takiej właśnie jak ta nasza bazie w Kandaharze, w wolnym czasie od służby czy boju, choć na chwilę znaleźli odskocznię od wojennego znoju, stresu i samotności. Najczęściej tęsknotę koi coś, co choć trochę dawało namiastkę tego, co zostało w kraju. Dbanie o dobry stan ducha nazywa się po prostu podtrzymywaniem morale, czym ono wyższe, tym łatwiej w boju, a i prościej utrzymać armię chłopów w cuglach oraz motywować do działania. To przydatne również dla samych dowódców, bo i oni miewają chwile słabości. Broń Boże nie użalam się tu nad nami, taka robota, ale kto nie poczuł smaku miesięcznej, sześćcio-, a nawet ośmiomiesięcznej rozłąki, ten może nie rozumieć tego, o czym mowa, i pomyśleć, że narzekam, a ponoć my wszyscy to tacy twardziele.

Nasze polskie bazy, w których przebywałem w kolejnych latach, nie były przygotowane do zagranicznej służby, ale i do zwykłego życia też nie. Owszem, była stołówka i dach nad głową, ale brakowało miejsca, gdzie można by było po prostu choć na chwilę zapomnieć o tym, gdzie się jest, i trochę się zrelaksować. Nasza narodowa tradycja wpaja nam, by mieć we krwi Boga, Honor i Ojczyznę, miejsca na tęsknienie i rozrywkę nie wpisano w regulamin, więc i wyższym dowódcom nie spędza snu z powiek troska o duszę żołnierza. No właśnie, skoro mowa o duszy – niby dba o nią kapelan, a miejsce na kaplicę jest obowiązkowe. Ale czy tego potrzebuje na wojnie dorosły facet, by odetchnąć po ciężkim dniu? Ja nie. Kiedyś przeczytałem z niedowierzaniem, jak jeden ze znamienitych, wydawałoby się, generałów mówił o naszych potrzebach mniej więcej tak, że

żołnierz bojowiec nie powinien mieć czasu na tęsknienie. A może lepiej zacytuję za portalem Z Afganistanu.pl tę generalską wypowiedź z 2010 roku:

„– Zaraz, zaraz – czas wolny? Po co!? – odpowiedział pytaniem na pytanie mój rozmówca. – Przecież wtedy żołnierz zaczyna myśleć. Nie o walce, tylko o rodzinie. Zaczyna tęsknić, dopada go frustracja, słowem, obniża się jego zdolność bojowa. Uważam, że żołnierz przez te 6 miesięcy powinien walczyć, spać – bo sen regeneruje – i jeść. A odrobinę czasu wolnego przeznaczać na przygotowanie sprzętu do walki – kontynuował generał. – Siatkówka, piłkarzyki? Żołnierz bojowy nie ma na to czasu. Wraca do bazy, bierze kąpiel, je i idzie spać”.

Czy jest co komentować...?

Inne armie, potężniejsze od naszej, patrzą na swoich żołnierzy zupełnie inaczej, tam nie ma potrzeby ściągać aż tak bojowych twardzieli, jak nasz generał sobie wymarzył, patrząc na żołnierza bojowca zza sztabowego stołu. W innych wojskach uwzględnia się czas na telefoniczny i internetowy kontakt z rodzinami, piłkarzyki, siatkówkę, a nawet na salsę i inne rozrywki, kino i siłownię. Do tego bardziej okazała rozrywka się trafia, a to za sprawą światowych gwiazd i gwiazdeczek, że wspomnę koncert Marilyn Monroe, który odbył się w lutym 1954 roku dla tysięcy żołnierzy w Korei Południowej. Czemu o tym piszę? Czemu odpoczynek, rozrywka i salsa są tak ważne i czy, na miłość boską, na wojnie jest na to miejsce i czas? Tacy jesteśmy, tacy są młodzi ludzie, a i ci starsi też tego potrzebują w trudnych warunkach. Po co? Po to, by po prostu nie zwariować. Wczytajcie się we wspomnienia naszych powstańców warszawskich i ludności cywilnej płonącej Warszawy. Trwało powstanie, waliły się kamienice, płonęły ulice i bezwzględnie mordowano na ulicach miasta mieszkańców, a w krótkiej chwili wytchnienia odbywały się koncerty, zawierano małżeństwa, urządzano potańcówki i teatryki, gdzieś tam w ruinach był czas na uśmiech, miłość, wszystko po to, by choć na chwilę uciec od tragicznej rzeczywistości. Młodzi i starzy chcą się bawić niezależnie od tragedii, jaka rozgrywa się wokół.

Nawet na tonącym Titaniku orkiestra grała do ostatniej chwili. I nie piszę tego jako usprawiedliwienie moich wspomnień z życia toczącego się w takiej bazie jak ta w Kandaharze. Piszę to po to, by pokazać, jak ważne jest to dla zachowania równowagi psychicznej po powrocie do kraju, by tam na wojnie łapać chwile normalności; wszystko po to, by powrót do krajowej codzienności, do domu po tych sześciu czy ośmiu miesiącach udał się nie tylko w jednym kawałku, ale i ze zdrową duszą i psychiką.

W większości tutejszych dużych wojskowych baz, poza tradycyjną wojskową służbą i walką z talibami, a raczej spędzaniu czasu na ich szukaniu, cykl dnia podporządkowuje się rutynie codziennej służby. Typowy dzień można by porównać do pracowniczej doby, którą przyjął trzymianowy zakład pracy w dużym

przedsiębiorstwie, gdzie znajduje się cała logistyczno-operacyjna machina zapewniająca działanie firmy. Takie miejsce pracy potrzebuje biur do wytwarzania kwitów niezbędnych do usystematyzowania ciągłości zaopatrzenia. Są więc dostawy, odbiory, gonią terminy, towar przylatuje w kontenerach, ktoś go musi rozpakować i wciągnąć na stan magazynu, a z magazynu dalej w drogę, by na końcu klient czyli żołnierz, jako odbiorca, dostał to co trzeba na czas. Taką bazę trzeba też nakarmić, umyć, ubrać, opruć, zapewnić prąd i dbać o sprawną kanalizację, by nasze własne gówno kiedyś wszystkiego nie zalało.

Co więcej, dostępny jest tu regularny transport kołowy, a że baza leży na lotnisku, to ten powietrzny lata tam i z powrotem na wszystkich światowych kierunkach. Taka baza często jest niczym średniej wielkości miasto z infrastrukturą, które wymaga elektryczności, w którym są sklepy, stołówki, warsztaty samochodowe, stacje paliw, magazyny, poczta, szpital. Od cholery ludzkiego wysiłku i stresu na różnego rodzaju stanowiskach pracy. Szeregowi to robotnicy, menedżerami są oficerowie, a dyrektorem generał. Sami widzicie: dosłownie jak w ogromnym przedsiębiorstwie. Więc po służbie, podobnie jak i w cywilu po robocie, by nie zwariować, potrzebna jest chwila odsapnięcia, toteż musi być i miejsce na rozrywkę. Takim popularnym punktem spotkań w Kandaharze jest miejsce potocznie zwane *wordwok*. Drewniany spacerniak w kształcie litery L, dosłownie jakby ktoś zamierzał zrobić tam klasyczną zasadzkę. Tu można na chwilę zapomnieć o wojnie i zyskać miłą odskocznnię lub po prostu miło spędzić czas i choć na chwilę nie tęsknić i nie myśleć o zagrożeniach codziennego życia w bazie, wokoło której jednak toczy się przedziwna wojna.



Prezenterzy kultowego programu Top Gear: Jeremy Clarkson, Richard Hammond, James May

Wordwok to drewniany deptak, ze sklepikami, fryzjerem; jest i salon masażu, pralnia, krawiec, restauracyjki i kawiarnia z pączkami. Miejsca, jak ja to nazywam, dla rozrywki tworzy się dla wszystkich, bo przecież z nich nie korzystają tylko szeregowi bojowcy, ale i logistycy, sztabowcy, piloci, pracownicy cywilni, a i niejednego generała można było spotkać na siłowni... No ale jak generał nie chodzi na pękę, nie gra w piłkarzyki ani w siatkówkę, to może i nie kumać, że ma się uczucia i tęskni; tu w Kandaharze widocznie generałowie z Kanady, USA, Anglii i Holandii je mają, na równi z bojowcami.

W większości przypadków za pierwszy poziom rozrywki można byłoby uznać pobyt na stołówce. Wyjazd na posiłek był wpisany w miłą prozę dnia, bo przede wszystkim trzeba było zawsze dobrze wyglądać, w końcu reprezentujemy Rzeczpospolitą, tak... nas szkolono, by nie tylko skutecznie walczyć, ale by się też nie kręcić i dobrze wyglądać, jak mówi nasze wewnętrzne przysłowie: nie kręć się i dobrze wyglądaj, a jak już się zakręcisz, to choć dobrze wyglądaj. Taki wyjazd na stołówkę to czas spędzony wśród ludzi, jak cię widzą, tak cię piszą...

Na stołówce w różne dni tygodnia przyjęte jest menu odpowiadające jakiejś narodowej kuchni. Dni kuchni latynoskiej, azjatyckiej, włoskiej, gdy zaś przypadało święto narodowe któregoś z państw, to można było zakosztować smaku rodem z Holandii czy Kanady. Akurat w najbliższych dniach wypada narodowe święto Kanadyjczyków i kraj spod znaku klonowego liścia zaprasza na uroczyste

posiłek – naleśniki polane sosem klonowym, tak przynajmniej się ogłaszają, trzeba się śpieszyć, by zasmakować tych smaków. Ale zanim przyjdzie czas na naleśniki, a raczej na pancakesy, trzeba popracować, taka kolejność, nie inaczej.

To już chyba taka tradycja, że tam, gdzie nas kraj wysyła na robotę, przerabiamy i modyfikujemy sprzęt, którym mamy działać. I tu przed wyjściem do boju bawimy się w modernizatorów, choć to nie zabawa, a ciężka fizyczna praca, która podczas operacji jest składową sukcesu. Więc i tym razem podwijamy rękawy jako blacharze, spawacze, mechanicy samochodowi, by nasz kołowy sprzęt zmodyfikować do poziomu, jaki sobie sami zgodnie z naszym doświadczeniem narzucimy. Mam *déjà vu*, może inaczej... Od dnia kursu podstawowego, gdzie jako pierwsze przerabialiśmy nienadające się do boju niebieskie kamizelki kuloodporne używane przez wojska ONZ. Pozwolono nam przerobić je tak, by móc się w nich złożyć do strzelania z pistoletu, oburącz stojąc na wprost tarczy. Czarną taśmą zmniejszałem powierzchnię sterczących kołnierzy, wycinałem kevlar spod pach, to pozwoliło wyprostować ręce, by przyjąć prawidłową postawę strzelecką.



Gdzie diabeł nie może, tam Szyszunię pośle

Od tamtego dnia modyfikujemy i przerabiamy dosłownie wszystko, nie patrząc na resursy, zapisy w dokumentach „monowskich” i tych od ubezpieczyciela, z satysfakcją mamy w poważaniu wojskowe regulaminy. Na wodach Zatoki Perskiej wręcz z niczego tworzyliśmy swój osobisty sprzęt taktyczny, z czasem stał się tym odpowiednim, umożliwiającym abordaż i działanie na statkach. Początek

wojny w Iraku wymusił kolejne sprzętowe modyfikacje, posypały się pomysły tworzenia wcześniej nieznanego nikomu sprzętu taktycznego. Z czasem przemysł i nasza logistyka zaczęły za nami nadążyć. Wreszcie ktoś nas posłuchał i zaczęto wdrażać pomysły; zauważono, że w tej robocie na drzwiach od stodoły się nie polecą, jak chce się lecieć wysoko, to nie tylko umiejętności są wymagane, by wykonywać naszą pracę na tak wysokim poziomie, ale i sprzęt musi być na odpowiednim poziomie. Komandos rozwalający głową dachówki na pokazie dla wójta niezbyt się sprawdza podczas operacji wysadzania drzwi u gości z irackiej talii kart, a z kopa, uwierzcie mi, nie da rady ich otworzyć, tym bardziej wałąc w nie ze łba, tak jak w dachówkę. Teraz nastał Afganistan, logistyk, który przejął na swój stan od poprzednika wojskowe samochody HMMWV, a dodatkowych kilka wycygał od Jankesów, już tak mocno nie siwieje z każdą dospawaną przez nas do samochodu blachą. W Iraku szybko zaczęto rozumieć, że to my się liczymy, nie blacha i sprzęt osobisty. Po przylocie do Kandaharu nie mamy za wiele czasu na przygotowanie naszych bojowych wozów; humvee znam, no, może nie na wylot, ale dość dobrze z wojny w Iraku, tam ten samochód stał się naszym podstawowym środkiem transportu i maszyną do walki, co ważne, nigdy nie zawiódł. Z ostatniego Iraku wróciłem 1 lipca i nie było zbyt dużo czasu, by nacieszyć się domem, zresztą na chrzciny córeczki spóźniłem się jeden dzień. Krótkie lato szybko minęło, pożegnała nas piękna polska jesień i przywitała ta afgańska, odmienna od naszej, sucha i surowa. Inny kraj, inny klimat i, niestety, inny humvee, nie taki nowy jak ten pozostawiony w Iraku.

Trochę patrzę na tego humvee z niedowierzaniem... Maszyny, które zostawiliśmy w Camp Pozzi, czy te znane mi z polskiej strefy w Camp Echo w Ad-Diwaniiji były nie tylko nowsze, ale i dużo lepszej klasy odporności na ostrzał i przede wszystkim na niespodziane spotkanie się z eksplozją materiałów wybuchowych umieszczonych gdzieś w jezdni, bo tak się niestety przede wszystkim z nami walczy. Talibowie do perfekcji opanowali sztukę podkładania min, więc mnie jako kierowcę szczególnie interesuje podwozie. Tutejsze auta, te, które wydzierżawili nam Amerykanie, mają klasę odporności... hmm, nie mam pojęcia, jak ją sklasyfikować, mają tak samo kartonowe podłogi jak trabant z NRD. Drzwi z blachy pancerniej, szyby podobnie kuloodporne, ale podłoga, nadkola, silnik i baki na paliwo to zwykła samochodowa platforma, bez żadnego opancerzenia.

Czy ja kiedyś wstydziłem się mojego robotniczo-zawodowego wykształcenia? Czy rozważając karierę i zostanie żołnierzem jednostki specjalnej, myślelibyście, że zawód ślusarza-spawacza będzie właściwym wyborem na starcie do militarnej kariery? Blacharz, mechanik samochodowy, technik maszyn rolniczych, ślusarz-spawacz, a nawet filozof, pod czujnym okiem inżyniera pola walki z Wrocławia

tworzą zespół, który przelewa swoje zawodowe doświadczenia z poprzedniego życia na to GROM-owe, by zachować je podczas operacji bojowych. Tak się właśnie tworzy coś niekonwencjonalnego – i to bez obaw o efekt końcowy, przecież znamy się na tej robocie.

Wspólnie podwinęliśmy rękawy jak robotnicy w warsztacie i pracujemy nad tym, by przeistoczyć humvee w wóz o użytkowo-bojowych cechach, by stał się podczas patrolu naszym domem i maszyną zdolną do walki, mogącą zadać cios, ale i uchronić nas od zadawanych przez przeciwnika razów. Z tym czujnym okiem inżyniera pola walki to trochę pojechałem, bo niezależnie od stopnia każdy z nas szlifuje, spawa, maluje, po prostu robimy to, co potrafimy, teraz trzeba na chwilę stać się dosłownie robotnikami z pola walki.

Postawione nam zadania nie są inne niż te w Iraku, tyle tylko, że tam byliśmy w strukturach organizacyjnych „Wielkiego Brata”. Dostarczano nam pakiety danych wywiadowczych, zapewniano przerzut, wsparcie QRF, wspomagano operacyjnie i logistycznie. Tu zaś, chcąc nas zapewne docenić, utworzono z nas Task Force. TF to zespół zadaniowy powołany w konkretnym celu, taki samodzielny twór, jesteśmy więc zdani na samych siebie. Polska to przecież wierny sojusznik mający potężną armię, chwalą się nami politycy, że damy radę i jak to u nas, pewnie, że się uda, przecież jakoś to będzie, krótko mówiąc: wyślij, wystrzel i zapomnij.

Zostawmy na chwilę politykę. Wracając do modernizacji sprzętu, już nikt się specjalnie nie zastanawia, czy można coś modyfikować, robimy dla siebie: ja używam, ja tym jeżdżę, ja tym walczę, więc to ja, tak jak każdy z nas, wiem, co dla mnie dobre.

Nasi poprzednicy, którzy rozpoczęli w Kandaharze wojowanie, popracowali nad samochodami, ale i tak każda z ekip, każda z sekcji pracuje nad swoim wozem, wprowadzając osobiste poprawki. Po poprzednikach pozostały nie tylko humvee, ale i przekazana wiedza wsparta doświadczeniem z odbytych patroli. Wyjeżdżając na swoje, jesteśmy mądrzejsi o ich obycie i przeżycia, ale i o lekcję technicznej obsługi humvee. Przyjechał jakiś mądry Janek z umorusanymi rękoma od smaru, brudem pod paznokciami, z miejsca widać było, że fachowiec mechanik. Zaczął z nami gadkę od podstaw, jak to Amerykanie z żółtodziobami. Kierownica w HMMV siedzi po lewej stronie... Wlew paliwa znajduje się po lewej stronie... paliwem jest ropa naftowa... są dwa baki – OK, tego akurat nie wiedziałem.

Po przebrnięciu przez podstawy zaczęło być ciekawie. Niby „koń, jaki jest, każdy widzi”, ale kopyta trzeba pokazać. Przypomniał nam, jak czyścić filtry, i spytał, czy potrafimy wymienić koło. Potem w moment się skapnął, że i my mamy brud za paznokciami nie bez powodu – popatrzył na ogradowane spawy, potrząsnął przyspawanym wieszakiem trzymającym płyty kuloodporne

i zażartował, że potrzebuje spawacza na swoim *workshop*. Wczołgałem się pod humvee i sprawnie manipulując kluczem, razem z naszym nauczycielem wymieniałem półośkę, a on pochwalił, mrużąc: *good job*. Do tej pory jeździliśmy humvee i tyle. Obsługa polegała na laniu ropy i czyszczeniu filtra powietrza. Teraz będziemy wyjeżdżać w teren na kilka dni i niełatwo będzie uzyskać pomoc mechaniczną, co ja gadam, taka usługa zwyczajnie nie będzie przewidziana, więc... „Kierowcy wyznaczeni rozkazem! Baczość! Stają się mechanikami! Spocznij!”. Mniej więcej tak by brzmiało w wojsku nadanie specjalizacji. Ja u nas zostałem kierowcą bez rozkazu, zwyczajnie dlatego, że chcę. Będę kierowcą, zresztą często bywałem nim w Iraku, więc doświadczenie mam.

Wszelkie rady naszego amerykańskiego mechanika są cenne i to serio, bo mogą prowadzić do powrotu do bazy. On wydawał się trochę zaskoczony naszymi pytaniami, bo były takie nasze, polskie: jak coś naprawić samemu, jak ulepszyć, co i jak obejść i przełączyć, by nadal działało... Ten biedny nie kumał, tylko tłumaczył, że tego sprzętu się nie naprawia, tylko to, co popsute, wymienia się na nowe. Jak to? Niczego się nie łąta, nie sztukuje i nie przerabia? W US Army system napraw jest nieco inny od tego znanego z naszego podwórka, każdą popsutą część zastępuje się nową oryginalną. Mechanik dostaje w zestawie z nową częścią instrukcję z obrazkiem pokazującym, jak ją wymienić, i tak stawia się humvee z powrotem na koła i do boju.

Humvee po chłopakach wygląda całkiem dobrze, ale poza standardową balistyką nie ma żadnych podwyższających odporność ulepszeń. Każdy z nas szykuje sobie miejsce pracy. Ja jako kierowca poza kierownicą i fotelem przeprowadzam totalną rewolucję wystroju wnętrza. Na podłodze lądują płyty balistyczne, takie standardowe wkłady używane do kamizelek taktycznych; akurat mieszczą się dwie, na nie, niczym w limuzynie, wykładam kawałek koca balistycznego, będzie robić za dywanik.

Kierowcy niestety nie będą brać udziału w bezpośrednich działaniach, bo ktoś musi powozić. Jako swoją podstawową broń zabierać będę więc M4, ale i belgijski ręczny karabin maszynowy FN Minimi kaliber 5,56, myślę, że idealnie nada się do tej roboty. M4 będę mieć pod ręką, a minimi trafi na tylne siedzenie. Mocuję wokół siebie kilka granatów dymnych i bojowych, zaklejam na desce rozdzielczej wszelkie diody i lampki, by podczas jazdy w nocy nie stwarzały poświaty. Radiostacja jest dobrze zamontowana, radiowa tangenta na równi sięga do mnie i do Michała. Więcej roboty mam na zewnątrz, po przyspawaniu do drzwi metalowych taśm, które trzymają płyty balistyczne, ładnie je maluję, estetyka w tej robocie to kluczowa sprawa. Od nowa oklejam wszelkie światła zewnętrzne. Na masce montuję nową łopatę, kilof, siekiere, łom.

Nasz samochód będzie tym dowódczym, dlatego obok mnie na miejscu nawigatora będzie siedział Michał, a Przemek jako łącznościowiec zajmie miejsce za nim. Jego zadaniem jest odpowiednie zamontowanie anteny do komunikacji na dalszą odległość. Szyby boczne stanowią porządne pancerne okna, jednak ta przednia taka nie jest i lepiej, by od przodu nikt do nas nie walił. Wieszam na niej ciętą na wymiar siatkę maskującą, by choć trochę dawała cień. No tak, my w trzech pod pancierzem jakąś tam osłonę mamy, ale Karol na wieży czy Grzesiek na pace są tylko częściowo osłonięci. Ten pierwszy zadowolony mości sobie gniazdko w płynnie kręcącej się wieży, a ja z Grześkiem bierzemy się za zabezpieczenie paki. Dobrą flaszkę ojczystego trunku kosztował mnie koc balistyczny – handel wymienny z Jankesami zawsze sprawiał mi przyjemność, obie strony były zadowolone, choć oni wolą pić za nasze niż za swoje, toteż po wymianie towarów i tak zerkali, czy ktoś jeszcze nie poczęstuje. Tym sposobem mamy czym wyłożyć jedną z burt. Na tył kładziemy podobny koc pozostawiony przez chłopaków, jest w jakimś dziwnym kamuflażu, pewnie podobnie załatwiony za jakieś płynne dobro od Australijczyków.

Grzesiek na pace będzie siedzieć trochę jak na paliwowo-amunicyjnej bombie, a dosłownie na skrzynce z amunicją w sąsiedztwie kanistrów z ropą. Na tylnym noszaku już poza paką mamy sześć dwudziestolitrowych kanistrów, które w żaden sposób nie są osłonięte, na pace od cholery skrzynek z amunicją, ale jest i przenośna lodówka, z odpowiednio zimnymi napojami.



Humvee w całej okazałości

Taki nasz humvee to niezła siła ognia. Karol na wieży uzbrojony jest w amerykański wielkokalibrowy karabin maszynowy kalibru 12,7 Browning M2. Grzesiek na pace montuje na obrotowym wysięgniku belgijski karabin maszynowy FN Minimi nabój 7,62 × 51 mm NATO. Z tym karabinem trochę ciężko się chodzi, ale mając go na pokładzie, można kogoś celnie ostrzeliwać, dlatego, jak wspomniałem, i ja zabieram moje minimi, to 5,56. Michał zwiększy zasięg swym snajperskim karabinem, Przemek jak każdy z nas uzbrojony jest w M4, ale dodatkowo ma podwieszony granatnik 40 mm. Taki nasz pojazd trzeba pomnożyć razy cztery lub pięć w zależności od tego, ile samochodów wyruszy na robotę – w ten sposób będziemy stanowić mocny komponent uderzeniowy. Każda z ekip na samochodzie ma dowolność w dozbrojeniu się, oczywiście w zakresie tego, co jest w magazynie broni. Od jakiegoś czasu mamy granatnik automatyczny kalibru 40 mm, ta broń podczas pracy pięknie dudni, a efekt w miejscu ostrzału jest apokaliptyczny. Mamy też najnowocześniejszą optoelektronikę, termowizory, noktowizory, lunety. Podczas operacji nie będziemy sami, możliwe jest wsparcie naszych operacji z powietrza, więc będzie można się poczuć pewnie na wrogim terenie. Humvee i nas pięciu. Za mną fotel jest pusty z dwóch powodów: czasami kogoś dodatkowo będzie można zabrać, ale i na wypadek ewakuacji trzeba

przewidzieć wolne miejsce, gdyby któryś z naszych pojazdów nie mógł wrócić z operacji.

Stacjonujemy w południowej części Afganistanu, a na zachodzie leży Pakistan. Na wschód linią graniczną jest rzeka Helmand, na drugim zaś jej brzegu znajduje się prowincja o tej samej nazwie. Terenem naszego działania będzie prowincja Kandahar, największa w całym Afganistanie. Jadąc tu, przeszliśmy wiele szkoleń teoretycznych, po nich wszystkich z żołnierza można się przeobrazić w kulturoznawcę. Ale tak trzeba – rozpoznanie i poznanie przeciwnika daje nam nad nim przewagę. Broń Panie Boże, nie będziemy całej tutejszej ludności traktować jak wroga, oni są tu u siebie. Natomiast właśnie to tu, w Kandaharze, znaczną część społeczeństwa stanowią Pasztuni. Tu we wrześniu 1994 roku powstało fundamentalistyczne ugrupowanie islamistyczne zwane potocznie talibami, określającymi się mianem Islamskiego Emiratu Afganistanu, tak więc znajdujemy się w macierzy tego fanatycznego nurtu. Ale czasy rządów talibów nawet tu nie są dobrze wspomniane, z przekazów, i to tych z pierwszej ręki, wiemy, że na kontrolowanych obszarach talibowie wprowadzili rygorystyczne prawo oparte na szariacie. Zakazano pracy i nauki kobietom, narzucono im noszenie burki zakrywającej całe ciało, w tym również oczy – siatką. Na mężczyzn nałożono nakaz noszenia brody, i to tej samej długości co broda proroka Mahometa. A wszystko to działo się nie w jakichś zamierzonych czasach, ale pod koniec XX i na początku XXI wieku. Zakazano wielu czynności, które są w naszej kulturze normalne, choćby uprawiania sportu. Jak stwierdzono, „one same w sobie nie stanowią grzechu, ale odciągają od pobożności i Allaha”. Gdy się tak człowiek nasłucha, to jakby czytał o średniowiecznej Europie. My o inkwizycji całe szczęście już tylko uczymy się na lekcjach historii, oni mieli ją tu w swoim wydaniu jeszcze kilka lat temu. Mamy w naszej ekipie dwóch młodych Afgańczyków, są naszymi tłumaczami i liczą sobie po dwadzieścia parę lat, więc dokładnie pamiętają czasy talibskich rządów i chętnie opowiadają o tamtych niełatwych latach.

Oczywiście nie dbamy tylko o sprzęt, dążymy też, poszukując informacji o tym, z kim i z czym będziemy musieli się tu zmierzyć. Ogromną wagę przywiązujemy do sposobu przemieszczania się, badamy, na czym się skupiać i co potrafią przeciwnicy. Każdy z nas ma w głowie i zna historię wojny, która toczyła się pomiędzy Związkiem Radzieckim a partyzantką mudżahedinów od 1979 do 1989 roku. Książek i filmów na ten temat powstało mnóstwo, ale co z tamtej wojny przetrwało do dziś? Zresztą, by nie zakłamywać historii, tej oficjalnej, to tamta wojna jest uważana za domową, bo była wojną pomiędzy rządem afgańskim wspieranym przez Związek Radziecki a bojownikami mudżahedinów wspieranymi przez rząd USA. Ja to widzę tak, że z czasem przebieg konfliktu pomiędzy dwoma

mocarstwami urządzi się na terenie państwa, które jest poligonem doświadczalnym. Skutki wojny sprzed trzydziestu lat są widzialne gołym okiem do dnia dzisiejszego. Na obrzeżach takiej i podobnych baz jak nasza znajdują się ogromne złomowiska poradzieckiego sprzętu wojskowego, drugie tyle leży porzucone na drogach, a raczej na poboczach dróg, i świadczy o klęsce jednych i sukcesie militarnym tych drugich. Tylko czy ktoś tu kiedykolwiek naprawdę wygrał? Oficjalne źródła donoszą o milionach min, którymi nikt się nie przejmuje, leżą i czekają na swoją chwilę, na ofiarę. Dlatego naszym przykazaniem, i to tym pierwszym, najważniejszym, jest przestrzeżenie zasady „pięć, dwadzieścia pięć”. Inaczej mówiąc: trzeba zawsze i wszędzie, przy każdej sposobności przeszukiwać wzrokiem teren wokół siebie, by nie wleźć na jedną z tych milionów min. Czyli, wysiadając z samochodu, wzrokiem ogarniam teren wokół siebie, tak w promieniu do 5 metrów, a jak jest potrzeba, to do 25 metrów.



Humvee, czyli dom na czterech kołach

Teoria jest zawsze prosta, tylko jak jest w praktyce? Afganistan to półpustynny i pustynny kraj, nikt tu się zbytnio nie wysiłał, by budować przemysłane pola minowe. Z informacji, jakie pozostawili Rosjanie, wynika, że miny przeciwpiechotne są tu zazwyczaj narzutowe, zrzucali je często ze śmigłowców i nie myślano, by je kiedyś usunąć. Praktycznie wokół każdej porosyjskiej bazy

„ziemia nadziana jest minami jak dobra kasza skwarkami”, jak to mówił Pawlak w *Samych swoich*. Choć miny to nie komedia, leżą tu bez ładu i składu. Niestety mieliśmy z nimi już bliski kontakt w Afganistanie. Podczas pierwszego wyjazdu, w 2002 roku, jeden z kolegów wszedł właśnie na taką narzutową, przeżył, ale do dziś odczuwa skutki tamtego wybuchowego spotkania. Jak duży jest to problem, pokazują dane, ocenia się, że w Afganistanie min przeciwpiechotnych jest około ośmiu, dziesięciu milionów. Oficjalne statystyki mówią, że miesięcznie ginie osiemdziesiąt osiem osób, a setki zostaje rannych. Jak tu więc się normalnie poruszać, jak planować operacje bojowe i walkę z talibami, skoro sama ziemia i jej zawartość stanowią śmiertelne zagrożenie? Piasek na tutejszym kamienistym podłożu swobodnie się przemieszcza unoszony wiatrem, więc na wszystkim, co stanowi jakąś przeszkodę, usypuje samoczynnie kopczyk: czy to kamień, kawałek żelastwa, miny czy niewypału... to właśnie na takie miejsca trzeba zwracać szczególną uwagę, nie stanąć, nie najeżdżać kołem. Można by zadać pytanie: a co z wykorzystaniem klasycznego wykrywacza min? Niby ich użycie zawsze wpływa na zminimalizowanie zagrożenia, ale do tego trzeba by przed naszym pierwszym samochodem wysłać parę saperów z wykrywaczami. Idąc tym tropem, żaden z nas nie wyszedłby nawet na stronę bez osobistego sapersa. Jak więc walczyć, biegnąc pod ostrzałem, gdy zrywa się kontakt z przeciwnikiem...?

Nie ma tu żadnej złotej zasady poza jedynie słuszną, która brzmi, by się tu nie pchać. No, ale jeśli się jest żołnierzem... to taka robota i trzeba wziąć na klatę związane z nią ryzyko. My, żołnierze jednostek specjalnych, patrzymy na tego typu zagrożenia bardzo poważnie, a zarazem, wybierając życiową ścieżkę, godzimy się z takim stanem rzeczy. Przecież chcemy, by na świecie był ktoś, kto wbiegnie do płonącego domu, ratując innym życie. My tu odgrywamy taką właśnie rolę. Niemniej nie tylko miny, ale i zmyślne pułapki IED są i będą tu naszym śmiertelnym zagrożeniem. To *improvised explosive device* (IED) – improwizowane urządzenie wybuchowe. Takie dziadostwo może być zrobione praktycznie z każdego materiału, konstruktora miny pułapki ogranicza jedynie jego wyobraźnia i dostępność materiałów wybuchowych. Podczas takiego konfliktu bardzo cenieni, nazwę ich „żołnierzami”, są konstruktorzy zmyślnych bomb. Mieliśmy z nimi styczność w Iraku, gdzie wielu pojмалиśmy na gorącym uczynku w przydomowych warsztatach. IED zawierają w sobie elementy elektroniczne, odpowiedzialne za system odpalania, a jako ładunku najczęściej używa się materiału wybuchowego pozyskanego z min, które, jak już wspomniałem, są tu łatwo dostępne; także znane u nas nawozy sztuczne są idealne do stworzenia tego typu ładunku. I tak jak na miny możemy się nadziać wszędzie, tak już IED potencjalnie podłożone będą tam, gdzie przeciwnik z premedytacją będzie chciał nas zaatakować w dogodnym dla siebie miejscu. Podczas operacji będziemy starać się nie jeździć drogami, ale tego

oczywiście nie da się wykluczyć. Nasz wywiad donosi, że IED podkładane są bezpośrednio na drogach, te zaś w dziurach dość łatwo rozpoznać. Tu dróg praktycznie się nie naprawia, więc gdy widać na nich ślad po niecodziennym remoncie, zapala się nam czerwona lampka. Do tego wszelkie podziemne kanaliki, mosty, przepusty, miejsca, w których ukształtowanie terenu zmusza nas do obrania „jedynej słusznej drogi”, wąskie gardła, wadi, zakręty, wszędzie tam może czekać na nas śmiertelne niebezpieczeństwo.

Tutejszy przeciwnik lubi popełniać proste błędy, zazwyczaj podczas nieudolnego maskowania zaminowanych miejsc. Musimy nauczyć się i wyczulić na anomalie, takie jak: świeżo skopana ziemia, markery w postaci usypanego kopca kamieni, taśmy, szmaty, łuski po amunicji. Takie porzucone przedmioty mogą być sygnałem ostrzegawczym dla miejscowych, wskazującym na niebezpieczeństwo. Tak jak klasyczna mina eksploduje po naciśnięciu znajdującego się w niej zapalnika, tak IED można wzbudzić na kilka sposobów. Klasycznie poprzez najechanie na zapalnik, zamykając obwód, który odpala zapalnik, poprzez podłączenie do IED przewodów elektrycznych lub drogą radiową. I tu wkracza nowoczesna technologia: znany z westernów sposób poprzez podpalenie lontu prochowego odszedł już do lamusa nawet w Afganistanie. Można by jeszcze wspomnieć o zamachowcach samobójcach i wykorzystywanych do tego celu zwierzętach, na których garb ładuje się śmiertelny ładunek i puszcza wolno, popędzając w stronę posterunku.



Na froncie bez zmian

Wojna to niestety nie honorowa potyczka, a tym bardziej nie humanitarna rozgrywka dwóch stron przestrzegających ustalonych reguł gry. Nie wiem, czy rycerskie zachowania tu kiedykolwiek miały miejsce, a jeśli nawet tak, to były wyjątkowym odruchem, jako że wojna to nie romantyczna opowieść zapisana na filmowej taśmie wyświetlanego w kinie filmu. Każdy z tych wybuchowych sposobów walki ma zalety i wady dla jednej i drugiej strony. Będąc w sekcji pirotechnikiem, tu mimowolnie staję się saperem, osobiście wolę wysadzać, niż rozbrajać i unicestwiać miny, zresztą branie się do saperskiej roboty dorywczo nie jest dobrym sposobem na udane życie.

Najlepszym rozwiązaniem podczas jazdy po afgańskiej ziemi jest poruszanie się drogami sprawdzonymi przez miejscowych kierowców. Patrząc na rutynę ich przemieszczania się i zachowania w terenie, można uznać, że bezpieczne powinny być miejsca, w których wypasane są stada i chadzają pasterze, tam nie powinno być min. Korzystamy tak jak nasi poprzednicy z kontaktów i wiedzy miejscowych służb i policjantów, wyjeżdżając na wspólne patrole. Dla nas nowością jest to, że dorobiliśmy się własnego drona, jeden z samochodów ma platformę umożliwiającą przewóz i start tego bezzałogowego statku. Dron ponoć nie wymaga do lotu załogi, te zapewnienia nas jednak nie przekonują. Wierząc w światowy spisek, jesteśmy przekonani, że w kokpicie siedzi chomik i to on nad wszystkim panuje. Tak oto

nastały czasy, że nie trzeba wysłać patrolu, który zerknie za kopę z sianem, czy czasem nie siedzi za nią wróg, wystarczy wysłać chomika samolocikiem, a on zamelduje o sytuacji na przedpolu.

Ze wspomnień gunnera

Robota gunnera różniła się naturalnie od roboty kierowcy czy nawigatora, choć wszyscy dla siebie stanowiliśmy uzupełnienie i każdy z nas w takim kołowym patrolu musiał potrafić zastąpić kolegę. Jednak gunner nie tylko był tym pierwszym do walki i najbardziej narażonym na bezpośrednie trafienie, ale i najbardziej dostawał po dupie przez panujące w Afganistanie warunki atmosferyczne.

Gunner to taki strzelec pokładowy, który najczęściej obsługiwał ciężki karabin maszynowy 12,7 mm, zamontowany w obrotowej wieżyczce umieszczonej na dachu humvee. Czasami montowane było inne uzbrojenie w postaci granatnika automatycznego 30 mm lub karabiny maszynowe kal. 7,62 lub 5,56 mm.

W Afganistanie nasze kołowe patrole mogły trwać nawet pięć dni, w związku z tym, co oczywiste, mieszkaliśmy w naszych autach, a humvee stawał się naszym domem na kołach. Przed wyjazdem każdy z nas przygotowywał swoje miejsce pracy zależnie od zajmowanego stanowiska w samochodzie: kierowca przygotowywał swoje, nawigator swoje, a strzelcy – tylny i ten na wieżyczce – dbali o siebie. Wszystkie funkcje były wymienne i każdy umiał pracować na stanowisku swojego kolegi i musiał wiedzieć, gdzie co jest, by w sytuacji walki móc się odnaleźć.



Grzesiek – twarz, która mówi sama za siebie. W trakcie patroli nasi tylni strzelcy byli tymi, którzy najbardziej odczuwali niedogodności afgańskiej aury

Przede wszystkim trzeba było przygotować wieżyczkę humvee, aby w razie kontaktu mieć wszystko pod ręką. Na wieży musiało znaleźć się przede wszystkim dużo amunicji do karabinu czy granatnika. Każdy układał skrzynki z amunicją według swoich upodobań, montowali je z tyłu wieżyczki, inni z boku. Wszystkie elementy do montowania skrzynek z amunicją wykonywaliśmy samodzielnie, tnąc i spawając metalowe elementy pozyskane ze złomowiska znajdującego się na terenie bazy. Dodatkowo na wieży znajdowały się granaty dymne, hukowo-błyskowe, kamienie... tak, kamienie bardzo przydawały się w czasie przejazdu przez miasto czy wioski, jest to niezabójczy, no, mało zabójczy, sposób na odstraszenie psów i wymuszenie odpowiedniego zachowania kierowców na drodze. Na wieżyczce dodatkowym uzbrojeniem był granatnik AT4, musiał być sprytnie montowany na gumach, tak by dało się go szybko wypiąć i użyć. Każdy gunner miał lornetkę do obserwacji i oczywiście broń osobistą HK416, która przydawała się w mieście czy w trakcie przejazdu przez wioski, gdy użycie broni głównej było utrudnione ze względu na brak kąta – ten ograniczał pancerz i mocowanie.



By spać mógł ktoś, ktoś czuwa, tym kimś nawzajem dla siebie byliśmy my

Praca gunnera nie należy do łatwych i przyjemnych: przez większość czasu musi stać, prowadząc obserwację w wyznaczonym sektorze. Aby ulżyć swojej niedoli, w wieżyczce miał przygotowane siedzenie, najczęściej była to deska z przykręconym kawałkiem starego siedzenia wyciętego z fotela od humvee czy po prostu gąbka tapicerska wyjęta ze skrzynek z amunicją oklejona czarną taśmą. Musiała być na tyle wąska, żeby nie przeszkadzała w trakcie strzelania, bo strzela się na stojąco. Strzelec musi mieć odpowiednią postawę, zgrywać przyrządy celownicze, płynnie manewrować wieżyczką nawet w chwili, gdy słyszy jak po panczeru rykoszetują pociski przeciwnika, w takich okolicznościach nie usiedzi się na tyłku.

Upał i kurz były nieodłącznymi towarzyszami naszych patroli, dlatego broń i amunicja były przykrywane płachtami, które można było zdjąć jednym ruchem ręki w trakcie kontaktu ogniowego. Pył dostawał się wszędzie, zatykał mechaniczne elementy broni, powodując ich dysfunkcję, dlatego przy każdym postoju czyściliśmy broń za pomocą pędzli.



Wczesny afgański poranek

Aby osłonić się od upału, konstruowaliśmy baldachimy z brezentem, rzucające cień na wieżyczkę. Można go było zdjąć na noc lub w chłodniejszy dzień. W zimie z kolei gunner marzył podwójnie – w trakcie jazdy daje się we znaki wiatr, który potęguje odczucie zimna i powodował wychładzanie organizmu. Jediną osłoną było to, co na siebie założyliśmy.

Nieodzownym elementem ubioru gunnera były gogle, które chroniły przed pyłem. Zabezpieczenie oczu było szczególnie ważne: z racji zajmowanego wysoko stanowiska, z wieżyczki widział najwięcej, a więc to na nim spoczywała odpowiedzialność za obserwację terenu i natychmiastowa odpowiedź na kontakt ogniowy. Nie było nudy, nikt z nas nie woził się jak na paradzie.

Teren, po którym się poruszaliśmy, był bardzo zróżnicowany, od pustyni, przez wyschnięte koryta rzek, pola i pastwiska, po wysokie góry. Gunner najczęściej współpracował z kierowcą w kwestii przejezdności, wgląd w teren był znacznie lepszy z góry i często to, co wydawało się przejezdne, z punktu widzenia kierowcy okazywało się dziurą lub przeszkodą trudną lub niemożliwą do sforsowania samochodem. To gunner, zdzierając gardło, dał się, że kilka metrów obok była lepsza trasa i tam trzeba jechać. W trakcie patrolu praktycznie nie poruszaliśmy się drogami ze względu na miny i IED, czyli drogowe pułapki. Siedząc na wieżyczce humvee, czułem się jak na wielbłądzie, bujało mną we wszystkie strony, każdą

nierówność terenu trzeba było amortyzować odpowiednim ułożeniem ciała, cały czas zachowując gotowość bojową. W czasie postojów czy też w nocy, gdy stawaliśmy na odpoczynek, pełniliśmy po kolei na wieży dyżury obserwacyjne. Wyjątkiem był kierowca, który miał ten przywilej, że mógł pospać nieco dłużej, aby rano być wypoczętym i gotowym do jazdy (ale to każda sekcja ustalała sobie).

Chcesz być kiedyś gunnerem? Nawet nie wiesz, o czym marzysz, do tego musisz serio lubić ciężką pracę. W zimną noc od mrozu drętwiały mi palce, w upalny dzień pod piekącą się z gorąca czaszką niemal gotował się mózg, a nogi bolały czy w noc, czy w dzień tak samo... ale i tak lubiłem tę robotę.

Ratuj chomika!

Wyjazd z Tylutem na złomowisko okazał się bardzo owocny, nazbieraliśmy całą pakę różnego rodzaju blach, płyt pancernych, stelaży, a hitem jest deska do prasowania: jej lekka metalowa konstrukcja idealnie nada się na noszak, który umożliwi proste mocowanie płyt balistycznych na drzwiach, dając im dodatkowy pancerz. No to teraz już z czystym sumieniem możemy się szykować na wystawną kolację u Kanadyjczyków na słodko – naleśniki z syropem klonowym.

Jeżeliby ktoś kiedyś wpadł na pomysł nakręcenia filmu wojennego z zamysłem, by go proporcjonalnie podzielić i uczciwie pokazać czas poświęcony na wojskowy przerzut, logistykę, zapotrzebowanie sprzętowe, pracę na warsztacie u rusznikarza i działanie bojowe, to w takim filmie sama akcja w boju konkurowałaby długością z napisami końcowymi. Już cały drugi dzień spędzamy w warsztacie. Gdzie jest młotek, ktoś zabrał pilnik, przydałaby się druga spawarka, no i gdzie jest maska spawalnicza? I tak uważam, że jesteśmy tu logistycznie dobrze przygotowani. Przyjeżdżając, praktycznie każdy zabrał ze sobą jakieś narzędzia, ja na przykład mam szlifierkę kątową, pilnik, młotek, kombinerki, zapas gwoździ i wkrętów. Taki sprzęt przydaje się nie tylko w warsztacie, ale też do urządzenia naszej bichaty. Po chłopakach z poprzedniej zmiany bichaty, czyli domki, w których mieszkamy, są dosyć dobrze przysposobione. Każdy ma swoją kajutę, prawie tak jak marynarze na statku; w naszym domku dla Michała z części salonki wydzielamy pokój i tak mamy dowódcę Task Group z naszego Task Force pod ręką. Mieszkamy w siedmiu, uwierzcie mi, z czasem można po odgłosie kroków poznać, kto idzie, a nawet w jaki sposób który z nas otwiera i zamyka drzwi. Moje lokum jest pierwsze po prawej, więc każde trzaśnięcie drzwiami razy sześć w ciągu dziesięciu minut draży głowę jak kropla wody, kap, kap, kap, burząc błogi spokój. Więc docieramy się... i jeb. „Kurwa mać! Żwiru, musisz tak napierdalać tymi drzwiami...?”. „Kurwa, sorry”.

Bichata zbudowana jest z drewnianych płyt, to lekka konstrukcja z blaszanym dachem i drewnianą podsufitką, okna szczelnie pozaklejaliśmy czarną taśmą. Tu

pora dnia nie ma znaczenia, kiedy jest robota, to się robi, kiedy czas na sen, to się śpi, nawet w samo południe, więc w środku notorycznie panuje ciemność. Baza w Kandaharze funkcjonuje podobnie, stołówka otwarta cztery razy na dobę, siłownia czynna od świtu do późna, podobnie administracja, zaopatrzenie, wojna nie zna określenia czasu pracy od–do. W bichacie mamy i uznajemy to za podstawowy standard: klimatyzację, lodówkę, telewizor i stół, który sami zrobiliśmy na wymiar, taki normalny w naszym wąskim saloniku nie miał szans się zmieścić.

Dwa dni roboty na warsztacie, a efekt taki, że aż miło popatrzeć na naszą brykę i aż się chce jechać w teren, by sprawdzić, jak to jest umyć dłonie i twarz gdzieś na pustyni w bieżącej wodzie z kanistra zamontowanego na tylnych drzwiach. Dziwna zachcianka, sami przyznacie. Mając inne zadania od tych wykonywanych przez konwencjonalne wojska, nieczęsto jesteśmy stawiani w stan gotowości. Za to z zasady bez zbędnych rozkazów gotowość trzymamy sobie nawzajem. Gdy my jesteśmy w terenie, drugi nasz Task Group trzyma nam QRF (*Quick Reaction Force*). QRF są to siły szybkiego reagowania na wypadek konieczności wsparcia operujących w terenie wojsk, więc tak, jesteśmy dla siebie wsparciem.

Tym razem jednak nie chłopaki z drugiej TG są w potrzebie, a chomik. Nasze rozpoznanie wysłało bezpilotowca na rozpoznawczy lot, ale gryzoń w powietrzu widocznie zmienił zdanie na temat latania i wylądował w przygodnym terenie. Dziad spadł w niedalekiej odległości od lotniska, a jak już wspominałem, Rosjanie wszystkie bazy zabezpieczali, odgradzając się od przeciwnika polem minowym, tak więc mamy przewidzianą taką oto przygodę na dzisiejszy wieczór i pewnie noc. Po dojechaniu w rejon, gdzie spadł skurczybyk, rozstawiamy się tyralierą na skraju polnej drogi, „Jest gdzieś, lecz nie wiadomo gdzie...” – to jakoś z tej okolicy nasz nielot nadał ostatni sygnał GPS, pewnie S.O.S. Odklejam taśmy zabezpieczające światła drogowe humvee, włączamy latarki, no i naprzód, zapadł zmrok. Ktoś, by dodać sobie animuszu, krzyknął: „Czy leci z nami pilot?”. Ostrożnie posuwamy się naprzód, zwracając uwagę, gdzie stawiamy stopy, nie rozglądamy się na razie za chomikiem i jego odrzutowcem. Czy w takiej chwili, idąc po polu minowym, można myśleć co innego niż: „Do chuja pana, co ja tu robię?”. Po jakichś dwustu metrach tego niepewnego spaceru – jest! Znalazł się, leży bez ducha, nie dycha. Czasami i tak wyglądają operacje specjalne...

Ale byliśmy szkoleni do wielu zadań, przed nami więc kolejne wyzwania. Nasz polski kontyngent w Afganistanie rozrasta się w ramach prowadzonej, jak to nazywają politycy, a za nimi ślepo powtarzają dziennikarze, misji stabilizacyjnej. Naszych żołnierzy jest tu już około tysiąca stu. Ich zadania faktycznie brzmią, jakby brali udział w misji:

- zapewnienie bezpieczeństwa w wyznaczonych rejonach,

- ochrona projektów odbudowy,
- szkolenie armii oraz policji afgańskiej.

Nasze wojsko stacjonuje w Bagram, Sharanie, Ghazni, Wazi Khwa, Gardez oraz Mazar-i-Szarif, o Kandaharze nikt nie wspomina, choć to właśnie stąd obecny w Afganistanie minister obrony narodowej Aleksander Szczygło podczas konferencji prasowej podkreślił, że po sześciu latach od ataku na World Trade Center widać, iż nasz kraj stanął po stronie wolności.

Czasami nie ogarniam, co do nas mówią politycy. Wiem za to, że nie biorą na swoje barki odpowiedzialności za to, że nas, żołnierzy, wysyłają na wojnę pod przykrywką misji. Dla nas, dla żołnierzy, i to nie tylko polskich, poza nami, gdzieś tam na stołkach, rozgrywają się rzeczy niezrozumiałe.

16 sierpnia 2007 roku polski oddział ostrzelał obiekty cywilne na terenie wioski Nangar Khel w prowincji Paktika. W wyniku ostrzału ucierpiała ludność cywilna.

Można ten wpis potraktować jak suchą notatkę z przebiegu wojny i rozgrywających się w Afganistanie działań zbrojnych. Jest wojna, zdarzają się pomyłki, w wojennej zawierusze myli się cele, nie rozpoznając, kto swój, kto obcy, każdy ma prawo do emocji, ludziom po prostu czasami puszczają nerwy, wkrada się stres. Kto jednak nigdy nie walczył, nie był w wojsku, tylko napatrzył się na filmy i naczytał książek, to smak wojny i wiążące się z nią emocje zna tak, jakby lizał lód przez szybę. Nie da się zapisać reguł prowadzenia wojny, siedząc w czystej kancelarii i będąc ubranym w białą koszulę. Wojna to chaos, żołnierze, jak by nie byli wyszkoleni, mają prawo do emocji, do strachu, chęci zemsty, złości, nie jesteśmy maszynami, które można zaprogramować i odpalić do wykonania zadania, wciskając Enter bez uczuć. Zapisując wojenne prawo, zakłada się, że obie strony będą go przestrzegały. A jeśli któraś ze stron nie, to co? Pokażcie mi, proszę, taliba i wskażcie, z kim tak naprawdę walczyliśmy w Afganistanie. Ja byłem w stanie odróżnić taliba od przeciętnego wieśniaka tylko w momencie, gdy ten pierwszy był już martwy. Czy złamałem prawo? Skoro jedną z podstawowych norm międzynarodowego prawa humanitarnego jest „obowiązek odróżniania uczestników walki zbrojnej od ludności cywilnej przez strony konfliktu, oznacza to, że ludność cywilna jak i poszczególne osoby cywilne nie powinny być przedmiotem ataków wojskowych. Ataki powinny być skierowane wyłącznie na cele wojskowe (wojna to stosunek między państwami, a nie między ich ludnością cywilną)”.



Mina przeciwpiechotna – taki niepozorny kawałek plastiku

Ten zapis bardzo dobrze rozumiem, jest dla mnie czytelny, ale co w chwili, gdy atakują nas bojownicy ubrani po cywilnemu? Ktoś z panów polityków, sędziów, prokuratorów pachnących wodą kolońską po porannym goleniu odpowie na powyższe pytanie? Nie oceniam sytuacji z Nangar Khel, mnie tam nie było, ale byłem w wielu miejscach, gdzie strzelano do nas z za przysłowiowego węgla, a do porzuconej broni jakoś nikt ze stojących w pobliżu wieśniaków nie chciał się przyznać. Więc wysyłając nas na taką misjo-wojnę, bierzcie do cholery i wy, politycy, odpowiedzialność, nie tylko tę polityczną, oczekując w nerwach na wynik kolejnych wyborów, ale i tę wojenną za popełniane tam błędy.

W Kandaharze panem ministrem zaopiekowali się pozostający koledzy z naszego TF. My zaś w dziesiątkę pod dowództwem Michała lądujemy w bazie Bagram. Michał z Kudłatym po czterech latach wracają na stare śmieci. Są zaskoczeni tym, co zastajemy – to już nie to samo lotnisko z infrastrukturą skleconą z byle czego, lecz baza, miasto z komunikacją miejską, sklepami, stołówkami, no i dobrze zaopatrzonym PX. Polska część bazy jest nie do poznania. Bierzemy stąd trzy pancerne samochody i jedziemy do Kabulu na rekonesans. Dobrze przeprowadzony zwiad ułatwi nam poruszanie się podczas wizyty pana ministra. Nie ma nic lepszego niż doświadczenie. Chłopaki kilka lat temu robiły tu dokładnie

tę samą robotę dla rumuńskiego ministra, czyli ochronę VIP. Pozwala nam to poruszać się z punktu do punktu, układając trasę jak po sznurku.

Kabul to dziwne miasto. Praktycznie na każdym rogu ulicy, na każdym skrzyżowaniu stoi posterunek z umundurowaną obstawą, ale niezależnie od formacji nikt nie panuje nad tutejszym ruchem ulicznym. Każdy pojazd porusza się tu po swojemu, w którą stronę chce, nawet jeśli zdarzają się światła na skrzyżowaniu, nie ma to żadnego znaczenia dla kierowców. Ten, kto ma głośniejszy klakson i bardziej odporny zderzak, ten ma pierwszeństwo. Nasze irackie doświadczenie z ochrony VIP-a nie ma tu prawie żadnego przełożenia, tu po prostu nie ma możliwości taktycznej, by odseparować konwój od toczącego się ulicznego zgiełku. Jakies blokowanie ulic, jazda operacyjna na zakładkę... że co, że jak? Jak to uczynić w chwili, gdy dziadek z riksą załadowaną workami z cementem przeciska się na skos przez trzypasmową drogę, a w innym miejscu na środkowym pasie zatłoczonej ulicy stoi popsuty samochód, z chłodnicy bucha para? Rozwiązanie jest jedno: musimy wtopić się w ten miejski gwar i cierpliwie razem z nim płynąć z prądem w odpowiednim kierunku, a reagować tylko w kryzysowej sytuacji. Broń Boże, nie można odganiać dzieciaków przyklejających nosy do szyby samochodu, bo chcą zobaczyć, co kryje się za jej przyciemnioną strukturą. Odgonienie smarkacza tylko by zwiększyło jego ciekawość.

Po przedarciu się do zielonej strefy trzeba odczekać swoje na bramie wjazdowej, przejść kontrolę osobistą i pojazdów na służbie, następnie dopiero minąć kolejną bramę. Miejsce to zostało stworzone podobnie jak w Iraku: Bagdad miał swą bezpieczną strefę, Kabul ma swoją. Trochę ciężko stwierdzić, czy to tak do końca bezpieczne miejsce, bo chwilę po naszym przyjeździe ogłoszono alarm, a kilka sekund po zawyciu syren na teren bazy spadła rakietka, nawet nie zdążyliśmy pójść do schronu, zresztą, szczerze, po tak długim dniu nawet nikt się nie podniósł z pryczy. Na miejscu wita nas kilku naszych, ale takich, no wiecie, co w obowiązkach służbowych mają zapisane, by być dla wszystkich i zawsze przyjaciółmi. Będąc żołnierzami z byłej WSI, są tu jak na dobrowolnej zsyłce.

Po rozwiązaniu tej formacji w świecie kontrwywiadowczym powstał niezły bajzel, nawet nam przychylne służby, te z NATO, wskazują, że ujawnianie żołnierzy, współpracowników, zadań służby, jaką była WSI, osłabiło potencjał wywiadowczy nie tylko Polski, ale i Paktu Północnoatlantyckiego. Im taki żołnierz jak ja, jak my jest bliżej polityków i polityki, tym mniej z tego wszystkiego rozumie. Za likwidacją WSI kryje się „raport Macierewicza”, nie wiem, komu on zrobił dobrze, bo na pewno nie nam będącym tu na wojnie, a czy Polsce? Wiem jedno, wywiad, kontrwywiad, szpiegostwo... o tym można kręcić sensacyjne seriale, filmy i pisać powieści, a nie publikować raporty przedstawiające fakty,

ludzi, powiązania. Ktoś gdzieś tam, i jestem tego pewien, z tego raportu bardzo, ale to bardzo się ucieszył.

Ci teraz, kolejni w naszej historii wyklęci żołnierze, zbyt nie wiedzą, co ze sobą zrobić w Kabulu, w kraju czeka na nich komisja weryfikacyjna, tak jakby byli przestępcami, a czym zawinili? Przecież wykonywali rozkazy któregoś z polityków. A czy polityka ktoś poza wyborami zweryfikuje? Kto dba, kto myśli o takim pojedynczym żołnierzu? Uwierzcie mi, że na pewno nie taki właśnie polityk, który w młodości migał się od wojska, a teraz zgrywa fachowca w sejmowej komisji do spraw służb specjalnych. Wiem za to, przy jakiej okazji w Polsce wreszcie oddaje się żołnierzowi honor i mówi o nim jak o bohaterze. Dzieje się tak podczas mowy pochwalnej nad jego trumną. Jakoś tak w naszym kraju jest, że wolimy bohaterów leżących przykładowo na Powązkach niż żołnierza w boju, bo jestem pewien, że jeśli któryś z tu obecnych chłopaków z WSI dostałby w łeb, czekałaby na niego na Okęciu kompania honorowa i przemowy, a jak wróci żywy, to on będzie musiał przemawiać przed komisją.

Czytając dzienne raporty, mam wrażenie, że nasze wojsko przyjechało rozminować Afganistan kołami, na zasadzie rozpoznania pola walki szturmem, praktycznie w każdym tygodniu zapis brzmi podobnie:

KTO Rosomak podczas polsko-amerykańskiego patrolu, wracając do bazy Sharam, najechał na minę; nikt nie ucierpiał.

HMMWV podczas patrolu najechał na improwizowany ładunek wybuchowy; nikt nie ucierpiał.



Wieża kontrolna w Bagram, 2002 rok

Oby chłopaków nie opuszczało szczęście. Nas nie opuszcza. Poruszając się po Kabulu, jeździmy nie tylko tymi głównymi, ponoć bezpiecznymi drogami, ale i tymi mniej uczęszczanymi, gdzie się na nas dziwnie patrzy. W ekspresowym tempie musimy poznać miasto, by zweryfikować stan przejezdności ulic z tym, co widzimy na mapie. Pierwszą trasą do sprawdzenia jest droga na kabulskie lotnisko zwane KAIA (Kabul Afghanistan International Airport). Z niego kluczymy w stronę naszej ambasady, przeciskając się przez korki. Ambasada ulokowana jest jak dla nas dosyć dziwnie, bo poza zieloną strefą, już się nawet nie zastanawiamy, dlaczego w większości pozostałe państwa mają swoje ambasady w bezpiecznych strefach, a my poza. Podobna sytuacja nadal jest w Bagdadzie.

Ambasada to potężny i wysoki budynek, usytuowany w dzielnicy willowej, choć wielu budowlom naprawdę daleko do willi, to ten nasz wygląda na najwyższy w okolicy. Dwumetrowy mur z osadzoną na nim metalową konstrukcją daje czterometrową zasłonę, którą od góry spina drut kolczasty. Na teren ambasady można wejść i wjechać przez metalową bramę wjazdową, jest i furka. Na zewnątrz pod niebieską parasolką siedzą w brązowych koszulkach i granatowych spodniach dwaj miejscowi ochroniarze – wyglądają na znudzonych, co zresztą jest tu normą.

Nie bardzo wiem, co miał na myśli ktoś, kto wybierał miejsce na ambasadę, ale zabezpieczenie obiektu wykonano tak, by wyglądało na to, że coś się jednak

zrobiło w tej kwestii. Natomiast z profesjonalnym zabezpieczeniem budynku, a tym bardziej obiektu ambasady w miejscu takim jak Kabul, nie ma to nic wspólnego. Po wjechaniu na skromny dziedziniec witają nas funkcjonariusze z Biura Ochrony Rządu (i merdający ogonem pies), niektórzy z nich to chłopcy na schwał, postura w specyfice ich pracy pomaga, w naszej niekoniecznie. Większość z nas jest po borowskim kursie ochrony VIP-a, który został zorganizowany specjalnie dla nas w 2001 roku. Od tamtego czasu wiele się zmieniło w taktyce, w uzbrojeniu, ale jedno nie: VIP, jego zdrowie i życie jest najważniejsze. Do tej pory dosyć dobrze odnajdywaliśmy się w towarzystwie kolegów z BOR-u, po prostu to czuć, że się rozumiemy i wiemy, o co chodzi w tej robocie, zresztą wielu z naszych ma z borowikami koleżeńskie kontakty. Nasze firmy przez ostatnie lata sporo współpracowały, praktycznie każde pojawienie się w strefie działań zbrojnych któregoś z polityków skutkuje naszym wsparciem. Ja osobiście na koncie mam ochronę niejednego ministra, premiera, no i prezydenta, wizytujących w Iraku. Teraz Afganistan. Tu na miejscu, broń Boże, nie chcemy im wchodzić w paradę, robimy kordon zewnętrzny, to oni chronią VIP-a.

A my przy okazji odwiedzin mamy też za zadanie sprawdzić możliwość wsparcia ochrony ambasady przez nasz komponent. Wita nas attaché wojskowy, z tym że, jak to w polskim zwyczaju, ktoś o tak wysokiej szarzy nie zaprasza na salony, na kawę i o herbatce też możemy zapomnieć. Momentalnie przypominam sobie atmosferę z naszej ambasady w Bagdadzie, tam też wiało chłodem. Za to borowiki częstują zimną wodą, rozsiadamy się na półokrągłych schodach i schodzi na nasze polskie tematy, trochę zwierzeń. Chłopaki zerkają na nasze samochody i uzbrojenie nie tylko z ciekawością, ale i zazdrością. Ich wysłano tu na miękkich kołach z gołymi HK G36, dano po sześć magazynków, hełm i kamizelkę kuloodporną. Polskie „wystrel i zapomnij” w czystym wydaniu – ku chwale ojczyzny.



Pałac Darul Aman

Stąd blisko do miejsca charakterystycznego na mapie Kabulu, z ambasady jedziemy do Pałacu Darul Aman. Niegdyś był imponującym budynkiem wzniesionym na wzgórzu z widokiem na dolinę w zachodniej części Kabulu. Zaprojektowany przez francuskich i niemieckich architektów w neoklasycznej formie, miał niegdyś stać się siedzibą parlamentu. Budynek nie miał szczęścia, kilkakrotnie go podpalono, a podczas walk o Kabul toczących się pomiędzy mudżahedinami w latach dziewięćdziesiątych celnie ostrzelano, doprowadzając do kompletnej ruiny. Tabliczka „miny” odstrasza od zwiedzania. Cykamy więc kilka fotek na tle budynku z przyjaźnie wyglądającymi afgańskimi żołnierzami i czas na nas. Przed nami długi dzień.



15 września 2007 roku, zdjęcie pamiątkowe na lotnisku KAIA podczas wizyty pana ministra obrony narodowej Aleksandra Szczygły, z tyłu po jego lewej stronie Paweł Janeczek „Janosik”

Tu-154 wymalowany w narodowe barwy wylądował z telemarkiem na lotnisku KAIA. Patrząc na ten samolot i wspominam odbyte loty do Kuwejtu i z powrotem. Tam też było gorąco, a nawet jeszcze cieplej niż tu. Podejmujemy naszego VIP-a z wianuszkami oficerów, generalicja w obstawie miejscowych służb robi tournée po Kabulu. Przejazd jest całkiem znośny, jednak miejscowi potrafią się spiąć i pablokować drogi, mkniemy więc od urzędu do urzędu, by pod koniec dnia trafić do bazy ISAF w zielonej strefie. BOR dobrze to rozegrał, zrezygnowali z noclegu w pięciogwiazdkowym hotelu Serena na rzecz pokoiku z łazienką blisko nas, tu w bazie. Zresztą kolejne spotkanie ma się odbyć rano na miejscu, więc wszyscy z zadowoleniem przyjęliśmy nowinę, że z godzinę dłużej pośpimy. Szefem ochrony ministra Szczygły jest oficer BOR o ksywie Janosik, zresztą chłopak podobny jest do Perepeczki, odtwórcy głównej roli w filmie o tym zbójniku. Michał zna się dobrze z Janosikiem, już wcześniej kilkakrotnie współpracowali.



Afgańska codzienność ciągle jest dla nas egzotyką

Po zmroku siedzimy pod drewnianą altanką, popijając colę; w naszym namiocie wysiadła klima i nie da się zasnąć, a tu z wizytacją, czy raczej by pogadać, wpada Janosik w towarzystwie pana ministra. Facet wyrasta na swojskiego chłopca, nie przyszedł z pustymi rękoma i wyciąga butelkę whisky, dziękując za ochronę, co więcej, chętnych na cygaro częstuje pachnącym tytoniem Cohiba, zrobiło się całkiem miło, choć tematy nie za lekkie, przecież wojna, więc jak inaczej. Po dwóch łykach whisky brak klimy przed zaśnięciem nie przeszkadza, spocznij.

Do Kandaharu wracamy z poczuciem dobrze wykonanej roboty, nie tylko chomik uratowany, ale i minister bezpiecznie odbył kilka spotkań i odleciał do kraju. W tym czasie w kraju skierowano do Wojskowego Sądu Garnizonowego w Poznaniu wnioski o zastosowanie w stosunku do żołnierzy biorących udział w incydencie w Nangar Khel tymczasowego aresztu na trzy miesiące. Może po wyborach coś się zmieni, choć ktoś z przekonaniem stwierdził, że to mało prawdopodobne.

Ania, rakietka i oranżystki

Po kolacji wracam do bichaty, jestem już na terenie naszej tajnej bazy, gdzie nikt poza nami nie ma prawa poruszać się bez asysty – a tu pomiędzy zabudowaniami przemyka panna w mundurze z holenderską flagą na ramieniu. Jedyne, co przyszło mi do głowy, to złośliwie krzyknęcie: *hände hoch*. Holandia, podobnie jak my w Polsce podczas drugiej wojny światowej, była okupowana przez Niemców, więc dziewczyna powinna kumać, o co mi chodzi. Na moje zawołanie słyszę odpowiedź w słowiańskim języku, i to rodem znad Wisły, choć z lekko twardym akcentem.

- Nie strzelaj, bierz żywcem.
- To ty nasza?
- Tak, wasza, jestem Ania.
- No to jak ty nasza, to ja cię, Aniu, zabieram ze sobą.

Ania na stołówce usłyszała polską mowę, ładnie się przedstawiła i zapoznała z dwójką naszych, no i wiadomo, swój do swojego ciągnie, więc po wspólnie zjedzonym posiłku na kanadyjskiej stołówce chłopaki zaprosiły Anię do nas. Ania właśnie przyszła, dosłownie na chwilę pozostawiono ją samą, co pozwoliło mi na dokonanie kontrolowanego przejścia. Kobięcy głos spowodował, że wszyscy, cała nasza siódemka, wyszli ze swych nerek i napatrzeć się nie możemy na rumieńce dziewczyny z Holandii, choć tak naprawdę to z Dolnego Śląska, a dokładnie z Jawora, bardzo malowniczego miasteczka położonego nad wijącą się rzeczką o nazwie Nysa Szalona. Wypytywamy, zaciekawieni tą niecodzienną znajomością, skąd ona tu się wzięła, że jak, że co, że Polka w holenderskim wojsku, i to taka śliczna, miła, nasza...



„Nasza” Ania

A z Anią było tak: do Holandii przyjechała wraz z mamą w 1997 roku, wiadomo, serce nie służy, a że pewien Holender okazał się dobrym i miłym mężczyzną, to mama Ani ułożyła sobie na jednej z holenderskich wysp nowe życie. Jak zawsze, początki w nowym miejscu dla nastolatki nieznającej języka nie były łatwe. Tęskni za dawnymi znajomymi z Jawora, za domem, ale najbardziej za bratem Andrzejem, z którym łączą ją do dziś silne rodzinne więzi. I jak to z młodszym rodzeństwem bywa, siostrzyczka chciała robić to co brat, jak on może, to co, Ania nie da rady? Brat zgodnie z polską racją stanu jako młody chłopak, co było w tamtych czasach normą, został powołany do zasadniczej służby wojskowej i trafił do jednostki w Legnicy, gdzie był kierowcą. No to jak brat w wojsku, to i Ania. Lata leciały, dziewczyna poznała niełatwy język, skończyła szkołę, sporo się w jej życiu zmieniło poza jednym: jak brat był w wojsku, to i ona chce zostać żołnierzem. Złożyła wszelkie potrzebne dokumenty, by dostać się do zawodowej Koninklijke Landmacht, czyli Królewskiej Armii Holandii.

Przy okazji nadrabiamy zaległości z historii: początki holenderskiej armii sięgają 1572 roku, kiedy to powołano do życia Staatse Leger (był to rodzaj wojsk zaciężnych, dziś byśmy ich nazwali najemnikami), która w tamtym czasie była w stanie stawić czoła mocarstwom europejskim kolejnego stulecia, a teraz czyni z holenderskiej armii jedną z najstarszych formacji wojskowych na świecie. Ania

pojechała na pierwszy test bez żadnego przygotowania, w holenderskich szkołach wychowanie fizyczne jest na dobrym poziomie, uznała, że da radę. Nie dała. Wróciła do domu ze spuszczoną głową, ale nie poddała się, egzamin ukazał jej słabe strony: biegła w miarę dobrze, za to ramiona i brzuch wymagały wzmocnienia, co wiązało się z intensywnym treningiem. Widać po niej, po tym, jak opowiada, że ma charakter, uroda może tylko zmylić, że to takie bezbronne dziewczę. Zapisła się do szkoły sportowej na profesjonalne zajęcia i tak cztery razy w tygodniu pod okiem trenera szlifowała formę, wzmacniając nie tylko ramiona, ale i całe ciało.

To były trudne cztery miesiące, czy było warto, tego, jadąc na kolejny egzamin, nie wiedziała. Cztery miesiące, jakie jej dano na przygotowania, minęły zbyt szybko, na test jechała już nie tak pewna siebie jak za pierwszym razem. Ale tym razem wracała do domu w odmiennym nastroju, bardzo z siebie dumna: zaliczenie egzaminu było wielką osobistą nagrodą. I tak to sama, bez niczyjej pomocy dostała się do wojska, może być tak jak brat. Rok 2006 był przełomowy w jej życiu: dostała powołanie i wysłano ją na czteromiesięczny kurs, taką trochę naszą unitarkę, choć Ania mówi, że u nich po prostu nazywa się to szkołą wojskową Amo w miejscowości Ermelo. Takie szkolenie dla młodych ludzi powinno być pomyślane tak, by trochę dać w kość i zmienić miękki charakter cywila w lekko szorstki wojskowy, a zarazem merytorycznie uczyć. Powiązanie wysiłku fizycznego z mentalnym i nauką. Plusem, ale i minusem takiego szkolenia w Holandii było to, że można było odejść na własną rękę w każdej chwili, więc ci słabsi bardzo szybko się zniechęcali i poddawali.

Ania wspomina, że po ciężkim dniu, takim jednym z pierwszych, po którym nikt nie miał problemu z zaśnięciem, obudzono ich krzykiem, kazano w pięć minut ustawić się na zbiórce w pełnym umundurowaniu z całym sprzętem osobistym. Oświadczono, że czeka ich całonocny marsz kondycyjny, wydano rozkaz „w lewo zwrot, naaaaaaprząd marsz!”. Przeszli kilkaset metrów, ale zaczęli odzywać się maruderzy, więc zatrzymano całą kolumnę przed bramą koszar i kazano wystąpić tym, którzy chcą zrezygnować. Odseparowano ich od reszty, kazano wracać do bazy, a rano odesłano do domu. Pozostali zatoczyli koło wokół bazy i wrócili do łóżek. Jakie te socjotechniki w armiach świata są do siebie podobne... Nigdy nie mogłem zrozumieć rekrutów, którzy podczas selekcji przed podobnym nocnym marszem występowali z szeregu, mówiąc, że oni dalej już nie idą, i rezygnowali bez szansy zobaczenia, co będzie dalej. Właśnie po to się to robi, by zostali tylko ci, którzy naprawdę chcą, a Ania chciała.

Szkoła i szkolenie w bazie Amo bardzo jej się spodobały, po wstępnych fizycznych wyciskach, gdy już pozbyto się maruderów, uczyli się bardzo przydatnych umiejętności. Jak na wojskowe szkolenie przystało, była obsługa broni

i sprzętu wojskowego, zajęcia strzeleckie i taktyczne, zagadnienia związane z logistyką i z przerzutem wojsk. Codziennie bardzo dużo sportu, ale wszystko z uśmiechem i metodycznie, nawet trening, na którym ich mocniej dociskano, zaczął sprawiać jej przyjemność. Cztery miesiące minęły błyskawicznie, a Ania przyznaje, że był to bardzo dobry okres w jej życiu, śmieje się, że nigdy tak dobrze nie spała jak podczas tamtego szkolenia. Po szkoleniu trafiła do jednostki logistycznej 130 Cluster Compagnie w Stroe. Jadąc tam, już z góry wiedziała, że jej oddział szykuje się na kolejną zmianę do Afganistanu. W jednostce wciągnięto jej, jako żołnierzowi, na stan czterotonową ciężarówkę i została jej kierowcą, a teraz do Afganistanu przyjechała na etat logistyczny, zwany w wojskowej nomenklaturze T&T, co oznacza, że cały holenderski sprzęt, wszystkie palety wracające do kraju lub te przylatujące, by doposażyć holenderskich żołnierzy, przechodzą przez jej ręce, no, może dosłowniej jako dokumenty przez jej biurko i komputer.



Afgański ciąg komunikacyjny

Holenderskich żołnierzy spotkałem w Libanie na misji ONZ, potem czasami widywałem ich w Iraku, ale jakoś nigdy nie było nam dane z nimi współpracować, teraz, z tego co opowiada Ania, holenderska armia to bardzo przyjazna i nowoczesna instytucja, w której kładzie się nacisk na poprawne stosunki międzyludzkie. Są stopnie, wymaga się szacunku dla przełożonych, ale nikt nie

mówi „pan, pani”, zasadą jest, by odnosić się do siebie z uprzejmością. Ania zdaje sobie sprawę, że oczywiście nie wszystko jest idealne i że wojsko to jednak męski świat, ale trzyma się zasady: „Teraz rób wszystko, czego chcesz, aby w przyszłości nie żałować, że tego czegoś nie zrobiłaś”. „No... tu jesteś” – przerwał naszą pogawędkę zazdrosny głos Gucia mieszkającego dwie bichaty dalej i tym samym zakończył Ani opowieść. „Tu nikomu nie można ufać, jeżeli chodzi o relacje damsko-męskie” – ostrzegł Anię, patrząc na nas zazdrośnie, nawet nikt nie protestuje... co racja, to racja. Ania na pożegnanie wspomina, że tu w bazie jest jeszcze jedna Polka, ma na imię Agata i pracuje dla Kanadyjczyków w sklepiku z przepyszными pączkami. No dobra, to jutro, jak znajdziemy czas, idziemy na pączki palce lizać.

Skrzypienie naszego wozu już mniej mi przeszkadza niż przy pierwszym wyjeździe, patrzę raczej z podziwem na to, jak sobie radzi humvee na ścieżkach Afganistanu, zresztą dziś trudno nazwać nasz wyjazd jazdą po bezdrożach, to raczej odkrywkowa eksploracja górzystych rejonów Marsa. No, ale chłopakom z Marsa taki teren niestraszny. Ruszyliśmy w środku nocy, tak jak zawsze, by ukryć się w ciemności przed wzrokiem spotterów przeciwnika. Wiemy, że talibowie obserwują całe lotnisko, są czujni i cierpliwi, ale i tym razem mamy informację, że zniknęliśmy im w ciemności. Nawołują się przez radiostacje, budzą kolejnych spotterów, lecz my jesteśmy już daleko, by o poranku pojawić się gdzieś, gdzie się nas zupełnie nie spodziewają. W nocy przekroczyliśmy drogę A75 i na tyle, na ile było to możliwe, posuwaliśmy się wyschniętym korytem sezonowej rzeki, po prawej mając górskie pasmo, a po lewej równinę z pieprzonymi ornymi poletkami.

Z nastaniem świtu jazda korytem rzeczonym staje się zbyt niebezpieczna, raczej nikt tu nie wie o naszym przybyciu, jesteśmy około stu kilometrów na wschód od Kandaharu, ale gdybyśmy jechali w rzeczonym wąwozie, to można by nas było zarzucić kamieniami. Nawigator z pierwszego pojazdu znalazł łagodny wyjazd, po śladach opon widać, że używają go miejscowi. Jakoś zbytnio nie lubię jeździć tu utwardzonymi drogami, nawet tymi, którymi poruszają się miejscowi kierowcy. Przeciwnik na bank zakłada, że i my czujemy się na nich bezpiecznie, więc będziemy z nich korzystać, co daje duże prawdopodobieństwo podkładania tam IED. Miejscowi znający markery służące do ostrzegania bezboleśnie omijają rejon zasadzki, a czy my je zauważymy...? Tak, wiem, wiele tu sprzeczności w działaniu i taktyce, ale taka jest ta dziwna nasza, nie nasza wojna. Po kilkudziesięciu metrach skręcamy mocno w lewo i zaczynamy wspinać się, i to dosłownie, samochodami w górę. Opony trą o ostrą powierzchnię, jadąc pod sporym kątem, przechyliam się w tył, nie widząc maski auta i tego, po czym i gdzie jadę. Kieruje mną Karol, podpowiadając z wieżyczki, w którą stronę kręcić kierownicą, by nie zderzyć się ze skałą, której nie przepchnę. Myślę sobie, że jak zaczniemy robić koziołki w tył, to

lepiej, by Grzesiek zeskokczył z paki w bok, a Karol dał nura tu do środka. Dzielę się z nimi moimi spostrzeżeniami, ale w odpowiedzi słyszę:

– Weź nie pierdol...

– No dobra, czyli się nie wypierdolimy czy raczej mam nie krakać?

– Nie kracz...

Jakoś ustały te nasze rozmowy. Nawet Michał nie zapodał kolejnego muzycznego utworu, chyba że wpadł na pomysł i szuka AC/DC z ich drogą do piekła, bo to, co nas otacza, dokładnie tak wygląda. Jedziemy w okolice miejsca, które przez poprzedników zostało nazwane bramą Mordoru, wszystko się spina. W powieści *Władca Pierścieni* cała kraina nosiła tę nazwę, a to miejsce zasługuje dokładnie na to samo miano, choć to nie fantazja, lecz jawa. Z wyczuciem naciskam pedał gazu, niby jadę, ale w głębi duszy wierzyć mi się nie chce, że wdrapiemy się na taką górę jak ta, komentarze, które słyhać w eterze..., nie są do powtórzenia. Ale humvee daje radę, skrzypi, trzeszczy, a mimo to metr po metrze płynnie przesuwa się, nie zwracając uwagi na stromiznę. Jednak stop, już nie daje... By dalej jechać, muszę włączyć blokadę tylnego mostu – ten sprytny mechanizm umożliwia różnicowanie prędkości obrotowej kół tylnej osi, powodując, że koła poruszają się z taką samą prędkością; dzięki temu, gdy jedno z kół trafia na lepsze podłoże, jedziemy, nie buksując w miejscu pozostałymi kołami. Koła momentalnie inaczej zapracowały na skale, opony wgrzają się równomiernie, trąc twardą gumą o chropowatą powierzchnię, jedziemy. Suniemy powoli, metr po metrze w przód, a raczej w górę, jeszcze kilkanaście metrów, kilka i jesteśmy *on the top*.



To jeszcze ziemia czy już Mars?

Przed nami roztacza się iście marsjański widok czerwonej planety aż po bezkres. Teren jest pagórkowaty, ale to nie jednolita skała, raczej jakby ktoś rozsypał popiół z pieca opalanego złej jakości węglem. Spociliśmy się bardziej od humvee, po wjechaniu na szczyt maszyna udowodniła, że potrafi więcej, niż na to wygląda, wyrasta na bohaterkę dnia, zresztą wszystkie wjechały, a my stoimy, będąc jakby nie z siebie, a z nich dumni, to było, serio, coś niesamowitego. Pokonujemy kilka kolejnych pagórków, ale już z mniejszymi emocjami, choć przy zjeździe w dół też jest niezła zabawa, tym razem to Karol ma obawy, czy nie zrobimy przewrotu w przód. Jadąc w stronę górskiej przełęczy, zatrzymujemy się jakieś trzy kilometry od góry, na wprost bramy, która faktycznie wygląda jak wstęp w zaświaty, jak nic Mordor. Można się tu poczuć jak na odludziu, a jednak nie... Wywiad donosi, że jest ruch w eterze, jesteśmy obserwowani, gdzieś tam w górach zaskoczony naszą obecnością spotter po zobaczeniu nas ostrzega okolicę i wzywa posiłki. Trzy kilometry, które dzielą nas od gór, to dystans, w jakim możemy czuć się całkiem bezpieczni, zresztą oni też, oni z tą przewagą, że nas widzą, my ich nie. Snajperzy rozłożyli się na pozycjach i skanują teren w poszukiwaniu gościa. Wybiła dziesiąta rano, zatem trochę tu zostaniemy. Słońce zaczyna dawać o sobie znać i po rześkim poranku pozostało tylko wspomnienie.

Rozkładamy cały nasz dobytek – rozwieszam pałatkę, na nią zarzucam siatkę maskującą, a w cieniu rozstawiamy łóżka polowe. Przemo odpalił kuchenkę, na której szybko zaczęła się gotować woda. Wszystko zajmuje nam nie więcej jak dziesięć minut, cholera, rozumiemy się bez słów, no i jak miło jest umyć ręce gdzieś na pustkowiu w bieżącej wodzie, wysmarkać nos, umyć twarz, takie niby nic, a cieszy. W pełni korzystamy z tych dwóch dni, które poświęciliśmy na pracę, by przerobić po swojemu humvee, nasze rozwiązania są praktyczne. Może nie jest to topowy kamper, ale leżenie na łóżku w cieniu, jaki daje rozwieszona płachta, przynosi zasłużone wytchnienie od palącego słońca.

Czy to dzień, czy noc, na każdym pojeździe ktoś czuwa, obserwując teren, mamy widok na trzysta sześćdziesiąt stopni, no i snajperów, którzy licytują się, kto go pierwszy zobaczył... Jest! Strażnik Mordoru siedzi na skalnej półce w cieniu jednej trzeciej wysokości górskiego grzbietu, jak on tam wlaźł? Przed nami nawet się nie chowa, te trzy kilometry dają bezpieczeństwo. A więc są, nie walczymy z duchami, tylko jest, z krwi i kości prawdziwy talib siedzi w górach i nas obserwuje, ogłaszając okolicy pojawienie się obcych.

Traktujemy nasz patrol nie tylko jako rozpoznanie, ale i jesteśmy całkowicie gotowi do działania. W żaden sposób nie dajemy poznać, że wiemy o jego obecności, nie wiemy natomiast, jakim sprzętem optycznym dysponuje, niech się na nas napatrzy. Kilka godzin w jednym miejscu to wystarczająco dużo, by wypocząć i dać przeciwnikowi czas na to, by zaplanował, jak się do nas dostać. Informacje, które mamy, są szczątkowe, nie zawsze tłumacz na tak dużym dystansie radiowym jest w stanie zrozumieć i wyłapać, o czym oni rozmawiają. Jedno jest pewne: drażni ich nasza obecność i coś kombinują, zaczęli się zwoływać, choć z naszej pozycji żadnego ruchu talibów nie widać, wiemy na bank, że są.

Po ogłoszeniu przez Michała gotowości do wyjazdu w pięć minut jesteśmy zapakowani i ruszamy równolegle do gór, z zamiarem zjechań w dół, by po chwili pokazać się na innej górze. Przyzwyczajaliśmy ich, że jesteśmy w jednym miejscu, więc na bank kombinują atak na tę pozycję, teraz musimy zniknąć, by zabawić się z nimi w kotka i myszkę. Nie ujechaliśmy dwustu metrów, gdy nad naszymi głowami poszybowała wystrzelona z oddalonych gór rakietka. *Fuck*. Nasz wywiad donosił, że talibowie chwalą się jakimiś tam raketami, ponoć nawet chińskimi, których zasięg zwiększają, wkładając od tyłu do rury raketnicy szmatę, fachowcy. Trochę w te wieści nam się wierzyć nie chciało, ale po przeleceniu nad naszymi głowami czegoś, co przypomina wielkością radzieckie RPG-7, których zasięg oscyluje w granicach pięciuset metrów, przekonaliśmy się, że ich arsenał ma jakieś nowinki, no niedobrze. Pieprznięto głucho z dwieście metrów za nami. Zjeżdżamy z linii strzału, skrywając się taktycznie za zboczem pagórka. Z naszej strony nie pada żaden strzał, nikogo nie widać, nie ma z kim walczyć, a na oślep

nie ma co strzelać. Jeździmy, klucząc pomiędzy pagórkami, pokazujemy się od czasu do czasu, by zmusić ich do aktywności, ale cisza. Tamta rakietą to taki wystrzał raczej na wiwat, ktoś tam nie wytrzymał i licząc na łut szczęścia, wypalił, ale dupa, nie trafił. My, jeżdżąc, zbieramy do kupy informacje i staramy się dowiedzieć, co kombinuje druga strona, chcemy też trochę ich zmęczyć.

Jeśli nic nie wiesz o przeciwniku, to warto się wycofać, unikać walki i poczekać na chwilę, w której wiedza o zamiarach drugiej strony, liczbie bojowników, zajmowanych pozycjach, rodzaju broni pozwoli ci wypracować przewagę i dać sobie czas na znalezienie miejsca, w którym to ty będziesz chciał walczyć. Zawsze jest lepiej dwa razy się wycofać, niż raz zginąć. To taka trochę rozgrywka jak w pokera: siadając do pokerowego stołu, przypatrujesz się graczom z nadzieją, że wypatrzysz frajera, a kto nim jest, jeśli nikogo nie jesteś w stanie wskazać...?

Krótko przed zmierzchem wjeżdżamy na jeden z pagórków, pokazujemy się tam, mając już gotowy plan na tę noc. O przeciwnikach wiemy, że czują się tu bardzo pewnie, od wielu lat nikt ich tu nie atakował, wojska koalicji trafiają tu rzadko, a gdy pokazali się nasi, przyjeżdżając z rekonesansem, zostali ostrzelani z daleka podobnie jak my. Chłopaki miały wtedy tylko pozyskać informacje o terenie, my już nie.

Talibowie ukrywają się w górach, w wioskach położonych w mało dostępnych dolinach, są u siebie, tu żyją, tu mieszkają. Za górami znajduje się Pakistan, który stanowi dla nich idealne naturalne zaplecze, i tu, i tam mieszka ludność wywodząca się z tego samego plemienia, są nimi Pasztunowie. Co więcej, po drugiej stronie granicy tereny przylegające do Afganistanu stanowią Terytoria Plemienne Administrowane Federalnie, ale to zapis tylko na papierze, faktycznie tereny te mają bardzo dużą autonomię, górską granicę w naszym rozumieniu praktycznie nie istnieje. Talibowie uzbrojeni są w standardową poradziecką broń, pozostawioną lub zdobytą od Rosjan, zagadką jest, czy po tamtej wojnie zostało coś po Amerykanach, no i wiemy, przekonaliśmy się za dnia, że są w stanie wystrzelić jakieś dziadostwo na dystansie trzech kilometrów, co prawda nie trafili, ale doleciało. Strasznie drażni ich tu nasza obecność, taka trochę plama na honorze, ale my się im sprowokować nie damy, liczymy na to, że oni nam tak, jak w rozgrywce pokera, czekamy... Popołudniowe przemieszczanie się miało to właśnie na celu, a teraz noc pokaże, czy udało się ich sprowokować, dzięki temu też dobrze poznaliśmy teren. Plan wygląda następująco.



On the top

Zatrzymaliśmy się w widocznym dla talibów miejscu, wybraliśmy je tak, by można było nas zaatakować bez konieczności podejścia na bezpośredni dystans, ale i tak, byśmy mogli się stąd ulotnić niepostrzeżenie nocą. Jeszcze z rosyjskich książek, a najbardziej z tych przetłumaczonych przez Amerykanów, poznaliśmy taktykę talibów, tę dawną i obecną. Wierzymy, że dużo się nie zmieniło w ich standardowym działaniu. U nas zmiany są ogromne, dysponujemy najnowocześnieszą optoelektroniką, która nie jest rozpowszechniona nawet wśród wojsk koalicji, taki sprzęt nie istniał za czasów Rosjan, więc talibowie nie mają pojęcia, czym walczymy. Talibowie raczej nie spodziewają się, kogo mogą mieć za przeciwnika tej nocy, a mają polski GROM, nie zasadniczą służbę z Kraju Rad z lat osiemdziesiątych XX wieku, ani będącą tu w przewadze konwencjonalną jednostkę międzynarodowych sił ISAF. Jesteśmy dla nich dość dziwnym zjawiskiem, jeżdżącym pod ich nosem, tym bardziej będą chcieli przyjrzeć nam się z bliska w nocy. Czy jesteśmy pewni siebie? Musimy być, chcąc robić tę robotę, musisz polegać na sobie, na sekcji i zespole. Talibowie są przyzwyczajeni do schematycznego działania, organizują zasadzkę, wysadzają za pomocą IED któryś z pojazdów wojskowej kolumny i pozostają w ukryciu i bezkarni; rzadko podejmują walkę, a jak już, to wybierają dogodne dla siebie miejsce i odpowiednią porę dnia. Dzisiejszej nocy to my postaramy się ich zaskoczyć, jesteśmy

niekonwencjonalni w swoim działaniu, nie ma schematu. Chcąc z nami walczyć, talibowie muszą podejść bliżej naszej pozycji.



Snajperzy nawet w trakcie boju potrafią leżeć. Wypatrujemy spottera

W nocy na swoim terenie poruszają się dość pewnie i sprawnie, więc liczymy na to, że skorzystają z nadarżającej się okazji, by nas zaatakować, i podejść bliżej. Mają swoje ulubione pory dnia, walczą zaraz po pierwszych modłach o samym świcie lub wyczekują, by zaatakować tuż przed zachodem słońca, mając je za plecami. My kochamy noc, w nawiązaniu do powieści Sergiusza Piaseckiego czujemy się jak bogom nocy równi. Pozwolimy talibom podejść blisko nas, zakładamy, że zajmą pozycję na wzgórzu, która jest od nas oddalona o jakieś czterysta metrów. Tamto miejsce lekko przewyższa naszą pozycję, co więcej, oni mają je po drodze, łatwo można do niego podejść skrycie, niewidzianym z naszego miejsca żlebem, ale z innej pozycji ten żleb my widzimy... Jest to dosłownie idealna pozycja wyjściowa, by nas ostrzelać i odskoczyć w razie niepowodzenia. Zabawa w kotka i myszkę będzie polegała na tym, że nie zawsze będziemy znać ich pozycję, ale jak pojawią się w żlebie, będziemy wiedzieć, że są, gdyby szli normalnie po pagórkach, to tym bardziej mamy ich jak na widelcu. Na dzisiejszą noc nie zabraliśmy bezpilotowca, chomik został w domu, niech uczy się latać, bo na razie więcej z nim problemów niż pożytku, więc widzimy to, co jest możliwe do

zaobserwowania z naszych rozstawionych pozycji. W chwili gdy nastanie już całkiem ciemna noc, zwiniemy się stąd, a nuż wybiorą inny plan, niż ten zakładany przez nas lub zdecydują się ostrzelać nas nocą, wtedy to najwyżej będą walić w puste wzgórze. Humvee, gdy nie naciska się mocno na pedał gazu, mruczy bardzo delikatnie, fakt, skrzypi, ale dystans, zasłona w postaci pagórków powinna wyciszyć nasze przemieszczanie.

Nasz plan powstały w trakcie jeżdżenia tu i tam zakłada, że przemieścimy się w tak zwane zakryte i bezpieczne dla nas miejsce. Jest ono tak idealne, że aż się nie chce wierzyć, znajdziemy się lekko po skosie na tyle pagórka, który zostawiamy talibom. Odczekamy tam tyle, ile trzeba, a gdy będziemy pewni, że talibowie zajęli pozycję wyjściową do ataku, dokonamy rajdu ze strony, z której się nas nie spodziewają. Zawarczały, zaskrzypiały humvee, paliwo zawrzało, pieniać się w przewodach jak gorąca krew w żyłach drapieżnika gotującego się do ostatecznego skoku, ale wiecie co...



Na stanowisku pozyczone RPG-7 i AK-47. Uciekli

Nie mamy z kim walczyć... uciekli w panice, pozostawiając na miejscu cały, dosłownie cały sprzęt. RPG-7, AK-47, karabin maszynowy PK/PKS, radiostację, a nawet osobiste szmaty, i pogubili sandały, więc pobiegli na bosaka. Nie padł nawet jeden strzał, ale i nie ma jak ich gonić, to ich teren, są na lekko, nawet

snajpy, widząc ich plecy, odpuszczają, nie mamy w zwyczaju strzelać w plecy, choć oni pewnie, mając tak wystawionego przeciwnika, zachowaliby się inaczej...

Więcej emocji i roboty mamy w drodze powrotnej niż z talibami. Zbyt nie ma jak wrócić stąd inną drogą niż tą, którą przyjechaliśmy, przebiega ona korytem rzeki. By nie dać się, jak już wspomniałem, zasypać w korycie kamieniami, choć po naszym nocnym numerze to raczej w okolicy nie mamy z kim walczyć, jeden humvee jedzie górą. Szyszunia, którego uważam za jednego z najlepszych kierowców, a może i za najlepszego, dojechał do takiego miejsca, że w samochodzie pozostał on sam; jest tak stromo, że auto zaczyna się niebezpiecznie obsuwać w stronę skarpy, która kończy się w wyschniętym korycie rzeki. Trochę tak głupio zginąć na wojnie, spadając samochodem z urwiska, prawda? Jedziemy ratować naszych i mamy okazję, by trochę sobie nawzajem podokuczać. Pamiętam Szyszunię sprzed lat: podczas pokazowego szturmu na samolot (pokazowego dla nas, kursantów) jako kierowca, jadąc na pełnej prędkości, ominął ze stojącą na platformie drabiną skrzydło samochodu dosłownie o milimetry i precyzyjnie zaparkował pod drzwiami tupolewa; szybki szurm, ewakuacja i podobnie efektowny odjazd. Jako kursanci siedzieliśmy z otwartymi ustami, patrząc na umiejętności naszego szturmu, i kierowcy byli dla nas kimś, na kim chcieliśmy się wzorować, zajęło nam to sporo czasu, by móc w przyszłości robić to, co oni wtedy.



Chirurgiczna robota przeprowadzona bez jednego wystrzału

Podjeżdżam tyłem, na ile pozwala teren, pod kątem prawie dziewięćdziesięciu stopni, i zaczepiam jego linę holowniczą do mojego humvee. Moją linę mocuję do będącego już całkowicie na płaskim terenie humvee Chińczyka, który na razie w liczbie wywróconych samochodów jest na czele grupy kaskaderów, i tak ciągnąc się nawzajem, ostrożnie metr po metrze wyciągamy na prostą naszego mistrza kierownicy. Ostatni będą pierwszymi, tak mówi pismo, a i pokazuje życie. Chińczyk jako kierowca ma tu chyba najgorszą robotę, jeździ w stawce jako ostatni, my zazwyczaj mamy tylko swój kurz, a oni z tyłu swój, no i to, co my wzbijemy w powietrze. Teraz, będąc z przodu, wybrał idealną drogę, obyło się jedynie na przetestowaniu lin holowniczych i porządnym łańcu.

Było cholernie dużo emocji i zeszło się nam z tą operacją. Taki dzień, pełen wrażeń bardzo szybko mija i rozładowuje ludzkie akumulatory, nie zwraca się uwagi na palące słońce czy kurz, jest robota, to się robi ponad siły, lecz z czasem przychodzi zmęczenie. Przemieszczamy się terenem, który nie pozwala nam przyśpieszyć, musimy wracać do bazy objazdem. Zdajemy też sobie sprawę, że nocny wyczyn odbija się po okolicy echem, więc unikamy zbliżania się do wiosek, trochę z zazdrością patrzę na utwardzone drogi, ale nie... Na kurz już nie zwracam uwagi, czasami brązowawe gile z nosa lecą tak często, że i na rękawie nie mam miejsca, by je wytrzeć, marzę o przystanku, by móc się wysmarkać i przemyć nos.

Zatrzymujemy się dopiero przed zmrokiem, nie mam pojęcia gdzie i zbytnio mnie to nie interesuje, chcę tylko porządnie wyczyścić nos, co zajmuje mi sporo czasu, zanim doprowadzę się do stanu używalności i będę mógł normalnie oddychać.

Wylądowaliśmy na jakimś jedynym w okolicy pagórku, otacza nas smagany wiatrem bezludny po horyzont kres – ciekawe, co to za planeta. Mam prawo do snu jako pierwszy, na moją wartę nadejdzie czas w ostatniej kolejności. Nie zabawimy tu długo, o północy zwijamy się stąd i w zależności od drogi postaramy się do rana dostać do Kandaharu. Błyskawicznie zasypiam. Ktoś albo coś ciągnie i szarpie mnie za palec, jeżeli można nie chcieć wstawać, to jest to właśnie taka chwila. Zmieniam Grzesia, jego pora na sen jest najgorsza, bo przerywana. Miał trzy godziny spania, godzinną przerwę na wartę i teraz ma godzinę, ale chyba zasnął, zanim położył głowę na łóżku. Wozimy ze sobą cztery składane amerykańskie łóżka polowe, skrzypią głośniejsz od humvee, jeżeli kiedykolwiek ktoś nas w nocy znajdzie, to właśnie po odgłosach przekręcającego się na polowym łożu kogoś ze zmiany odpoczywającej. Para wodna wydobywa się z moich ust, siedzę na wieżyczce do połowy zapakowany w śpiwór, chętniej niż na przedpole zerkałbym przez noktowizor w niebo, licząc spadające gwiazdy odpowiedzialne za spełnianie się moich marzeń.

Normalnie, czyli u nas w Polsce, patrząc w niebo trzeba mieć trochę cierpliwości, by akurat nie mrugnąć podczas wypatrywania końca płonącego w atmosferze kosmicznego zwiadowcy. Gdy zerka się w niebo przez noktowizor, atmosfera dosłownie co chwilę rozbłyska nowym gościem z kosmosu. Ocenia się, że każdego roku na Ziemię spada około miliona meteorytów, więc podczas patrzenia w niebo nie ma nudy, a lista życzeń szybko się zapełnia. Siedząc tu na warcie, można sobie pozwolić na bujanie w gwiazdach, widzimy wszystko w promieniu dwóch, a nawet trzech kilometrów, nie, wcale nie narzekam na nudę.

Wybiła północ, czas na nas. Lubię to nasze zbieranie się, jesteśmy jak zaprogramowani, jedna komenda Michała ogłaszająca „pięć minut”, by po pięciu minutach usłyszeć „naprzód” i nie ma, że stop, że ktoś nie zdążył. Wszyscy są i czekają od minuty na komendę do ruszenia. Niestety nie wieje, jedziemy na zakładkę, by nie wdychać kurzu poprzednika, choć ten nasz podnoszony przez opony napełnia kabinę i jedziemy razem z nim. Michał zapuścił Rammstein, ta muzyka idealnie pasuje do naszej nocnej jazdy, nawet nieco przyspieszyliśmy. Po godzinie dosyć płynnego poruszania się dojechaliśmy na skraj jakiegoś cholerstwa i nie ma jak zjechać w dół. Najgorszą nowiną jest to, że według mapy nie ma znaczenia, czy pojedziemy w lewo, czy w prawo, bo po obu stronach są wioski, więc musimy się lekko cofnąć, by jedną z nich ominąć i przejechać na drugą stronę tej sezonowej rzeki. Trochę kluczymy, znów zawracamy, szukając przejazdu; choć to pustynia, a my na kołach, to przypominam sobie moje zeszłoroczne szkolenie

w belizeńskiej dżungli, tam dosyć często było tak, że dosłownie bojem trzeba było szukać przejścia na drugą stronę jakiegoś zarośniętego dziadostwa, takiego, przez które aby przejść, nawet mając w ręku ostrą maczetę, nie było możliwości. Nadrobiliśmy kawał drogi, by w końcu przejechać na drugą stronę, a tam nic innego nas nie czekało jak uprawne pole. Wybiła trzecia w nocy, zerkam na monitor Michała, patrząc na mapę, to czeka nas niezłe rodeo, które trwa dobrą godzinę.

W życiu bym nie pomyślał, że w Afganistanie, na tym, wydawałoby się, pustkowiu, jest tyle rolnych gruntów; no tak, ale jeść trzeba. Marketów tu nie ma, żyjący tu ludzie często mają tylko to, co zasieją, zbiorą, trochę kóz i baranów. Zresztą po przejechaniu rolnikom po polach natrafiamy na stado i by nie płoszyć zwierzyny, mijamy je łukiem, wyjeżdżając na teren w miarę płaski, ale niestety poprzecinany żlebami, takimi, które pozostawia po sobie woda po obfitych deszczach, tu jazda jest jeszcze lepszym rodeo, z tym plusem, że się aż tak nie kurzy. Zbliży się piąta, gdzieś tam za nami na horyzoncie zaczyna się nieśmiało rozjaśniać. To czas na poranne sikanie, bo chyba jednocześnie stwierdziliśmy, że trzeba pójść na stronę i rozprostować nogi, napiłem się jeszcze ciepłej kawy z termosu, zrobiłem dziesięć przysiadów, kilka pompek i mogę jechać dalej.

Nie ujechaliśmy zbyt daleko, gdy z pierwszego samochodu podniesiono alarm! Z przeciwka w naszą stronę jedzie kolumna, i to kolumna na wyłączonych światłach podobnie jak my, *fuck*. To jest nasz teren operowania i nikogo z ISAF nie powinno tu być bez porozumienia się z nami, więc jak to: nie nasi, to kto? Wywiad często informował, że poza talibami mogą się tu kręcić przemytnicy, i to tacy z górnej półki, wyposażeni całkiem dobrze. Mają jedno zadanie: przerzucić przez granicę to, co rośnie tu na najżyźniejszych glebach.

W Afganistanie produkuje się 69 procent maku lekarskiego wykorzystywanego na świecie, używa się go do wytwarzania heroiny i opium. Niby sami nigdy pierwsi nie atakują, interesuje ich towar i wolna droga ku granicy...

Przetarłem noktowizor i faktycznie na płaskim terenie w oddali widać półkoliste sylwetki pojazdów, ale tak jakby się zatrzymały i czekają. Wszystkie lufy jak na komendę obróciły się w prawą stronę. Lekko zwolniłem, by zwiększyć dystans od pierwszego, i toczymy się powoli, zbliżając pod kątem do napotkanej kolumny. Nie jest potrzebna żadna komenda Michała, każdy wie, co robić podczas tej próby nerwów, kto wytrzyma... Obie strony zastanawiają się, jaki arsenał ma przeciwnik, czy warto... potrzebna tylko iskra, tylko jeden strzał, by się o tym dowiedzieć i zakłócić poranną ciszę. Głośne „kurwa mać” w pierwszej chwili brzmi jak groza, ale jednocześnie rozładowuje atmosferę, to jest przecież poukładane w kopce siano, *fuck*. Teraz to siano każdy z nas widzi, a chwilę wcześniej zapewne każdy chciał je rozstrzelać, faktycznie, podjeżdżamy bliżej

i nawet pachnie sianokosem, może nie tak intensywnie, jak to zapamiętałem z operacji w Zatoce Perskiej, gdzie zatrzymywaliśmy tankowce z ropą o wiele mniejsze niż miejscowe łodzie dau. No to do kolekcji i historii naszej firmy trafiają kopki siana, w Iraku był pies wielkości krowy, to tu ujdzie kolumna bojowego siana.

Emocje czasami są gorsze od wysiłku. Zaczyna już świtać, taka nieprzyjemna szarzyzna, patrzę na Michała, bo jak nie gra muzyka, to jakoś mi dziwnie, czyżby zasnął? Obracam się do Przema, też jedzie z głową opartą o plecak, w radiostacji ustały żarty i snujemy się w kurzu jak we mgle. Siódma rano, ósma, jesteśmy praktycznie osiem godzin na kołach, a raczej my kierowcy za kierownicą, gunnerzy na nogach stoją w wieżyczce, pozostali na bank drzemią, zresztą sam bym zasnął. Jadę i walczę z samoczynnie zamykającymi się oczyma. Gryzę wargę, spinam mięśnie ud, pobudzając krew do krążenia, po dziesięć razy w serii, nadal chce mi się spać. Jem batonika, może jak mi cukier skoczy, to spać się odechce, ale to chyba tylko wzmacnia senność, jadę na jednym oku, dając odpoczynek drugiemu i tak na zmianę, wreszcie ciszę zakłóca nawigator. Ma miejsce na postój – odbiór. Michał automatycznie odpowiada, jakby wcale nie spał, tylko przez ostatnie dwie godziny miał zamknięte taktycznie oczy. „Tak, oczywiście zatrzymujemy się tu na odpoczynek – odbiór”.



Są takie poranki, których się nie zapomina. W Afganistanie przeżyłem ich wiele

Wyszedłem z samochodu i jak zawsze pierwsze, co zrobiłem, to porządnie się wysmarkałem i umyłem twarz. Muszę pomyśleć o nagrzewnicy, bo po zimnej nocy woda w kanistrze jest lodowata. Rozłożyłem wóz, nawet nie ściągnąłem butów, tak jak stałem, walnąłem się, zasypiając w trakcie opadania na łóżko. „Wstawaj, Navalku, zbieramy się”. „Przecież nawet nie zasnąłem”, mruczę niezadowolony. Co jest, замуrowali mi oczy! Mam tak zaropiałe powieki, że muszę je sobie palcami rozklejać, by się otworzyły, co za dziadostwo, po prostu mam strupy na powiekach scementowane piaskiem, ja pierdołę, faktycznie замуrowało mi wzrok. Trochę mi zajęło, zanim doszedłem do siebie, a powieki dopiero namoczone wodą dały się normalnie otworzyć. Patrząc na nas i humvee, wyglądamy w dziennym świetle jak prawdziwi nomadzi, tacy co nie mają miejsca zamieszkania, przemieszczający się to tu, to tam z piaskiem we włosach. Michał zaproponował, że choć słońce wysoko, to jedziemy do bazy, nie czekając na zmrok, i słusznie, rada starszych przyklepała rozkaz, naprzód. Z obliczeń wynika, że jeśli nie będzie niespodzianek, to cztery, no cztery i pół godziny i jesteśmy w bazie. Wsiadam za kierownicę, wszystko jest pokryte niezłą warstwą kurzu, ponoć jak spałem, zaczęło mocniej wiać i naleciało piachu. Nawet głodny nie jestem, przez noc naźarłem się tyle kurzu, że i za deser starczy. Michał zapodał Krawczyka i szybko wracają humory. Mijamy karawanę złożoną z osiołków i stada kóz, młodzi pasterze dostają kilka butelek wody, raczej z wdzięczności wołają *stasu manana* – liczę na to, że oznacza to „dziękuję”, a nie że możemy ich cmoknąć. Wjeżdżając przed piątą po południu do bazy, już rozumiem, dlaczego chłopaki z poprzedniej zmiany mówiły, że obstawa na bramie patrzy na nich trochę z podziwem, a trochę jak na szaleńców, po twarzach, ubraniach, samochodach widać, że raczej nie byliśmy na miłej przejażdżce po prowincji.

Woda leje się przyjemnie po moim ciele, usuwając piasek zgromadzony wszędzie: za uszami, w uszach; pocieram zaczerwienione oczy, a przez dziurki w nosie zasysam wodę jak słoń przez trąbę z nadzieją, że zaschnięte w nosie strupy się rozmoczą i w końcu je wysmarkam, wydłubię, wypluję i wycharczę, aż mi się na rzyganie zbiera. Z każdej z prysznicowych kabin słychać ten sam rytuał: odgłos smarkania, charczenia i odkastywania, nie tylko skóra chce się pozbyć piasku i kurzu, ale i płuca. Oskrzela charczą na siłę, wyrywając z siebie kąsek po kąsku wraz z piaskiem odrobiny zaschniętej flegmy, często takiej o krwawym zabarwieniu. Po takim wyjeździe to strach sięść na kibelku, bo nawet tu jest duża szansa, że będzie się piaskiem robić. Ale prysznic, woda i coś jeszcze, a raczej ktoś jest w stanie zmienić nastrój i postawić na nogi wykończony organizm. Wieczorem mamy gości, przyszła Ania i przyprowadziła ze sobą Agatkę, naszą Polkę na kanadyjskich usługach – wszyscy mówią o najemnikach, jakby to było coś złego, a my tu mamy dwie „najemniczki” i jesteśmy z tego bardzo radzi. Agata pracuje

w prywatnej sieci sprzedającej ciastka, a przede wszystkim pączki. Firma ta wspiera kanadyjskich żołnierzy. Są na świecie państwa i rządy, które dbają, by taki „zwykły” żołnierz z dala od domu poczuł choć namiastkę normalności w bazie wojskowej, gdzieś na światowym zadupiu, więc jest i Agata, która sprzedaje tradycyjne kanadyjskie donuty, a teraz mamy ją tu u siebie z pełną tacą różnokolorowych łakoci.



Na krawędzi

Kilka dni po naszym powrocie wywiad doniósł, że talibowie rozpowiadają, jak to walczyli z wojskiem, które w nocy zachowuje się jak duchy, co prawda zadali im spore straty, ale i oni sami stracili sporo sprzętu. Te wieści o duchach potwierdzają ich kuzyni, ci z Kandaharu, którzy szukają usprawiedliwienia na to, że nie są w stanie namierzyć wyjeżdżających z bazy nocnych patroli.

Zawożę Michała na lotnisko – za dwie godziny ma lot do Stanów, udaje się tam z tajną misją, będziemy mieć swojego JTAC, takiego kogoś od naprowadzania lotnictwa. Ale i my lecimy, mamy do przeprowadzenia kolejną tajną misję w Kabulu.

Ambasada

3 października 2007 roku polski ambasador w Iraku gen. Edward Pietrzyk został poważnie ranny w zamachu w Bagdadzie. Do ataku doszło w dzielnicy Karrada, na rogu niewielkiej uliczki prowadzącej do rezydencji dyplomaty. W wyniku odniesionych obrażeń w zamachu zmarł funkcjonariusz BOR Bartosz Orzechowski. Podczas zamachu rannych zostało też kilku innych funkcjonariuszy.

Wybory do Sejmu i Senatu RP zostały przeprowadzone 21 października 2007 roku; w naszym Komitecie Wyborczym w Kandaharze frekwencja wyniosła 100%, nic na siłę – tylko na rozkaz. Jeden z niechętnych musiał pójść oddać pewnie nieważny głos, by komisja wyborcza mogła zamknąć lokal i pójść na lunch. Nowa miotła, nowi ministrowie, nowe wizyty i oficjele. Moja jednostka funkcjonowała w taki sposób, by kolejnych kandydatów na operatorów szkolić nie tylko z taktyk, technik, strzelania... ale i doprowadzić do zmiany naszej mentalności, nakierowując nas nie tylko na rozwój osobisty, ale i obserwację otaczającej nas rzeczywistości przez pryzmat rozwoju całej firmy. Takie podejście do wykonywanego zawodu pozwala nam na podejmowanie nowych zadań praktycznie z dnia na dzień, po prostu możemy czerpać z nagromadzonego doświadczenia. Michał z Kudłatym byli w Afganistanie parę lat wcześniej, ich wiedza pozwoliła nam miesiąc temu na płynne poruszanie się w rejonie Kabulu i w samym mieście. Cała nasza grupa ochraniająca ministra Szczygłę w kilka dni poznała Kabul. Będąc w ambasadzie, zrobiliśmy rekonesans budynków i przeprowadziliśmy sobie wewnętrzny audyt ochrony ambasady, odnowiliśmy stare znajomości i nawiązaliśmy nowe ze znajomymi znajomych w okolicznych bazach, toteż teraz wysłani do Kabulu możemy zacząć pracę od pierwszego dnia pobytu. Zawsze bawi mnie to, jak obserwatorzy, ci z zewnątrz, uszczypliwie, a pewnie i z zazdrości, komentują nasze zachowanie, ich zaś spostrzeżenia związane są z całkowitą nieznaną naszą robotą. Tkwią w spuściźnie komuny, zatopieni po uszy w beton i bojąc się kruszyć mury. Dochodzą do nas opinie, że jeżdżenie z bazy do bazy na wizyty i posiadówki to zbędny lans i niepotrzebne narażanie się... a my tak

naprawdę zawsze na robocie. Jeżdżąc, sprawdzamy trasy przejazdu, nawiązujemy i odnawiamy kontakty, analizujemy, gdzie, z kim, na jakim poziomie można nawiązać współpracę... Bo jak najdzie chwila taka jak ta, „wszyscy” oczekują, że GROM da radę, że zrobi, że pojedzie, ochroni, uratuje.



Jak nie żołnierz, a jednak żołnierz

Lądujemy na KAIA, międzynarodowym lotnisku w Kabulu, tu czekają na nas trzy cywilne, ale pancerne toyoty. Ubrani jesteśmy nie w mundury: beżowe spodnie bojówki, popielate koszule, na mojej głowie czapeczka z haftem pirata przywieziona z Belize kryje długie włosy. Wyposażenie osobiste to sprzęt taktyczny z dużą ilością magazynków umieszczonych na kamizelce, w jednej z kieszeni wciśnięta radiostacja, uzbrojenie podstawowe, ale niepowszechne. Nawet bogaci sojusznicy patrzą z poważaniem na nasze indywidualne wyposażenie, w żaden sposób nie przypominamy żołnierzy, a tym bardziej tych z Polski. Wyglądamy jak świetnie przygotowana prywatna firma ochroniarska i to taka *top of the top*, bo i prywatciarze nie mogą sobie pozwolić na to, czym wtedy dysponowaliśmy. Złośliwcy mówią na takich z pogardą, że to najemnicy, my ich określamy mianem kontraktorów i szanujemy pracę, którą wykonują, ale słowa mnie nie interesują. Tu w Kabulu ważniejsze jest to, jak będą nas postrzegać na zewnątrz.



Dziedziniec Ambasady Rzeczypospolitej Polskiej w Kabulu

Dlaczego to takie ważne? Naszymi przeciwnikami zazwyczaj są terroryści, którzy przeważnie wybierają na ofiary „słabe cele”, no chyba że jest to misja samobójcza, wtedy to nie ma znaczenia, przy kim idiota się wysadza. Wojskowi, z jakiego państwa by nie byli, działają schematycznie – żołnierze są różni, tak jak to z wszelkimi pracownikami bywa, jednemu chce się bardziej, inny jest maruderem, więc i poziom wykształcenia nie jest taki sam. Wojskowych obowiązują rozkazy, trzymają się kurczowo przestrzegania procedur i prawa, często w sytuacji kryzysowej czekają na kolejne wytyczne, zamiast działać. O tych wszystkich słabościach wojskowej maszyny przeciwnik doskonale wie. Tu w Afganistanie przeciwnikiem jest ktoś działający poza prawem, nieprzestrzegający żadnych konwencji, często strzelając na oślep, bez skrupułów w każdym kierunku, czy to szkoła, czy szpital, nie ma świętości. Talibowie wybierają za cel w ich mniemaniu łatwiejszego przeciwnika, nieraz można przeczytać, że przeprowadzili atak na szpital, szkołę, słabo chroniony posterunek lub wojskowy konwój z zabezpieczeniem logistycznym.

Prywatne konwoje składają się przeważnie z byłych żołnierzy jednostek specjalnych, a ci, uwierzcie mi, potrafią walczyć, nie czekając na rozkazy. Nie wszystko, z czego zasłynęły firmy ochroniarskie, popieram, ale skoro chcieli przeżyć, to ci faceci musieli wykraczać w działaniu poza granice prawa wojennego

ustalonego przez białe kołnierzyki i walczyć o swe życie bez skrupułów, tak jak bez skrupułów byli atakowani. Prywatne firmy ochroniarskie dorobiły się w Afganistanie, Iraku czy gdziekolwiek na świecie takiej renomy, że jak ktoś nie zamierza udać się do swego Boga w chwili ataku, to odpuszcza, nie atakując. Korzystając z tej renomy i mając samochody, sprzęt, ubrania, sposób poruszania się taki sam jak kontraktorzy, w obecnym zadaniu będziemy podwójnie skuteczni. Dlaczego podwójnie? Za wojskowymi stoi cała machina militarnego wsparcia QRF, wsparcie lotnicze, MEDEVAC (czyli ewakuacja medyczna), możliwość wjazdu do każdej z wojskowych baz i skorzystanie z miejscowego wsparcia. My, będąc żołnierzami, możemy na to wszystko liczyć, kontraktorzy nie, ale będąc ubrani i zachowując się jak prywatna firma, będziemy niechętnie atakowani. Dlatego nasz VIP, czyli ambasador RP w Islamskiej Republice Afganistanu, od dnia dzisiejszego może czuć się naprawdę dobrze zaopiekowany.



Codziennosc Kabulu

Po przyjeździe do ambasady przywitano nas podobnie jak poprzednio, bez fajerwerków, tyle że czekała na nas piwnica z kilkoma pokojami, by pomieścić naszą kilkunastoosobową ekipę. Personel ambasady składa się z kilku dyplomatów różnego szczebla, obecnie pan ambasador jest wzywany na konsultacje do kraju, tak nazywa się w obowiązującym protokole dyplomatycznym taki wyjazd.

W ambasadzie na co dzień przebywa kilku miejscowych pracowników cywilnych, ochroną zewnętrzną są dwaj siedzący pod parasolem i na zmianę ziewający policjanci, a tu za murami funkcjonariusze Biura Ochrony Rządu. Od dziś podział zadań jest przejrzysty, BOR ochrania ambasadę, my jesteśmy odpowiedzialni za bezpieczeństwo ambasadora poza murami, nie będziemy sobie wchodzić w drogę. Mamy doświadczenie w takiej robocie z Bagdadu, przyjeżdżając tu, zadaliśmy o ustalenia i procedury, które dawały powód do zgrzytów w Iraku. Grzesiek jako dowódca nadal podlega naszemu dowódcy w Kandaharze, zgoda na każdy wyjazd zależy od nas i jest na naszych warunkach, więc ambasador, attaché, konsul podczas wyjazdu podlegają nam, nie odwrotnie.

Od borowików wysłuchujemy trochę żalów związanych z miejscowym piekiełkiem, osobiście im wierzę, tak zwane podpierdalanie się i uszczypliwości są na porządku dziennym. Polacy, co nieraz pokazała historia, nie potrzebują wroga zewnętrznego. My zgodnie ustaliśmy, że będziemy całkowicie poza tym, interesuje nas nasza działka: zawieźć i przywieźć, a tu w ambasadzie zadbać o swój azyl, tak jak to robimy wszędzie, gdzie się pojawiajemy. Ambasada i ochraniający ją borowcy są tu poza wszelkimi strukturami bezpieczeństwa, więc budujemy od zera system współpracy z otaczającymi nas siłami koalicji. I mamy pierwszy zgrzyt. Przywieźliśmy ze sobą radiostacje, ładowarki, komputery, mamy etatowego łącznościowca w osobie Walusia, który o łączności wie wszystko, a cały ten sprzęt potrzebuje prądu. Prąd miejski często wysiada, agregaty są słabe i żrą dużo paliwa, a łączność musi być utrzymana całą dobę. To podstawa działania, na naszą rzecz pracuje wywiad, więc jak coś wyniucha, to nas ostrzeże, a jeśli nie będzie łączności, to gołębia pocztowego przecież nie wyślą. Łączność to też nasza działka: mamy informować o zagrożeniu, w którym możemy się tu znaleźć. Jeszcze przed przyjazdem wysłaliśmy zapotrzebowanie na QRF do jednej z pobliskich amerykańskich baz; odpowiedź była taka, że się cieszą na możliwość współpracy z Polish Special Force GROM i zapraszają na lunch, by dograć szczegóły, takie jak łączność i współdziałanie pomiędzy nami. Stały kontakt potrzebny jest do zabezpieczenia MEDEVAC, no i chcemy, a wręcz musimy mieć łączność z naszym TF. Do tej pory, z tego co wiem, polska ambasada miała łączność z krajem, jakby to było najważniejsze do przeżycia, a nie jest. Tak jak już wspomniałem, chłopaki z BOR-u jak dla mnie są tu na wygnaniu, kolejne typowe: wystrzel, zapomnij. Na przeżycie dostają dietę w wysokości około czterdziestu dolarów, ale nikt im nie wskazał, gdzie mogą sobie kupić jedzenie. Ambasada im niczego nie zapewnia, nawet woda im nie przysługuje, a obecnie mają zakaz wyjścia poza teren ambasady...

To, co piszę, nie jest uzalaniem się, ale po prostu każdemu należą się godne warunki pracy, tym bardziej w takim miejscu, a co ważniejsze w tej robocie –

godne traktowanie powinno być oczywistością, a tu nie jest, system z czynnikiem ludzkim na równi zawodzi. My jako żołnierze mamy zapewniony posiłek w stołówkach wojskowych, gdzie nie pojedziemy, tam mają obowiązek, by nas nakarmić, możemy tankować samochody, brać wodę, a jak poprosimy o amunicję, to też dostaniemy. Taki wystrzelony BOR ma nadal dziennie czterdzieści zielonych, cześć i czapka. Pamiętam i powtarzam sobie jak mantrę słowa mojego instruktora z kursu podstawowego – Benka: „dbajcie o siebie nawzajem” – i to jest sedno, jeśli się chce czuć elitarność, trzeba o siebie dbać, ale jeśli nasz rząd, politycy i dyplomaci o nas nie dbają, to gdzie tu mowa o elitarności? Tu stawiam kropkę. Koniec żalów, czeka nas wymagająca robota, więc musimy być ponad to.

Zgodnie z planem jedziemy rozpoznać wszystkie ważne dla nas miejsca. W bazie ISAF spotykamy się z dowódcą naszego QRF. Tam wita nas młody porucznik, który myśli o Delta Force, więc oferuje trzy razy tyle, niż od nich oczekujemy. Przy okazji zerkamy do szpitala, choć ten nasz główny mieści się na terenie lotniska KAIA, to i w tym warto mieć kontakt. Szpital dla żołnierza to ważne miejsce, ten lotniskowy obstawiony jest przez czeski personel, w przewadze są pielęgniarki, więc i tu robimy rekonesans potwierdzający, że żołnierz się nie zawiedzie, szpital i jego personel są na odpowiednio wysokim poziomie.

Jeździmy po Kabulu, ucząc się na pamięć nie tylko miasta i możliwych ulicznych skrótów, ale też tego, jak wmieszać się w tutejszy zgiełk, bo na pustyni trochę odwykliśmy od tłoku. Ruch miejski jest chaotyczny, jeździmy blisko siebie, dosłownie na zderzakach, a i tak jakiś osioł się wciśnie pomiędzy nasze samochody, a jak się wciśnie osioł, to mamy za nim i całe stado. Już wiemy, że okazywanie agresji w niczym tu nie pomaga, raczej trzeba płynąć z falą, niż z nią walczyć. Jazda po Kabulu na pamięć to podstawa, w pierwszym samochodzie odpowiedzialny za nawigację jest Żwiru, jestem przekonany, że obecnie zna Kabul lepiej od Warszawy. On wybiera drogę i nawiguje, ale każdy z kierowców, każdy z nas, w chwili utraty łączności ze Żwirem musi odnaleźć drogę do ambasady, lotniska czy innego bezpiecznego dla nas miejsca na własną rękę. Więc przez pierwsze kilka dni Żwiru nadaje przez radio, gdzie jesteśmy, dokąd, skąd i którą drogą dojedziemy. Rondo Masuda, KAIA, hotel Serena, uniwersytet, gdzie i jak nazywa się mijany bazar, w okolicach którego meczetu jesteśmy, a w jakich obszarach miasta lepiej się nie pokazywać. Kolejnego dnia dostajemy informację, że do Kabulu wraca ambasador – popołudniowym lotem z Islamabadu na lotnisko KAIA.



Osiedle na zboczu – tak wyglądają wzgórza okalające Kabul

Wyjeżdżamy rano z zamiarem wcześniejszego odwiedzenia tureckiej bazy Camp Doğan, chcemy sprawdzić to ponoć bardzo bezpieczne miejsce na wypadek braku możliwości dostania się z KAIA do bazy ISAF. Camp Doğan to baza tureckich wojsk, Turcy, będąc muzułmanami, są postrzegani tu jako pobratymcy, więc praktycznie są nieruszani. Ich baza położona jest około pięciu kilometrów na wschód od lotniska, to zatem dość prosty dojazd, pozbawiony ulicznych korków, więc idealne miejsce na przetrwanie ewentualnej nagłej zawieruchy w Kabulu czy na lotnisku.

Podjeżdżamy pod służbę bramy wjazdowej, zerkają na nas bardzo niepewnie. Cywilne panczerki, ale my wyciągamy przepustki, pokazując, że w środku są żołnierze. Sprawdzają dokładnie dokumenty, każą wyjść z samochodów, by sprawdzić, czy czasem ktoś nam nie podłożył pod auto świni w postaci bomby. Czysto, wpuszczają bez słowa, ale z dystansem. Po wjeździe na parking podchodzi oficer dyżurny bazy i wypytuje, po co, na co, a przede wszystkim, skąd my. Grzesiek staje na wysokości zadania. Dyplomacja, choć jesteśmy w ambasadzie dopiero kilka dni, nie jest mu obca – uspokaja pana oficera, że my swoi, nie obcy, choć pod Wiedniem było inaczej, to teraz sojusznicy. Żartuję, o Wiedniu mowy nie było, ale czuć, że Turek odnosi się do nas z szacunkiem i trochę z niedowierzaniem, patrząc, jak wyglądamy i jakim dysponujemy sprzętem. Ale i ja, obserwując, jak wygląda turecka baza i ich żołnierze, trochę nie dowierzam.

Jakoś do tej pory nie miałem okazji spotkać na swojej wojennej ścieżce tureckich sił zbrojnych (Türk Silahlı Kuvvetleri), a tu...

Turcy na pierwszy rzut oka wyglądają na dobrze wyposażone wojsko, w bazie stoi mnóstwo nowoczesnych wozów bojowych przypominających amerykańskie M113, sama baza jest porządna, solidne budynki, żołnierze dobrze się prezentują, niespodzianką jest też to, że można spotkać wiele kobiet w mundurach. Byłem w wielu bazach, spotkałem wielu żołnierzy i to się po prostu czuje i widzi, jaka w danym wojsku panuje atmosfera. Czy żołnierz przemyka lekko zastraszonego z budynku do budynku, unikając wzroku wyższego rangą, czy normalnie idzie, oddając honor przełożonemu, nikt się nikogo o bzdury nie czepia. Tu się nie czepiają, co winduje Turków w mojej hierarchii postrzegania wojska. Pan oficer wskazuje nam, gdzie stołówka i kantyna, gdzie biuro oficera dyżurnego, gdyby mógł w czymś pomóc, jest do dyspozycji, a na koniec pokazuje turecki PX, czyli sklepik na wzór amerykańskiej sieci sklepów wojskowych.

Co jest nie tak z nami, Polakami! Żal, że my przez te wszystkie misje i wojenne wyjazdy nie dorobiliśmy się własnego wojskowego sklepu na wzór PX. To, co zastałem w tureckim... nie byłem na to gotowy. Jedziesz do bazy włoskiej czy francuskiej, jest wino, no, jak to bez wina... Włoch, Francuz, żart. Jedziesz do bazy niemieckiej, jest piwo i wino, no weź, nie daj Niemcowi na koniec dnia napić się piwa, walczyć nie będzie. (W 2021 roku podczas ewakuacji z Afganistanu przywieziono z powrotem do Niemiec 22 500 litrów piwa, w Afganistanie nie wolno rozprawiać alkoholu ze względów religijnych, więc Niemcy piwo przeznaczone dla swoich żołnierzy zabrali ze sobą). Wchodzimy do tureckiego PX i uwierzcie mi na słowo, niejedynemu dobrze zaopatrzonemu w alkohol sklep nocny mógłby pozazdrościć Turkom asortymentu. Stoję, patrzę, nie wierzę. Myślę o naszym postrzeganiu świata i zastanawiam się, kto żyje w oświeceniu, a kto ma sporo do nadrobienia. A może my, Polacy, uwielbiamy się oszukiwać, u nas jak czegoś nie wolno, to i tak łamiemy przepisy, by po złapaniu nas na występku przemykać na to oko, bo nie wolno... ale tak trochę to wolno. Politycy, którzy ustanawiają prawo czegoś zakazujące, zazwyczaj pierwsi łamią ustanowione zasady.

Ile my w Polsce mamy bzdurnych zakazów, których już dawno pozbyły się kraje europejskie, nie możemy nic znaleźć, czyli chodzić z wykrywaczem metalu, bo rozdepczemy lasy i rozkradniemy antyki, jakoś Czesi, Anglicy, Francuzi nie niszczą, więc u nas leżą i gniją w mule i ziemi artefakty, bo nie wolno i już. Nie możemy zagrać w pokera, bo to hazard i zło w czystej postaci, nie możemy wyremontować starej szopy, bo to zabytek, więc lepiej, by się zawaliła. Już o dostępie do nowoczesnej medycyny nie wspomnę, też nie wolno, bo Pan Bóg się pogniewa, na innych jakoś się mniej gniewa, czemu? Czy my jesteśmy mniej

rozumni od naszych sąsiadów, czy po prostu rząd, hierarchowie, jacy by nie byli, chcą mieć nas pod kontrolą i lepiej czegoś zakazać w imię stanowionego prawa i wyższych wartości lub po prostu: nie, bo nie! Więc tak, w tureckiej bazie w Afganistanie każdy żołnierz może kupić jaki tylko sobie zażyczy alkohol, a w czasie wolnym łyknąć głębszego, żadne przestępstwo, czas wolny, wolno odreagować dorosłemu facetowi i dorosłej kobiecie, spoczniej. W naszej polskiej bazie nie, u nas Bóg, Honor, Ojczyzna – jesteśmy napięci jak baranie jaja, gotowi do działania dwadzieścia cztery godziny na dobę – serio?



Kobiety w tradycyjnych burkach to bardzo powszechny widok

A, zapomniałem, żołnierz bojowiec powinien nie tylko być pozbawiony uczuć, nie wolno mu tęsknić, ale i powinny mu być obce uciechy cielesno-kulinarne. Więc turecką armię za normalne podejście do żołnierza, który też jest człowiekiem, cenię bardzo wysoko, amen. A taki PX to też po prostu promocja krajowych produktów na arenie międzynarodowej, czemu nie sprzedawać w Ghazni ciupag z Podhala, rogali z Poznania czy koronki z Koniakowa, już nie wspomnę, że niejeden żołnierz by kupił mundur i sprzęt taktyczny naszych krajowych producentów, takie lokowanie produktu, bo dobre, nasze i warto.

Zalecenia: Poruszanie się w zagrożeniu IED. Konwój poruszający się w taktycznych odstępach dostosowywanych w zależności od ukształtowania terenu, warunków klimatycznych i zagrożenia jest kluczem do przetrwania. Poruszanie się szybko z zapasem prędkości potrzebnym do przyspieszenia w razie ewentualnego zagrożenia. Poruszanie się jednak z taką prędkością, aby samemu nie stanowić zagrożenia, na miarę swoich umiejętności. Wszystkie nowinki, taktyka działania rebeliantów z Iraku, po paru tygodniach znajdują się u rebeliantów w Afganistanie. Stosowane są tzw. podrzutki, np.: rakietka z zamontowanym w głowicy rakiety granatem F1 z zapalnikiem elektrycznym zdalnie odpalany. Samobójcy są szczególnie niebezpieczni, ponieważ bardzo trudno jest się przed tym zabezpieczyć. Systemem odpalenia w tym przypadku mogą być nawet dwa druty, których zetknięcie powoduje zamknięcie obwodu i detonację. Zdarza się, że samobójcy są na tzw. zdalnym sterowaniu. Nawet jeśli nie zdecydują się wysadzić własnoręcznie, mają opiekuna, który pomaga im drogą radiową w podjęciu decyzji. VBIED w szczególności atakują samochody nieopancerzone.

O sytuacji bezpieczeństwa w Kabulu dowiadujemy się z analiz wywiadowczych i z tego, co do nas dociera tu na miejscu. Zagrożenie IED w Kabulu, tak jak w całym Afganistanie, jest czymś oczywistym, nie ma tygodnia, a czasami dnia, by coś lub ktoś nie wyleciał w powietrze. Powyższe zalecenia są dla mnie oderwane od rzeczywistości, no, ale tłumaczę to sobie tym, że od jakichś podstaw trzeba zacząć nauczanie żołnierzy, tyle że praktyki nie zastąpi żaden konspekt. Podczas konfliktu zbrojnego wszystkie strony walczą nie tylko przy pomocy żołnierzy i bomb, ale i propagandy, która ma na celu podnieść na duchu swoich lub zastraszyć tych po drugiej stronie. Propaganda jak to propaganda, często mocno się w niej blefuje, czasami nie, a gierka się toczy do momentu, jak coś na bank pieprznie, inaczej jest to wróżenie z kart. Obecnie mamy informację, że po Kabulu białą toyotą porusza się zamachowiec samobójca, jeździ z zamiarem wysadzenia się w miejscu i chwili, którą uznana dla siebie za atrakcyjną, a przede wszystkim ma polować na cywilny konwój. Na luźno podchodzimy do tego typu wywiadowczych komunikatów, tu w Kabulu jedna trzecia samochodów to właśnie białe toyoty, ale wyjechać z ambasady czy nie...



Wojskowe kolumny naszpikowane są karabinami

Kabul w żadnym stopniu nie przypomina miast, jakie znamy z naszej części świata. Wiele ulic to ziemne klepiska, którymi płynie rynsztok spływający do rzek. Rzeka Kabul, zwana tu Kabulanką, jeszcze jako tako wygląda, za to brzeg rzeki Paghman jest jednym wielkim ściekiem, to tam trafiają śmieci i pozostałe zanieczyszczenia, oczywiście nie przeszkadza to, by w korycie tętniło życie – jest to naturalny i ulubiony plac zabaw dzieci. W 2007 roku Kabul był miejscem wielu budowlanych inwestycji, pomiędzy walącymi się budynkami skleconymi z gliny i desek zaczęły powstawać nowoczesne biurowce, ale normą w mieście była zabudowa z ceglanych domów: dwa, trzy piętra z płaskim dachem. Kabul leży w wąskiej dolinie na wysokości 1807 m n.p.m., rozbudowa miasta wydawałaby się niemożliwa, bo ograniczone jest stromymi urwiskami, oczywiście nie wszystkim to przeszkadza. Widok zabudowanych zboczy powinien być wizytówką Kabulu. Podobnie jak zgiełk, wrzawa, przepychanie się w korkach, to zresztą obraz prawie każdej metropolii.



Kto swój, kto obcy – podczas wojny nikomu się nie ufa

Kabul to duże pięciomilionowe miasto, które tworzy mozaikę kultur i ulicznego życia. Snując się w korku, przepychamy się nie tylko z innymi pojazdami: drogę, co jest tu normalne, blokuje ośli zaprzęg, ktoś przegania kozy, przeciska się rikszarz i wielu pieszych. Poza ulicznym pędem, w każdym wolnym miejscu ktoś stoi, siedzi, ludzie handlują, jedzą, a nawet mają sjęstę, popijając kawę, jest po prostu gwarno i tłoczno, a my w tym wszystkim musimy się odnaleźć i czuć jak na własnym terenie. Nie mam pojęcia, jak nas oceniają, czy ktoś zwraca na nas uwagę, a jeśli tak, to byśmy i tak tego nie zaobserwowali. Wojskowe kolumny są naszpikowane karabinami, jadąc, starają się odseparować od codzienności, ale w żaden sposób im to nie wychodzi, choć groźnie wyglądają. Miejskowe służby są mniej agresywne, ale po twarzach widać, że tu nikt nikomu nie ufa, różne formacje, różne mundury i uzbrojenie, kto swój, kto obcy. Dopóki nie padnie pierwszy strzał, trwa tylko mierzenie się wzrokiem w nadziei, że i tym razem się uda bezpiecznie przejechać.

Ambasador ma dziś spotkanie w Ministerstwie Spraw Zagranicznych. Nasze dotychczasowe przejazdy odbywały się bez przygód, my robimy swoje, a VIP dopasował się do naszej rutyny. Dyplomata ubrany w kamizelkę kuloodporną i hełm rozumie powagę sytuacji, attaché to żołnierz, ale bliżej mu do kwitów niż karabinu, taka tu jego rola, a konsul okazuje się równym chłopakiem. Ruszamy

z ambasady w lewo, w boczną uliczkę i po przejechaniu kilkudziesięciu metrów skręcamy w kolejne lewo, by znaleźć się na szerokiej prostej drodze, wybudowanej jak do linii, która prowadzi z przedmieść prosto do centrum. Droga jest asfaltowa dwupasmowa, ale jak to w Afganistanie, miejscowi kierowcy zrobili z jezdni kilka dodatkowych pasów, poboczem zawładnęli kupcy i drobni rzemieślnicy.



Sterta gruzu i powybijane okna – takie widoki zostawia każda wojna

Mocna eksplozja wstrząsnęła miastem, tak że zadrzały pobliskie budynki, aż zahaściło samochodem. Żwiru nawet nie zdążył podać po radiu, że wracamy, kierowcy sami jak na rozkaz zawinęli, jak to w wojsku, w tył na lewo i z piskiem opon, azymut ambasada. Nie wiemy gdzie, nie wiemy co, ale taki wybuch nie wróży w mieście nic dobrego. Po południu przychodzi informacja, że eksplozja miała miejsce przed Ministerstwem Spraw Zagranicznych. Przypadek? Oczywiście, że przypadek, nie sądzę, że czekano konkretnie na nas, po prostu mieliśmy szczęście, że idiota w białej toyocie wysadził się dziesięć minut przed naszym przyjazdem. Sprawa do załatwienia w ministerstwie jest dość pilna, więc jedziemy tam kolejnego dnia. Tu nie ma odczekania, że nadejdą lepsze czasy na wizytę, trwa wojna. Wysadzili się wczoraj, może nie wysadzą się jutro, ale pojutrze, któż to wie. Na miejscu zastajemy stertę gruzu, a w nawierzchni przed ministerstwem spory lej. Nie mam pojęcia, co chciał osiągnąć samobójca, bo poza powybijanymi oknami

w ministerstwie nic się nikomu w budynku nie stało, mur przyjął impet eksplozji. O straty na zewnątrz nie pytamy, ale siła wybuchającego samochodu była spora. Taka jeżdżąca pułapka może przewozić nawet pół tony materiałów wybuchowych, więc mało który pancierz ochroni przed taką bombą, siła podmuchu eksplozji materiałów wybuchowych jest ogromna, lecące odłamki mają daleki zasięg.

Niesamowite jest to, że w takim miejscu jak Kabul przechodzi się do tego typu zamachów jak do czegoś powszechnego, życie musi toczyć się dalej, żywi żyją, umarłych się chowa, a świat się kręci. I my musimy tu dokładnie tak samo żyć. Wieczorem wybraliśmy się na zakupy, zrobiliśmy listę: co komu potrzeba, na co kto ma smak, jajka, arbuzy, pomarańcze, banany, miejscowy chleb, tona cebuli, z pół tony czosnku i cysterna mleka. Całe szczęście, że na bazarze handel nie wygląda jak w komedii z Frankiem Dolasem *Jak rozpętałem drugą wojnę światową*, gdzie bohater musiał w trzy karty wygrać, zamiast kupić witaminę i kurczaki. Lubię karty, ale gram, kiedy chcę, a nie, kiedy muszę. Miejscowi kupcy znają siłę dolara, zresztą wielu Afgańczyków ma dosyć wojen i chętnie by o tym koszmarze zapomnieli, wysyłając dzieci do szkół, schorowanych starców do szpitali, a sami zajęli się biznesem. A tu nawet zakupy robimy zgodnie z procedurą i planujemy shopping jak skok na bank.



Na zakupach ze Sławkiem trzymamy sobie plecy

Jeżdżąc wcześniej po mieście, wytypowaliśmy jeden ze sklepików – stoisko, w którym jest wszystko to, co na liście, od jabłek po czosnek, w sąsiednim jajka, mleko i sery, tylko chleb kupujemy we francuskiej piekarni. Nasze zakupy wyglądają spektakularnie, chłopaki robią kordon zewnętrzny, izolując teren od miejscowych, ja ze Sławkiem dokonujemy zakupu kontrolowanego w hurtowych ilościach. Kupiec na stoisku momentalnie wyczuwa zysk i nieco podnosi ceny. Ja bym się chętnie z nim potargował, ale okoliczności nie pozwalają, więc nawet dorzucamy parę dolarów za dodatkowe kiście winogron, by wyszła równa stówa zielonych; kupiec zadowolony, a my już w drodze do ambasady zajadamy się świeżymi owocami.



Robi się jajecznicę dla piętnastu chłopów

Nasze życie w ambasadzie toczy się trochę jak w otwartym więzieniu, mamy deptak, po którym biegamy w koło, na trasie okręgu o promieniu maksymalnie stu metrów, ale można; załatwiłem kawałek rurki, z której zrobiliśmy drążek, urozmaiceniem, ale i potrzebą są prawie codzienne treningi z bronią i trening taktyczny. Wspólne śniadania, obiad, książka, trening, sprawdzenie sytuacji w mieście i w całym Afganistanie, łączność z TF, wysłanie raportu, odebranie raportu, telefon do domu, dzień za dniem, noc za nocą, wyjazd z ambasady, powrót, taka robota.

Zadrżały okna w całym budynku. Właśnie miałem przerwę w podciąganiu się na drążku. Złapałem M4 i lecę, pokonując po dwa schody na dach. Większość

chłopaków już na stanowiskach, każdy z nas ma swój sektor odpowiedzialności przydzielony na czas ataku, jakby ktoś bez pukania chciał się wprosić. Gęsta chmura czarnego dymu unosi się z okolicy, gdzie siedzibę ma afgański parlament. Kilka pojedynczych strzałów, raczej na wiew niż regularna walka, chwila ciszy, którą urywa narastający dźwięk syren – to już pewne, że dzisiejszego wyjazdu nie będzie. Dostyc szybko dowiadujemy się, że eksplozją był kolejny zamach idioty, który wysadził się pod jakimś rządowym budynkiem, oddalonym nie dalej jak pięćset metrów od nas. Nie mogę inaczej myśleć i mówić o samobójcach jak tylko idioci. Ilu ich tu jest albo co i kto im w głowach namieszał, że są w stanie wysadzić się w powietrze, zabijając siebie, niosąc śmierć i zniszczenie przypadkowym ofiarom... ale jak ktoś słusznie zauważył, z wiarą się nie dyskutuje, dyskutuje się z wiedzą.



Kabul nocą



Kabul nocą

Nocny Kabul to całkiem inne miasto. Lubię wychodzić po zmroku na dach ambasady i zerkać na oświetlone zbocza gór. 1800 m n.p.m. to wysokość, na której oddycha się bardzo głęboko, niby płuca pełne, a jakoś tak tlenu zawsze za mało, za to powietrze przejrzyste. Na dachu często przesiaduje Sławek, który wykonuje niezliczoną liczbę fotografii, jego zdjęcia serio są w stanie oddać nocny klimat tego dziwnego jak na obecne czasy miejsca na świecie.

Zalecenia: Jeśli poruszasz się w patrolu samochodowym i masz przed sobą miejsce szczególnie niebezpieczne, dogodne do podłożenia IED, np.: most, spiesz się z pojazdu i sprawdź go, zanim po nim przejedziesz. Jeśli jesteś śledzony przez jakiś pojazd, zatrzymaj ten pojazd, przeszukaj go i przesłuchaj kierowcę. Nie pozwól na to, aby cię wyprzedził, ponieważ może on podłożyć IED. Sygnały do zatrzymania z użyciem pojazdów (taktyczny punkt kontroli). W nocy powinno się używać reflektorów, świateł chemicznych, flar, granatów hukowo-błyskowych lub broni według zasad prawa.

Nie mam pojęcia, kto pisze te zalecenia, ale raczej nie był w Afganistanie. „Przesłuchaj kierowcę” – przepraszam, a w jakim języku go przesłuchać? „Jeśli poruszasz się w patrolu samochodowym i masz przed sobą miejsce szczególnie

niebezpieczne, dogodne do podłożenia IED, np. most, spiesz się z pojazdów i sprawdź go, zanim po nim przejedziesz”. Czyli mam pójść na piechotę i zerknąć pod most, czy czasem nie ma tam zakopanej bomby? Tak? Czyli taki żołnierz ma wykonać to zalecenie, bezpośrednio narażając się na przeniesienie się w przestworza? Talibowie głupi nie są i odpalą ładunek, jeśli któryś bohaterski żołnierz do niego podejdzie, bo ktoś tak zalecił. Poświęcamy człowieka, ratujemy pojazd i resztę załogi, brawo. Teraz możecie się zastanawiać, dlaczego należy czekać na podpowiedź, jak to bezpiecznie zrobić. Przeżyłem takie momenty, więc mogę z głowy napisać, jak to się robi, a nuż któremuś z żołnierzy uratuję tym opisem życie.

Ładunek zamontowany pod mostem, przepustem i w każdym innym dogodnym miejscu, jak już wspomniałem, można pobudzić na trzy sposoby:

- MECHANICZNIE poprzez np. naciśnięcie mechanizmu zapalnika,
- ELEKTRYCZNIE, podłączając przewody do zapalnika,
- ZDALNIE drogą radiową, np. montując w ładunku odbiornik radiowy, telefon.

Ładunek może jeszcze odpalić na sobie samobójca, ale to już pozostawię bez komentarza.

Każdy z tych sposobów pobudza zapalnik, który doprowadza do eksplozji całości. Więc nie wiedząc, który ze sposobów odpalenia jest zastosowany, a mogą być wykorzystane wszystkie trzy jednocześnie, zawsze trzeba się zabezpieczyć przed wszystkimi możliwościami. W takim miejscu trzeba działać bardzo metodycznie i bez pośpiechu. Praktycznie zawsze zakładamy, że jesteśmy obserwowani, a nawet nagrywani. Pierwsze idzie odseparowanie rejonu działania, robiąc pierścień zewnętrzny gdzieś na odległości nie mniejszej niż trzysta metrów od newralgicznego miejsca. Uwierzcie mi, że nikt tu w Afganistanie nie rozwija magistrali pirotechnicznej na taką odległość, a jeśli tak, to ci żołnierze na trzystu metrach mają dobry wgląd na kolejne sto metrów, więc przeciwnik musi mieć przewody elektryczne na co najmniej czterysta metrów, daleko, prawda? Taka taktyka pozwala nam odseparować teren działania sapera, dając mu komfort pracy i odsunąć od nas gapi. Żołnierze odpowiedzialni za kordon dodatkowo sprawdzają teren, czy w tym promieniu nie leżą na ziemi przewody, bo nawet jak ktoś je zakopał i ukrył, zrobił to na pierwszych pięćdziesięciu metrach, dalej leżą na wierzchu; pomyślcie, ile czasu trzeba, by zakopać trzysta metrów kabla i zamaskować go? W taki sposób eliminujemy jeden ze sposobów inicjacji ładunku. Nowoczesne pojazdy, ale i te starsze powinny być wyposażone w system zagłuszania fal radiowych i sieci komórkowych. Jadąc, tworzymy wokół siebie „bąbel” zakłócający. Od razu odpowiadam, tak, wiemy, które to zakresy, więc drogą radiową pod zaminowanym mostem w sposób zdalny ładunku nam nie zdetonują. Teraz pozostał nam ostatni i najtrudniejszy sposób do zneutralizowania

IED. Tu już potrzebny jest człowiek i to on manualnie przeszuka teren za pomocą wykrywacza metalu lub po prostu zerkając pod przepust. Ta robota jest przeznaczona dla saperów, a w naszym wykonaniu dla któregoś z pirotechników wyposażonego w wykrywacz metalu... i do dzieła. Takie zabezpieczenie i sprawdzenie mostu, przepustu, wąskiego gardła na drodze potrafi trwać nawet kilka godzin, ale w tej robocie pośpiech może oznaczać podróż tylko w jedną stronę.

W ambasadzie pracuje młody chłopak o imieniu Piotrek, różni się mocno od pozostałych dyplomatów, jest konsulem i płynnie mówi w języku dari. Dari jest odmianą perskiego, choć w piśmie jest prawie identyczny jak perski. Piotrka czasami pozostawiamy na mieście, a potem zabieramy jako przyjaznego podróżnego na stopa. Chłopak porusza się po Kabulu, jakby był u siebie, nikt na niego nie zwraca uwagi, ubiera się po miejscowemu, czuje ulicę i nią żyje. Jest dla nas skarbnicą wiedzy.

Choć Afganistan dla mnie pod względem turystycznym jest mało atrakcyjny, to pomysł, by zrobić rekonesans do doliny Pandższir, padł na podatny grunt. Patrzymy na ten pomysł, tak jak nas szkolono, mamy szansę zrobić rekonesans w miejscu, które rzadko jest odwiedzane, ale bardzo ważne na mapie Afganistanu.

Pakujemy się jak na prawdziwą wojnę – trochę śmiechu, bo to tak, jakbyśmy wcale na niej nie byli. Do bazy Bagram wyruszamy bardzo wcześnie, by ominąć całodniowe korki, więc dość szybko dojeżdżamy. Ulokowana jest na jednym z największych afgańskich lotnisk. W Bagram można na chwilę odetchnąć od ciągłego bycia w taktycznym napięciu. Jak już wspomniałem, to potężna baza z ogromnym lotniskiem, takie miejsce jest praktycznie nie do zdobycia. Jasne, że czasami spadają tu rakiety, a nawet bojownicy nieudolnie próbują atakować, ale to jakby mrówka chciała powalić słonia. Mamy czas na śniadanie w porządnej wojskowej stołówce i drobne zakupy w amerykańskim PX. Dogrywamy plan naszego przejazdu, informując drogą radiową na trasie, kogo trzeba, że to swoi jadą. Dostajemy wszelkie możliwe do otrzymania zgody i potwierdzenia, że tam na nas czekają, droga na północ stoi przed nami otworem.

Dolina, prowincja i rzeki mają tę samą nazwę, Pandższir, co od czego przejęło nazwę i co było pierwsze, nie wiem, skupiam się na dolinie – bo to niesamowite miejsce, nie tylko z geograficznego, ale i strategicznego punktu widzenia.



Wjazd do doliny Pandższir

Dolina rozdarta jest na pół rzeką Pandższir i przez lata była centralnym miejscem zacieklej walk pomiędzy wojskami ZSRR a afgańskimi mudżahedinami, podczas okupacji Afganistanu w latach 1979–1989. Prowincja Pandższiru była nieustannie atakowana, oficjalnie można przeczytać o dziewięciu dużych ofensywach w jej rejonie, żadna nie zakończyła się powodzeniem i pokonaniem mudżahedinów oraz z wyparciem ich z doliny. W walkach tych poniosło śmierć blisko 60% żołnierzy radzieckich, którzy w ogóle zginęli podczas wojny w całym Afganistanie. Więc pomyślcie sobie, co czujemy, wjeżdżając w krętą drogę wijącą się zgodnie z biegiem rzeki, która ograniczona jest pionowymi ścianami litej skały. To, co pozostawiła tam wojna, jest niesamowite i przerażające, w każdym z miejsc wskazującym na potyczkę stoją pozostawione i straszą po dziś dzień spalone poradzieckie czołgi, ciężarówki, wozy pancerne i armaty, wszystko w takim stanie, w jakim zakończyło wojskowy żywot, tylko zepchnięto je na pobocze drogi, tak dla przestrogi. Ten widok przypomina, jak wysoką cenę płacono za wjazd do doliny. Każde z tych miejsc to tragiczny los wielu młodych Sowietów rzuconych w wir wojny, w której tylko cholera wie, za co mieli walczyć.



Wojna pozostawiła swój ślad, ale życie toczy się dalej

Będąc żołnierzem, ma się świadomość, co działo się z tymi chłopcami podczas ataku, po prostu nie mieli tu jak się bronić, a co dopiero skutecznie walczyć. Rosyjska taktyka rozpoznania bojowego i rzucania kolejnych kompanii w dzisiejszych czasach nie jest już tak skuteczna jak podczas drugiej wojny światowej, ale Rosjanie nigdy nie liczyli się z żołnierskim życiem i, jak historia pokazuje, nadal się nie liczą. Nas tu nie rusza nikt, jedziemy przez – wydawałoby się – przyjazny kraj, dzieci wesoło machają, pozdrawiając naszą kolumnę, dorośli kłaniali się w pas, a mijane wojskowe bazy, jak by to napisać... są na wpół otwarte. Szykowaliśmy się tu jak na spotkanie z groźnym przeciwnikiem, a w tej prowincji panuje istna sielanka. Amerykanie powywlekali na umocnienia zbudowane z hesco bastionów łożka i opalają się w najlepsze. W Kandaharze to by było nie do pomyślenia. Jadąc tu, za cel obieramy miejscowość Bazarak, w której pobliżu znajduje się grób Ahmada Szaha Masuda, zwanego Lwem Pandższiru. Masud przez wielu uważany jest za narodowego bohatera Afganistanu, był doskonałym dowódcą i politykiem. Po wojnie z Rosjanami rozgorzała tu wojna domowa i trwała w najlepsze między talibami a Sojuszem Północnym.



To miłe uczucie, gdy dzieci nie boją się żołnierza

Dwa dni przed atakami na World Trade Center i Pentagon dokonano udanego zamachu na Masuda, o który posądzono Al-Kaidę. Masud został pochowany w dolinie, na wzgórzu obok rodzinnej wsi. Pewnie historia Afganistanu potoczyłaby się inaczej, gdyby nad tą doliną nadal czuwał Lew Pandższiru.

Dojechaliliśmy praktycznie pod sam grobowiec, tu wita nas starszy Tadżyk, zresztą większość mieszkańców stanowią tu Tadżycy, sam Masud też był Tadżykiem. Wymieniamy uprzejmości, Piotrek nas przedstawia i panuje przyjacielska atmosfera. Mauzoleum Masuda jest jeszcze w budowie, ale jestem pewien, że stanie się miejscem pielgrzymek. Z ciekawością zerkam na miejscowych: tu życie toczy się innym rytmem niż ten, do którego przywykliśmy w Kandaharze, a teraz w Kabulu. Jesteśmy częstowani herbatą, nikt nie ma w oczach strachu i nie patrzy podejrzliwie, tylko te spalone na każdym zakręcie czołgi przypominają, gdzie jesteśmy i jaką krwawą historię ma za sobą dolina Pandższiru.

Zalecenia: Gdy zauważysz coś podejrzanego, używaj dostępnej optyki, trzymaj się w bezpiecznej odległości, minimalizuj na różne sposoby swoją obecność w miejscu potencjalnego zagrożenia. Wszystkie techniki wykonywane w ten sam sposób przez jakiś okres zostają wykryte i użyte przez wroga

przeciwko siłom koalicji. Jesteś obserwowany przez wroga cały czas. Aby zapobiec schematom, można poruszać się np.: ze zmienną szybkością, różnymi technikami jazdy, zmieniać pasy i strony jezdni, zmieniać odstępów między pojazdami, zmieniać trasy wyjazdu i powrotu do bazy, godziny wyjazdu i powrotu itp. Wróg powinien być zdezorientowany, niech nasze zachowanie będzie dla niego zaskoczeniem.



Porzucony radziecki sprzęt tworzy smutne zaniedbane cmentarzysko

Odwiedzamy my, ale i nas czekają kolejne odwiedziny z nastaniem nowego rządu. Jest nowy minister, którym został pan Bogdan, z zawodu lekarz, polityk i politolog. Co ktoś taki może wiedzieć o żołnierskim bycie? Niezależnie od poglądów politycznych uważam, że ministrem obrony narodowej, tak jak pozostałymi ministrami, powinni zostawać eksperci wywodzący się z danego środowiska, ministrem sprawiedliwości – prawnik, ministrem oświaty – nauczyciel, ministrem zdrowia – lekarz, a obrony – były żołnierz lub przynajmniej ktoś po studiach związanych z bezpieczeństwem narodowym. U nas w wojsku mamy zwyczaj obsadzania na tym stanowisku historyka, więc i wojsko trochę historyczne, a teraz lekarz będzie armię uzdrawiać. Może właśnie dlatego nasze wojsko tak bardzo tkwi w przeszłości, skoro historycy mają nad nim pieczę. Za to zalecenia dla wojska są ułożone ładnym drukiem na białej kartce, niestety

oderwane od otaczającej nas na wojnie rzeczywistości, bo np. zaleca się „zmieniać pasy i strony jezdni, zmieniać odstępy między pojazdami” – w Bagdadzie tak, ale tu, w Kabulu, stoi się w korku; „zmieniać trasy wyjazdu i powrotu” – serio? Ambasada jest usytuowana w wąskiej uliczce, zmiana polega na wyjechaniu w lewo lub w prawo. „Wróg powinien być zdezorientowany” – przepraszam, a skąd wiadomo, kto tu jest wrogiem, kto nie, jak go rozpoznać? Tego już nie napisano...



Grobowiec Lwa Pandższiru



Wnętrze grobowca Ahmada Szaha Masuda



Pobratymiec Masuda, Uzbek

Pewnego dnia dostaliśmy informację, że gdzieś tu w Kabulu jest dom, w którym przebywa kilku Polaków z zespołu Polskiej Akcji Humanitarnej. Nic złego im się nie dzieje, ale miło by było, gdybyśmy ich odwiedzili i dali kilka cennych wskazówek odnośnie do Kabulu i Afganistanu. Po wcześniejszym skontaktowaniu się z pracownikami PAH pojechaliśmy ich odwiedzić. Dom, który wynajmowali, był, jak to w Afganistanie, otoczony murem, z wielką bramą, za którą siedział na krzeselku ochraniający posiadłość umundurowany dziadek. Popatrzyliśmy na całość surowym wzrokiem... i nic się nie wskóra, gdy chcącemu nie dzieje się krzywda. Poza nastraszeniem, cennymi radami i ustaleniem łączności alarmowej pozostawiliśmy naszych humanitarnych rodaków samym sobie. Tam na miejscu nie byliśmy ich w stanie ochraniać, działali zgodnie z prawem, więc nikt nie mógł ich przymusić do powrotu do Polski. Duże organizacje w takich miejscach współdziałają ściśle z jakimś wojskiem lub wynajmują profesjonalną ochronę, która jest już nieco mniej humanitarna i w razie potrzeby potrafi obronić tych niosących pomoc. Tu niestety dosyć często dochodzi do porwań i wymuszeń, więc przebywanie w takim miejscu jak Afganistan to igranie z własnym życiem i to tak całkiem na serio.

Zalecenia: Gdy wybuchnie IED, zastosuj swoje procedury. Zagrożenie jest takie samo jak w wypadku zasadzki. Może nastąpić więcej wybuchów, bezpośredni lub pośredni ogień wroga. Natychmiast odpowiedz ogniem do zidentyfikowanych celów według prawa użycia broni. Najlepszą bronią do zatrzymania ataku IED jest zabicie napastników, szukaj człowieka, który odpala ładunki. Wydostań się ze strefy śmierci i przeprowadź reorganizację, ubezpieczenie 360.



Niezależnie od wojny życie toczy się własnym rytmem

Wicie co, czytam to powyższe i aż żal jest mi naszych chłopaków szkolonych w tak ogólnikowy sposób: „Najlepszą bronią do zatrzymania ataku IED jest zabicie napastników, szukaj człowieka, który odpala ładunki”. A niby jak go wypatrzyć? To nie film, że widać przeciwnika z detonatorem w ręku. Oczywiście ktoś to piszący zadbał o przypomnienie, że na wojnie jedną ze stron, czyli nas, obowiązuje prawo użycia broni. Nie, nie jestem za strzelaniem na pałę, ale tu w Afganistanie prawo użycia broni może nie wyklucza się z panującą rzeczywistością, ale po prostu nie jest możliwe do zastosowania w czystej biurokratycznej formie. Nowy rząd to i nowe, jak już wspomniałem, odwiedziny polityków, fachowców, specjalistów i dziennikarzy. Fenomenem przebywania w ambasadzie jest to, że każdy, kto przyjeżdża z kraju, dopiero tu na miejscu przekonuje się, że tak pracować się po prostu nie da, tak jakby raporty wysyłane stąd były kłamliwe i trzeba było dotknąć, by uwierzyć. Dotykają, wierzą, wyjeżdżają do Polski i nic się nie zmienia. Problem z elektrycznością to codzienność, więc przyjechał specjalista, który po naocznym zetknięciu się z pajęczyną przewodów stwierdził, że się tak nie da, coś tam poprzęczał, poprzepinał na dachu kable, bo tam jest rozdzielnia, no i mamy pożar, sieć nie wytrzymała nowego fachowego rozwiązania. Są też politycy, ale ci jakoś już ambasady nie chcą odwiedzać – za daleko, zbyt niebezpiecznie, za to dziennikarze już tak.

Pytanie typu „jaki mam stopień” teraz mnie bawi, ale kiedyś drażniło, zazwyczaj odpowiadałem, że jestem żołnierzem, a stopień nie walczy, zresztą im wyższy, tym dalej od boju. W naszej polskiej wojskowej rzeczywistości stopnie wojskowe są niemiłosiernie zawyżone, tak bardzo, że aż nie przystoi, choć, jak to mówią, żadna praca nie hańbi, ale...

Wylatując kilka miesięcy temu z wrocławskiego lotniska, z zaciekawieniem obserwowaliśmy, jak pan kapitan sprytnie radził sobie jako operator wózka widłowego, wtórował mu starszy chorąży pomagier, przytrzymując nasze palety w trakcie ładowania do samolotu. Serio, to trzeba zrobić pięcioletnie studia i mieć na pagonach cztery gwiazdki, by jeździć widlakiem? Dawno już nie przekładam wojskowego stopnia na wiedzę i umiejętności, a tu się mnie dziennikarz pyta o stopień, no bo jak, dziennikarz rozmawiający z szeregowym, a nie z generałem, przecież taki generał to wie wszystko. Z jeszcze większym zaciekawieniem przysłuchiwaliśmy się podczas zimowego poligonu w Trzciancu, gdy z wizytacją nadciągnął taki jeden generał i sprawdzał żołnierzom w kuchni zgodność z listą łyżek i widelców, taki generał to musi znać się na wszystkim. Osobiście zostałem podczas mojej kariery srogo skarcony przez generała, a było to tak.

W Krakowie miało się odbyć podpisanie porozumienia o współpracy pomiędzy United States Special Operations Command i Dowództwem Wojsk Specjalnych. Na tę uroczystość kazano zjawić się po jednej sekcji z wszystkich jednostek specjalnych, wysłano więc i nas. Przyszedł rozkaz, że mamy stworzyć sekcję, która pojedzie na to wydarzenie do Krakowa, by reprezentować firmę. W sekcji mieli być tacy, którzy znają angielski i mają doświadczenie bojowe. O takich w tamtym czasie było trudno, bo albo znało się angielski, albo się było w boju. Ci z oboma wskazaniem byli w mniejszości, więc pojechał ten, kto był pod ręką, ale jednak z zespołu bojowego, więc bez ściemy. Kolejnym problemem było: w co nas ubrać. My zazwyczaj na takich festynach w firmie występowaliśmy w garniturach, no ale tam to wojsko, więc musieliśmy wyglądać jednakowo. Nasze mundury, te bojowe, nadawały się na poligon, nie na paradę, więc w trybie natychmiastowym, naginając pewnie regulaminy, wydano nam po parze nowego sortu. Wraz z rozkazem wyjazdu Tomek przyniósł z odprawy info, że Naval ma schować pod берет swą kitkę, bo... bo nie zostało dokończony, więc moja odpowiedź to: no cóż... Ceremonia podpisania porozumienia na moje nieszczęście odbyła się w przestronnej sali. Stół przykryty zielonym suknem, sztandary wprowadzone, generalicja, no i my ustawieni na kształt kwadratu stoimy jako niemi świadkowie tej podniosłej chwili. Po przemowach i kluczowym złożeniu podpisów brawa na stojąco. Ale to nie koniec, dwóch przyjaznych generałów wybrało się, by przybić piątkę z każdym z nas. Polski generał prowadzi, Amerykanin za nim podąża, poklepują każdego z żołnierzy, ściskają dłonie z serdecznością. My stoimy na

samym końcu ramienia kwadratu, uroczystość odbywa się w pomieszczeniu, więc wojsko bez beretów, moje włosy spięte są w kucyk, ale nie da się ukryć mocno nieregulaminowej fryzury. Wpierw generał ściska rękę Tomkowi, zerkając pod pagon, bo odwrócony i dziwi się, że oficer wstydzi się kapitańskich gwiazdek i stopnia, a następnie z niedowierzaniem zawiesza wzrok na mojej kitce:

– Co wy tam w Warszawie, fryzjerów nie macie...?

– Mamy, panie generale, ale pewnie nie są oni tak dobrzy jak tu w Krakowie...

Kolor purpury ogarnął generalską twarz. Że jak..., że co..., że kto śmie odezwać się do generała i to jeszcze z ripostą... Zapowietrzył się, nabierając powietrza z zamysłem wciśnięcia mnie w posadzkę... ale nie. Nadeszła kawaleryjska odsiecz.

– *Hi guys, I remember you from Iraq* – powiedział amerykański generał i wziął mnie w objęcia jak dawno niewidzianego przyjaciela.

– *Nice to see you again, sir* – odparłem, bo coś tam po angielsku już umiałem.

Naszego polskiego generała lekko zamurowało, ale nie stracił animuszu.

– *Yes, yes, yes, these are our best soldiers.* – Teraz i on objął mnie ramieniem, poklepując pochwalnie.

Nasz pan generał nie wiedział, bo i skąd, że amerykański generał bywał czasami u nas w Camp Pozzi w Iraku i, jak by to powiedzieć, znaliśmy się trochę z widzenia. Tak więc mój nieregulaminowy język, a co ważniejsze fryzura została uratowana, no i jak tu się było można mnie czepiać, gdy nie jeden, a dwóch generałów ściska?



Waluś stoi na samej górze w środku – jakie to życie jest ulotne

Po kilku tygodniach jazdy w Kabulu może nie byliśmy mistrzami ulic, ale nabraliśmy takiego doświadczenia, że lekki ruch kierownicą czy kierunkowskaz kierowcy potrafił zastąpić komunikację radiową pomiędzy kierowcami. W naszej robocie bardzo ważne jest bycie przewidywalnym dla pozostałych członków sekcji, tak samo na drodze, kierowcy muszą być przewidywalni, współpracować i dawać sobie wsparcie, odpowiednio jeżdżąc czy nawet rozpychając się zderzakami. Jedziemy z ambasadorem na któreś już spotkanie, staramy się nie być agresywni, ale stanowczy... Na jedno z rond wjeżdżamy jako pierwsi, a tu z boku podobna ekipa do naszej chce się wcisnąć nam w szyk. Chińczyk płynnym manewrem od tyłu tak cwanie przyblokował tamtych, że pozostałe samochody z piskiem zatrzymały się przed rondem. Przez szyby było widać niedowierzanie i wściekłość brodaczy w okularach, my płynnie pojechaliśmy dalej, a tamta ekipa musiała poczekać na rondzie na swoją kolej wbiecia się w uliczny ruch.

Stąd było już niedaleko do bazy ISAF, więc miejsce mało przyjazne dla konwoju, gdy byliśmy na rondzie, wiadomo było, w którą stronę pokierują się takie cywilne samochody. Już w samej bazie dyplomaci udają się na salony, a my na stołówkę, taki wręcz rytuał. Tu się nikt nie rozpycha, a i amerykański generał potrafi stać w kolejce po posiłek. Do Chińczyka, który stoi przede mną, podchodzi podobnie jak my w cywilu gość i mając zarzucony tytoń za wargę, mamrocze coś po angielsku. Pyta, czy to on kilkanaście minut temu zblokował go na rondzie.

Będzie jatka jak nic... tak, to my. Popatrzył na nas, pokiwał z uznaniem głową, mówiąc, że mocna z nas paka, widać, że się znamy na robocie, i poszedł na koniec kolejki, zostawiając wizytówkę, jakby któryś z nas szukał w przyszłości roboty. Takie momenty, nasz wizerunek w oczach tych, co robią tę robotę i się na niej znają, są prawdziwym przejawem uznania w naszym wojskowo-militarnym środowisku. A zdjęcie z ambasadorem i attaché na tle polskiej ambasady w Kabulu pozwala myśleć, że i nasi dyplomaci byli zadowoleni z naszej roboty, choć w mocno nieregulaminowym wydaniu.

Nasz, nie nasz świat

Humvee trzeszczy w rytm przechylania się podczas jazdy po nierównym podłożu. Skłamałbym, mówiąc, że nie zatęskniłem za nim i pustynnymi parolami, jakoś dziwnie ciasno było w Kabulu, jak to w stolicy. Tak, tu jest kurz i masa niedogodności, ale o wiele więcej od nas zależy. Kabul czy każde inne miasto wymusza całkowicie inne działanie, inny stres i brak poczucia bycia panem sytuacji. Michał nadal szkoli się za wielką wodą, teraz podczas patrolu dowodzi nami Wojtek, zasiadając obok mnie na dowódczym fotelu, cholera, jestem kierowcą wozu dowodzenia – jak to dumnie brzmi. Niestety nie wszystko tu zależy od nas i jest tak, jakbyśmy sobie życzyli. Choć na otwartym terenie możemy sobie pozwolić na zmienianie tras i bawienie się w kotka i myszkę z talibami.

Jako kierowca pierwszego pojazdu to ja wybieram trasę, omijając przepusty, wąskie gardła, Karol na gunnie jest niezastąpioną dodatkową parą oczu i wskazuje mi z wyprzedzeniem drogę przejazdu.

- Nie tędy, Navalku, jedź w lewo...
- Co?
- W lewo, w lewo...
- A, OK, lewo.

I tak to, kilometr po kilometrze, przekrzykujemy silnik i trzaski. Chcąc ominąć cywilizację z ruchliwym skrzyżowaniem, jedziemy na przysłowiową krechę, dojeżdżając do dosłownej, czyli głębokiego rowu przecinającego pustkowie. Łom i łopata może nie są atrybutem żołnierza jednostki specjalnej, ale umiejętność obsługi tego specjalistycznego sprzętu jest bardzo przydatna, nie bez powodu ten ekwipunek jeździ z nami. Kto inny, jak nie kierowca, jest odpowiedzialny za drogę przejazdu, pozostali trzymają sektory, a kierowcy do roboty równać rów. Po dobrej godzinie machania kilofem i szpadlem możemy ruszać dalej przekopanym, a raczej zasypanym rowem. Pewnie jak ktoś z daleka oglądał tę scenkę, to miał niezły ubaw, no ale taka robota.



Choć łopata nie jest atrybutem żołnierza, to w mojej wojskowej karierze często jej używałem, przede wszystkim właśnie w Afganistanie

Na pace mamy załadowanego trochę dodatkowego frachtu, koce, klapki, radyjka, termosy, zeszyty... jedziemy zdobywać serca. Nieopodal docelowej miejsciny spotykamy się z miejscowymi policjantami. Policja... jak to brzmi w tutejszych warunkach, patrzę na tych chłopaków i teraz wiem jeszcze mniej. Jak tu odróżnić talibów od policji, policję od wojska i grup przemytników. My, no fakt, nie trzymamy się zbyt przepisów mundurowych, ale wyglądamy na wojsko, a nasi gospodarze to prawdziwa mozaika, zresztą jak cały Afganistan. Są poubierani w to, co kto ma, temu w czerwonej skórzanej kurtce pewnie każdy zazdrości szyku, część policjantów nosi wojskowe amerykańskie pustynne buty, inni są w trzewiczkach, a czasem nawet w klapkach. Wybrańcy poubierani są w jakieś fragmenty umundurowania, chusty, czapki, no ale zielona toyota z policyjnym oznakowaniem i zamaskowanym na pace karabinem przeciwlotniczym wieździe tu prym. Przypadłem do gustu młodemu policjantowi, nawija niezrozumiałym dla mnie językiem i nie odstępuje na krok, z gestów widać, że jeszcze chciał dostać to i tamto. Zawzięłem się i nauczyłem jednego zwrotu: *stah noom tseh dah?*, czyli „jak masz na imię”, no i zostałem wzięty za tłumacza, zresztą zrobiło się ogólnie przyjemnie, choć w komunikacji nawet język gestów czasami nie wystarcza, jesteśmy od siebie z punktu widzenia kultury i zwyczajów naprawdę daleko. Przez tłumacza pytamy o miejscowych talibów: czy gdzieś tu są,

my trzymamy sektory, staramy się zachowywać czujność, oni nie. Zdziwieni są pytaniem, bo prócz nich nikogo tu nie ma. Oni stanowią tu prawo, są u siebie i nikt bez ich wiedzy nie ma prawa tu wjechać, a jak wjedzie, to nie wyjedzie – odpowiadają stanowczo, pewni swej siły. No, my możemy, bo się zapowiedzieliśmy i z nas to przyjaciele, którzy przywieźli dary. Rozdaliśmy policjantom połowę przywiezionych rzeczy, resztę chcemy oddać miejscowym władzom, ale nie jest to łatwe, bo zabraliby chętnie wszystko, taki worek bez dna. Dodatkowo daliśmy każdemu po kilka butelek wody, otworzyłem amerykańską rację żywnościową MRE, ale tu „zasadka”: wcześniej nie widzieli takich wynalazków. Muszę pokazać, co jak się rozpakowuje i że w środku płaskiego opakowania jest żywność.



Nasi afgańscy sprzymierzeńcy

To prowadzi też do jak dla mnie dziwnej sytuacji. Otwieram poszczególne produkty, gestami zachwalając jankeską kuchnię. Młody, ten w skórze, ugryzł batonika, pomlaskał, nie smakowało, więc resztę nadgryzionego wyrzucił. U nas zazwyczaj jest tak, że gdy coś jemy i komuś nie smakuje, to pyta pozostałych, czy ktoś ma ochotę, a ten pieprzył batonikiem o ziemię. Jak tu jeszcze wytłumaczyć, że śmieci zabieramy ze sobą... miejscowi policjanci nie mieli w zwyczaju częstowania się, tym bardziej jak ktoś czegoś już nie chce. Przynajmniej ja tego nie

zaobserwowałem, niezjedzone resztki i śmieci walają się po ziemi, jakby panował tu ogromny dobrobyt, a przecież jest bieda.



Środek całkiem sporej afgańskiej wsi gdzieś na wschodzie prowincji Kandaharu

Ruszamy jednym wielkim konwojem, wjeżdżając za policjantami do miasteczka. Miastem trudno je nazwać. Główna ulica to klepisko, wzdłuż którego wije się alejka kilkunastu bazarowych stoisk i sklepików z siedzibą miejscowej administracji w centralnym miejscu. Wszystkie budynki są w opłakanym stanie, rozsypują się ze starości i z powodu widocznej fuszerki odwalonej podczas budowy: popękane mury, praktycznie nigdzie nie ma okien znanych z naszych domostw. Budynek rządowy też zresztą nie prezentuje się najlepiej, jako jedyny ma dwa piętra, które go wyróżniają, i dziedziniec, na którym się nie mieścimy. Jesteśmy tu proszonymi gośćmi, ale stanowimy nie lada atrakcję, przejeżdżając paradnie przez miejscowość. Przechodnie to zazwyczaj mężczyźni i dzieci, które są lekko zdezorientowane, nie wiedzą, czy się śmiać, czy płakać, są jakby nieobecne. Na ulicy stoją oznaki cywilizacji: jakiś traktorek, zdezelowany poradziecki uaz, i mnóstwo motorków. Ogólna bieda przeplata się z surowością terenu, zatopiona w pokrywającym całość szaro-brązowym kurzu, nawet pogoda gra tę samą nutę, nastrój taki, jakby kogoś zaraz mieli powiesić. Po przekazaniu darów i wypiciu tradycyjnej herbaty zabieramy się stąd, trzeba gdzieś znaleźć miejsce na nocleg. Za dnia to przyjaciele, ale co nas czeka z ich strony po zmroku?

Odjechaliśmy kawał drogi, by zakotwiczyć na cudnym pagórku, takim idealnym na taktyczny nocleg. Z każdej strony na grzbiet pagórka jest długi kamienny podjazd, nic nie ogranicza nam widoczności, dodatkowo w nocy kryje nas mrok, a przed wzrokiem naszych termowizorów nic się nie ukryje. Mija godzina za godziną, chłód, ciemna noc, szmer wiatru, ale nie to, a narastający dźwięk lecących nisko dwóch śmigłowców chinook w asyście szturmowego apache'a stawia nas na równe nogi. Co za cholera, oby tylko nie wzięli nas za intruzów, głupio tak oberwać od *friendly fire*. Apache wykonał nad nami dodatkowy zwiad i podążył za swym większym bratem. Szemramy, że to nasz kawałek Afganistanu, że bez naszej wiedzy nie powinien się tu nikt plątać (zaczynamy myśleć jak miejscowi, udzieliło nam się plemienne poczucie przynależenia ziemi i nieba do nas), no ale kto Wielkiemu Bratu każe się spowiadać z operacji, w których my nie bierzemy udziału. Kurde, pierwszy raz zatęskniłem za Irakiem i całą machiną, w której braliśmy udział, co prawda jako jeden z trybików, ale ten nasz trybik był często kluczowy. Tu jesteśmy sami sobie, samowystarczalni, więc i sami, bez informacji, bez dedykowanego naszym operacjom lotnictwa i wsparcia. Można to podsumować tak: „Sami robimy mniej, niż potrafimy, a więcej, niż możemy”.



Po ośki w afgańskim pyle – czy też gównie, jak ko woli



Operacja z zakresu *hostage rescue*, tyle że nie jestem uwięziony przez kogoś

Prawie każdy afgański poranek to gra kolorów, przejrzyste powietrze przepuszcza światło, które mieni się kolorami odbitymi od skalistego podłoża, ale im słońce wyżej, tym bardziej magia miejsca niknie, a z upływem dnia zaczyna być jeszcze mniej magicznie, bardziej surowo. Pieprzony kurz, pył, wiatr i nieustanne smarkanie w rękaw, bo chusteczki szybko się kończą. Jedziemy nawet dość żwawo środkiem wyschniętego koryta sezonowej rzeki, gdzieś tylko kałuże przypominają, że to jest miejsce, w którym płynie woda, ale im dalej od gór, tym tych oznak mniej. Podłoże wyschniętej rzeki jest jak z mąki, po każdym z pojazdów w powietrze unosi się gęsta zawiesina: czy jedziesz powoli, czy szybko, nie ma to znaczenia, ciągle wznosi się kurz. Nagle jakbym zadarł tyłem samochodu, dupa humvee opadła mi w dół i zagrzebuje się. Ja prowadzę pierwszy pojazd, podłoże, po którym zacząłem jechać, dawało nadzieję, że będzie lepiej, wyglądało na błotniste, ale nie, jeszcze więcej pylistego ścierwa. Ugrzęźliśmy, po radiu nadaję komunikat, że całość stop! Wychodzę z samochodu, ledwo otwierając drzwi, wygląda na to, że zawiśliśmy na podwoziu i toniemy w mące, nie jest to błoto, choć tak wygląda. No to będzie jazda, choć jej nie ma. Obchodzę samochód: idąc, człowiek się nie zapada, ale nasze kilkutonowe cacko utknęło w gównie prawie po uszy, no, po ośki. „Houston, mamy problem”, teraz to mnie trzeba ratować. Najdziwniejsze jest to, że miejsce, w którym utknałem, można objechać, a nawet humvee Szyszuni, który mnie ma wyciągnąć, stojący za nami kilka

metrów, utrzymuje się na stabilnym podłożu. No nic, najpierw do łopaty. Musimy odkopać koła, podłożyć pod nie aluminiowe podkłady jezdne, odkopać tylny wał i dopiero brać się za siłowe rozwiązanie. I wiecie co, tak to jest jak człowiek dobrze przygotowuje sobie pracę, nie idzie w bylejąkość, że jakoś się uda, tylko podczas przygotowań jest sumienny. Za pierwszym razem Szyszunia wyszarpnął mnie z tego pylastego gówna, uwalniając z zasadzki. Triumf i radość z pokonania pylistej drogi nie trwały jednak długo. Wyjeżdżając z rzeczno kanionu, musieliśmy pokonać dość stromy podjazd. Zgodnie ze sztuką zablokowałem most, ale pewnie zbyt dynamicznie nacisnąłem pedał gazu i tylko chrupnęło... Gaz pod pedałem jest, silnik pracuje, ale mocy brak. Przednie koła stoją w miejscu, co wskazuje, że zerwał się przegub napędowy półosi. Tak, pamiętam, jak go wymienić, a nawet w tej chwili przypominam sobie, jak z amerykańskim mechanikiem leżałem w warsztacie pod humvee, odkręcając i zakręcając wszystkie z mocujących go śrub, ale teraz tu na pustyni, *fuck, fuck!*



Nasz humvee jak na smyczy

Co za dzień, a to dopiero południe. No nic, pakuję się pod auto i macham kluczem, zalewając się potem, który spływa mi do oczu, nie dając w spokoju pracować. W tych warunkach, gdy wszystko tonie w pyli i dostęp do przegubu jest ograniczony, nie jest to takie proste jak na warsztacie. Walczę ja, walczą z przegubem kolejni kierowcy, każdy, kto ma ochotę, może się wczłagać pod auto

i spróbować sił, ale śruby tak się zapiekły, że nie mamy szans z materia, jedyną słuszną decyzją jest to, że Szyszunia bierze mnie ponownie na hol i toczymy się do bazy.

To, jak do tej pory najedliśmy się kurzu i pyłu podczas przecierania afgańskich szlaków, było skromną zapowiedzią tego, w czym teraz jedziemy, nawet trudno mi to opisać słowami. Serio nie ma to znaczenia, czy siedzi się na pace, czy w środku, a nawet w środku gorzej, bo jeśli napełniamy się pyłem, to z wewnątrz tak szybko nie ulatnia się jak na zewnątrz. Staram się jechać za moim holownikiem po skosie, użyliśmy dłuższego holu, ale to i tak nie zawsze pomaga. Czuję pod powiekami, jak podczas mrugania pył rysuje mi gałki oczne, piach zgrzyta pomiędzy zębami, już nawet z nosa mi nie cieknie, tak mam zacementowane zatoki. Człowiek w skrajnych warunkach zaczyna działać bezwiednie, jak maszyna, zaczyna mu być wszystko jedno, niech już po prostu skończy się kolejne rzeczne koryto. Chyba się zamyśliłem – wjechaliśmy w pagórkowaty teren i przestało się kurzyć, ale zabawa na całego trwa, bo holujemy nie po drodze, tylko po bezdrożu. Humvee przede mną pracuje na podwójnych obrotach, moją rolą jest to, by praktycznie cały czas hol był napięty, przy jeździe pod górkę czy po płaskim jest to dość proste, ale zjeżdżając, piłuję hamulce jak nigdy dotąd. Naszą drogą oczywiście nie jest równy asfalt, a kamieniste bezdroże pagórkowatego terenu. Do nozdrzy, pomimo ich zacementowania kurzem, zaczął docierać łagodny ciepły zapach uprawnych zielonych pól i nastrój trochę mi się poprawił. Jeden Bóg wie, co za zielsko tu uprawiają, ale widok zielonej palety wywołał momentalną zmianę nastroju. Intensywny kolor roślin tak bardzo odróżniał się od pozostałego terenu, że aż musieliśmy przystanąć, by się na tę zielen napatrzeć.



Widok zieleni na afgańskich bezdrożach to rzadkość

Po wielu godzinach, już po zmroku, zmęczeni, wręcz wyczerpani dojechaliśmy do bazy. Byłem tak zrabany, że nawet zastanawiałem się, czy odpuścić sobie prysznic, ale po ściągnięciu munduru i zerknięciu na gołą skórę wykrzesalem siły, by dowieść się do łaźni, gdzie melodyjnie brzmiało smarkanie, kaszlenie i wypluwanie tego, co osiadło w gardłach. Próbuje zasnąć, ale to nie jest proste, zatoki dosłownie mi płoną, pod prysznicem wciągałem przez nos wodę jak słoń przez trąbę, nie wiem, czy to jest dobry pomysł, poprzednio pomagał, a teraz jestem tak przepłukany, że czuję na podniebieniu słodki smak krwi, zresztą zaczęła mi obficie lecieć z nosa, a po chwili krzepnąć od środka i uniemożliwiła oddychanie nosem. Wszyscy się kręcimy, kaszel i smarkanie po takim patrolu to nasza nocna gehenna, lecz po kilku miesiącach nie tylko to dokucza.

Przeżywanie rozłąki i nostalgia są czymś naturalnym, oczywiście nikt się z tym nie obnosi, ale nie ma co ukrywać, że po prostu tęsknimy za domem, po patrolu sprawdza się pocztę i odpisuje, można zadzwonić i porozmawiać, co pozwala choć na chwilę zapomnieć o tym, co tu i teraz. Poza trudem patrolu i rozłąką dochodzi coś, co budzi dziwny stan niepokoju: świadomość bycia na obszarze nękanym ostrzałem moździerzowym i raketowym. Podczas takiego ataku skóra spina się na całym ciele, a zwieracze samoczynnie zaciskają się w dupsku, nie ma bohaterów, ostrzał ustał, dreszcz na skórze zelżał, odsuwa się z głowy myśli mówiące „a czemu ma nie spaść to dziadostwo tu i teraz?”, człowiek szybko przywyka do

wybuchów, ale do tęsknoty już nie, ta w duszy pozostaje, tylko zbytnio nikt się z tym uczuciem nie obnosi.

Co do ostrzału, uwierzcie mi, nikt nie jest superodważny w chwili eksplozji wystrzelonego wcześniej skądś tam w naszą stronę gówna, które leci jakieś dziesięć sekund, by spaść na chybił trafił w miejsce, gdzie akurat Boży palec wskazał. A może to nie Bóg, tylko los, a losu nie oszukasz. Tym razem wskazał na jakąś kanadyjską duszę i kolejna cynkowa przesyłka wyleci w drogę powrotną do kraju spod znaku klonowego liścia. Tu na lotnisku nie ma bohaterów, a może się mylę i właśnie jest w tej cynkowej przesyłce. Tak śmierć żołnierza opisują media, mówiąc o jego rozczłonkowanym ciele pełnym poszarpanych ran: że to bohater. Ale czy taki bohater interesuje rodzinę, czy o to w życiu chodzi, by stać się takowym bohaterem w cynkowej przesyłce, którym się potem można chwalić? Nam, żołnierzom, wystarczy kilkudniowe przebywanie na wojnie, by zacząć się krzywić na słowo „bohater”.

Cynkowa przesyłka odleciała, a karawana idzie dalej, nawet na chwilę nie zwolniła swojego przemarszu przez afgański świat. Tu w bazie życie i śmierć, patrol i chwila salsy podążają jednym rytmem z karawaną. Wielbłądowi przed wyruszeniem w drogę potrzebna jest do życia woda, my ładujemy akumulatory na siłowni, zakupach i organizowanych w bazie potańcówkach. Takich chwil potrzebujemy jak HMMWV ropy przed kolejnym patrolem, jest to ważne, by kiedyś tam, po powrocie do kraju, na karcie lekarskiej pod skrótem wskazującym objawy PTSD podpisywało się jak najmniej psychologów. Wiedzą to inne armie, żołnierz to żywy organizm ze świadomością, uczuciami, dlatego dla ich żołnierzy jest organizowana rozrywka, przyjeżdżają nawet gwiazdy światowego formatu. Był Robin Williams, aktorzy grający w serialu *Kompania braci*, a dziś zawitali gospodarze programu *Top Gear* i bawią wojskową społeczność. Rano spotykamy ich na zakupach w miejscowym sklepiku i nieśmiało zagaduję, jak to z tym polonezem było... Clarkson był lekko zdziwiony pytaniem Polaka ubranego po cywilnemu, tłumaczy się, że to tylko program i on nic do Polski nie ma, uspokajamy go, że luz i że w Polsce ma zapewnioną publiczność. Też mamy poczucie humoru, a polonez faktycznie skończył tak, jak na to zasługiwał, choć w Polsce swego czasu nosił miano limuzyny premium. Kurde, widać, że zeszło z niego powietrze, bo był trochę zakłopotany, ale skończyło się na sympatycznym poklepywaniu i wspólnej focie.



Tylko Hammond nie zdążył sobie z nami zrobić fotki, za to jest Chińczyk

Wojsko ma własny słownik – co więcej, każda baza a raczej każdy rejon działania ma swój slang – po raz pierwszy spotkałem się z tym zwyczajem podczas zasadniczej służby wojskowej – gdzie na samym starcie młody człowiek otwierał oczy ze zdziwienia nie „kumając czaczy, bo niby czemu to na wozie, po południu do góry kołami może tylko stary leżeć, a koty już nie”. Tu w afgańskiej bichacie fali nie ma, każdy obsługuje swój wóz, do woli ucząc się słów w dari czy paszto, ale w terenie i to nie pomaga. Podczas podróży nie tylko znajomość języka, ale slang i gesty miejscowych mogą mieć różne znaczenie. Kumacie czy mam przetłumaczyć, o czym mowa?

POLSKI – PASZTO

Stój – wedarega

Naprzód – mozh zo

Lewo – ken khawta

Prawo – shai khwata

Chodź tu – delata rasha

Zostań tu – delta wadarega

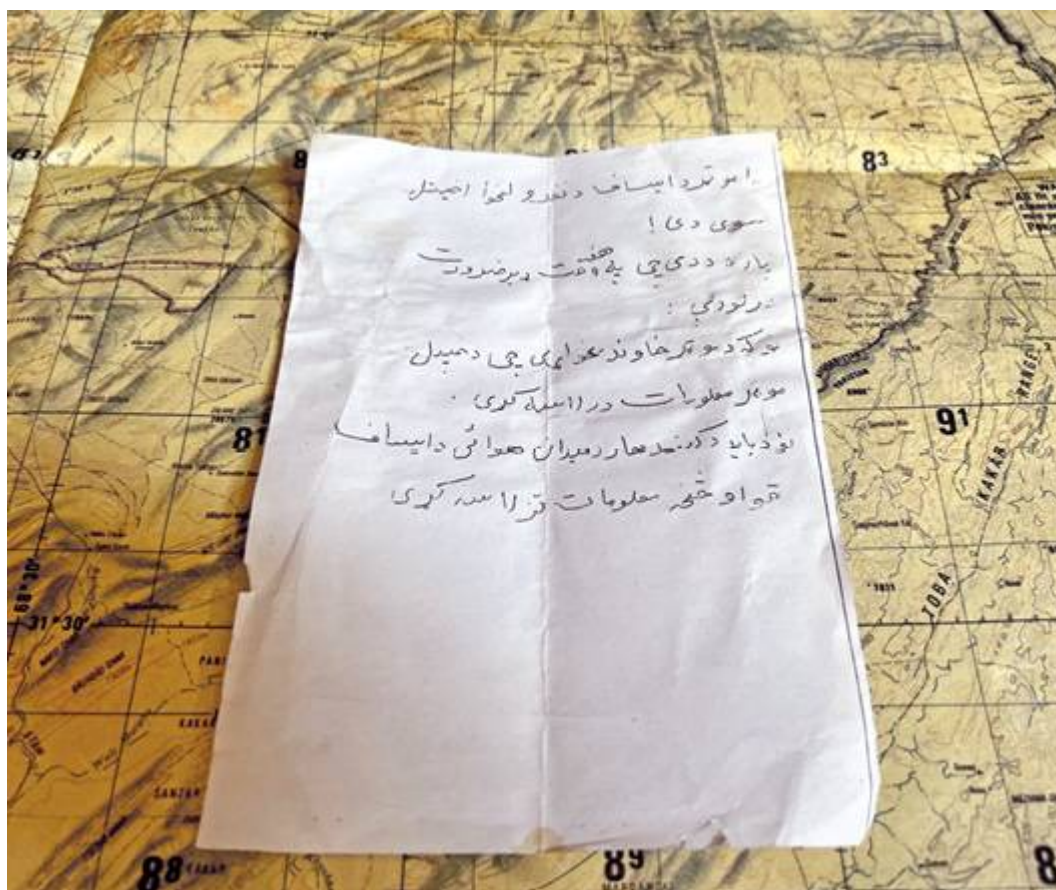
Idź tam – halta lar sha

Uwaga – pamlarena

Daj mi to – mata Rakra

Zabierz to – wakhla

Otrzymaliśmy kartki napisane przez naszych tłumaczy w formie listu, szlaczki na nich narysowane mają dotrzeć do serca tego, komu go pokażemy. W liście jest zawarta prośba o pomoc, informacje, gdzie nas zawieźć i kogo poinformować o naszym położeniu, oczywiście mowa też o szczodrym odwzajemieniu się za pomoc. Sęk w tym, że sześćdziesiąt procent Afgańczyków jest niepiśmiennych, więc kilka podstawowych zwrotów może uratować życie, pod warunkiem że trafisz na tych, co akurat znają paszto.



Przyjechali Litwini z prośbą, by podjechać z nimi na pogrzeb jednego z zaprzyjaźnionych policjantów, przy okazji pytają, czy dorzucimy się też do zbiórki dla rodziny zmarłego, bo bieda... no pewnie, że tak. Sprawa śmierci jest nieco dziwna. Policjant zginął w osobliwych okolicznościach, dosięgnął go tak zwany strzał znikąd, masakrując nie do poznania. Policjanci przejeżdżali konwojem kilka kilometrów w linii prostej od strzelnicy. Prócz nas korzystają z niej wszyscy przebywający w bazie żołnierze, wczoraj strzelali tam Litwini, ale i Kanadyjczycy, i Holendrzy. Pech chciał, że policyjny konwój jechał w osi strzelnicy, czuli się dość pewnie, bo od rubieży otwarcia ognia dzieliło ich dobre

kilka kilometrów, a tu nagle świst i o jednego siedzącego na pace policjanta mniej. Co komu pisane, losu nie oszukasz.

Nasze humvee wyglądem już całkowicie przypominały słonie bojowe, jestem pewien, że starożytni byliby z nas dumni i pozwolili za sobą podążać. Fachowcy w warsztacie wymienili przeguby i wszelkie filtry na nowe, ten od powierza jest czyszczony za każdym razem, ale co nowe, to nowe. Podczas jazdy nasza zewnętrzna załoga ma przewiew świeżego powietrza, jeśli oczywiście nie jedziemy tak jak ostatnio, w chmurze pyłu za ciągnącym nas pojazdem, ale w środku i tak byliśmy zazwyczaj w zapyłonej kabinie, teraz już mi to trochę spowszedniało.

Wrócił Michał, z głową pełną lotniczej wiedzy, ale my tu na łądzie i dotykają nas przyziemne sprawy. Jedziemy równiną pomiędzy grzbietami gór, silnik monotonnie mruży, aż nudno, kolebiemy się rytmicznie. Z letargu wybudza mnie Karol, lekko tryknął nogą w ramię i woła:

– Navalku, czy ty widzisz te wystające z ziemi metalowe wąsy po lewej stronie?

– *Fuck*, widzę...

Karol jako strzelec ma poza obsługą karabinu bardzo ważne zadanie, jest moimi dodatkowymi oczyma. To on mnie wspiera przy cofaniu i jeździe w trudnym terenie, a teraz wypatrzył na przedpolu... minę. No to całość stop, rozglądamy się dookoła i *fuck*, jesteśmy na pieprzonym polu minowym. Rosjanie pozostawili po sobie w ziemi afgańskiej tyle dziadostwa, że szczerze nie wierzę, by kiedykolwiek udało się oczyścić Afganistan z min. Przez lata wiatr tu zrobił swoje i odsłonił część min na tym pustkowiu. Nie wiem, czy można opisać to, co czuje się w takiej chwili, ja jako kierowca w pierwszym samochodzie patrolu mam ciarki. Nie ma tu na co czekać, trzeba jechać naprzód...

Pozostałym pojazdom kurz już nie przeszkadza i podążają za mną ślad w ślad. Koła się toczą, a ja mam w głowie odpowiedzialność za moich przyjaciół, ich życie spoczywa w dłoniach zaciśniętych na czarnej kierownicy, wręcz zapominam oddychać i skupiam się na ruchu kierownicy, gdy przejeżdżamy nad jednym z moździerzowych pocisków. Jedziemy po polu minowym jak w grobowej ciszy, dopiero po dotarciu do koryta rzeki pojawiły się żarty. Po takiej trasie każdemu potrzebny jest odpoczynek – jak długo można jechać na bezdechu? Podczas podobnego patrolu, ale w innym miejscu, jeden z naszych humvee wyleciał na IED i tylko dzięki szczęściu, co ja gadam, dzięki ogromnemu szczęściu, żaden z chłopaków nie zginął, co więcej, nie został nawet ranny, w uszach świstało, ale żyli. Ich dom w postaci samochodu został na miejscu wybuchu spalony, nie było czego naprawiać.



To też humvee, tyle że po najechaniu na IED



Czas na odpoczynek – taktyczny odpoczynek

Mając już kilkumiesięczną wprawę w taktycznym rozstawieniu pojazdów, bardzo sprawnie przystępujemy do zorganizowania sobie odpoczynku. Podział ról mamy z góry ustalony, nikomu nic się nie każe, wszyscy wiemy, co do kogo należy. Jeden z nas na wieżyczce gunnera trzyma sektor odpowiedzialności, skanując teren przez lornetkę. Pozostali rozkładają w ciszy zadaszenie, które daje pożądany cień. Pod nim umieszczamy łóżka, w międzyczasie gotuje się woda. Michał z nawigatorami omawia kolejne posunięcie, łącznościowiec nadał komunikat, a my, kierowcy, dotankowujemy pojazdy, zerkając na ich stan. Przez pierwszą godzinę takiego postoju robota wre jak w fabryce na akord. Dopiero po wyrobieniu normy mamy czas na zdjęcia, na których można zobaczyć, jak się lenimy, ćwiczymy, a nawet że jest czas na czytanie książek, ale to już dopiero po – jak to się w woju mawia – ogarnięciu tematów. I wiecie co, choć przebywaliśmy w skrajnie ciężkich warunkach, w obcym kraju, trudnym terenie, a dziś trafiliśmy na pole minowe, praktycznie nigdy nie dochodziło w naszej ekipie do konfliktu – i to nie dzięki dowódcom, którzy trzymali dyscyplinę, a dzięki temu, że byliśmy przyjaciółmi, dzięki temu, że się nawzajem lubiliśmy i pomagaliśmy sobie.



Nasza patrolowa codzienność

Jadąc płaską jak stół pustynią, nie dało się przeoczyć anomalii, jaką był samotny, okrągły, nieco kanciasty kamień. Całość STOP.

Każdy ma jakiegoś świra...

- Michał, ja chcę, ja muszę zabrać ten kamień na pamiątkę!
- Bierz, przyjacielu.

Podjechałem do kamyka na jakieś dziesięć metrów, wyciągnąłem wykrywacz metalu. Pamiętacie scenę z filmu *Cztery pancerni i pies*? Saperskiej roboty nie robi się byle jak, więc ze znalezionym kamieniem postąpiłem jak saper z napotkanym w podziemiach niemieckim pistoletem. Drogę do kamienia sprawdziłem wykrywaczem, zastanawiając się, skąd tu taki okaz. A może to podpucha... i zasadzka, a pod kamieniem jest nieusuwalna mina. Obserwować nas nie miał kto i jak, bo po horyzont piach, ani żywej duszy. Wykrywacz metali milczy, ale i tak zawiąłem wokół kamienia odciąg, wróciłem do auta i cofnąłem o kilka dodatkowych metrów, linka się napięła, a okrągły głaz potoczył się płynnie w naszą stronę. Tak to się właśnie zdobywa cenne pamiątki, jasnobrązowa skała mieniąca się dużą ilością kwarcu wielkości piłki ręcznej jest moja.



Planeta Ziemia czy jednak nie?

Po przejechaniu wspólnym patrolem paru tysięcy kilometrów, gdzie zazwyczaj poruszamy się korytami rzek lub górskimi wierzchołkami nasuwającymi na myśl marsjańskie widoki, nabieramy sporo doświadczenia. Jeździmy coraz dalej i śmielej, oddalamy się od Kandaharu w rejony, gdzie dawno, a można nawet podejrzewać, że nigdy, nie było żołnierzy takich jak my. Wyjeżdżając z koryta rzeki, zatrzymujemy się w widocznym dla pobliskiej wioski miejscu. Nagle się

zrobiło dziwnie cicho, a biegające urwisy pochowały się w glinianych chatach. Jest słoneczne południe, a wioska, którą odkrywamy, wygląda jak nie z tego świata. Serio można sobie zadać pytanie, co my tu robimy, a nawet, skąd myśmy się tu wzięli, bo skoro nie jest to miejsce inscenizacji historycznego filmu, to na bank przenieśliśmy się w czasie i przestrzeni do innego świata. W radiostacji słychać, że któryś z gunnerów wypatrzył starca trzymającego w ręku skałkowy karabin, taki dziewiętnastowieczny, i zerka na nas przestraszony zza rogu. Nie wszyscy zdążyli zwać do wioski. Z kilkoma osiołkami ostało się dwóch smarkaczy. Tłumacz próbuje się z nimi porozumieć, ale oni ni w ząb, ni dari, ni paszto, jakiś miejscowy dialekt, którego nasz poliglota nie jest w stanie zrozumieć. Teraz nam tłumaczy, że nic dziwnego: w Afganistanie mówi się ponad 70 językami i niezliczoną liczbą dialektów. Trzeba więc inaczej się porozumieć, przerażone dzieciaki dostają po tabliczce czekolady, a po dużym kęsie na ich twarzach pojawiają się zdziwienie i uśmiech. Biegną do wioski jak poparzone, no to będzie się działo, może czekolada to też *haram*, czyli coś zakazanego. Zerkamy na wioskę – to rozłożysta miejscowość, w jej centralnym miejscu rosną dwa wysokie drzewa, ale na tym pustkowiu nie to jest dla nas niesamowite. Wszystkie domki mają jednakowy półokrągły kształt i są połączone w jeden architektoniczny organizm, całość otoczona jest glinianym murem wzmocnionym rzeczonymi kamieniami, bramę stanowią drewniane wrota. Miejscowym budulcem jest drobno posiekana słoma zmieszana z łajnem, gliną i wodą. Z takiej papki po prostu lepi się domki, tak nam to kiedyś wytłumaczono.



Dzieci, jak to dzieci, aktywne i ciekawskie



Miło się robi na sercu, kiedy wiesz, że dobro trafiło w odpowiednie miejsce

Jak zawsze najlepszą sondą nastrojów są dzieci, krótko po tym, jak ci dwaj pochwalili się słodką przynętą, teraz działa ona jak światło na ćmy i przyciąga do nas kolejnych smakoszy łakoci. Po chwili kręci się wokół nas sporo dzieciaków, co dziwne, z dziewczynami włącznie. Ale by coś dostać, trzeba się do nas zbliżyć i wyciągnąć dłoń. Im młodszy, tym odważniejszy, krzywdą się nikomu nie dzieje, nawet jakiś skaleczony palec został opatrzony przez medyka. Oczywiście zaczynają biegać do domów, zanosząc to, co dostali, i wracają po jeszcze, taka zabawa trwa dobrą godzinę. Na chwilę ustała wrzawa, z wioski w naszą stronę zmierza dorosła delegacja, otoczona kolejnymi maluchami. Dwóch mężczyzn, którzy do nas zmierzają, to pewnie starszyzna, idą pewnym krokiem, młodszy prowadzi starszego. Więc pojawili się i starsi, żywo zaciekawieni naszą obecnością, ale już nie patrzą tak podejrzliwie jak chwilę temu zza drewnianych wrót, są raczej zaskoczeni naszym pojawieniem się, oglądają nas i samochody, a my ich. Podeszli dumni, nie okazując strachu, pewnie obserwuje ich zachowanie z ukrycia cała wioska.



Radość i swobodne zachowania afgańskich dziewczynek nie są czymś, co każdy może oglądać



Miejscowa starszyzna kroczy otoczona wianuszkiem dzieci

Tłumacz okazuje im należyty szacunek, a po tradycyjnym wymienieniu uścisków z tym starszym zaczyna się porozumiewać; trochę na migi, ale i szukając słów w języku paszto, jest porozumienie. Tłumaczy starszyźnie, że nie jesteśmy Rosjanami, Rosjan już dawno nie ma. Można by dodać, że nastali inni... Gdzie myśmy trafili? Tłumacz stara się ze wszystkich sił przekazać, że jesteśmy przyjaciółmi, mamy dary, niczego nie chcemy w zamian. Tak by można w skrócie podsumować naszą dyplomację. Serio można się poczuć jak odkrywcy z siedemnasto- czy osiemnastowiecznej wyprawy, przybywający na nowe lądy z misją nawiązania relacji z tubylcami. Czy nam uwierzą? Dyplomacja swoje, a my skupiamy się na budowaniu relacji. Dzieciaczki im młodsze, tym większa bieda, dopiero te starsze mają klapki na stopach. Chłopcy na równi z dziewczynami po skosztowaniu słodyczy śmieją się i biegają pośród nas, co w tutejszej kulturze nie jest niczym powszechnym, a tu tak. Racja, nie widzimy kobiet, ale dziewczynki w naszym towarzystwie czują się całkiem swobodnie, śmieją się i wygłupiają podobnie jak chłopcy. Sielanka trwa do wieczora; choć jest tu bardzo przyjaźnie i kolorowo za sprawą ich barwnych ubrań, to musimy zadbać o swoje bezpieczeństwo i odjechać w nieznane, żegnając się radośnie z chmarą urwisów.



Czasem na dziecięcych twarzach gości uśmiech



Dajemy więcej niż było przeznaczone na tę część tej wojny

Kolejna noc, kolejny patrol. Noc jest zimna i jakaś taka sucha, nie wiem, czy czasem nie podjechaliśmy zbyt blisko jakiegoś lodowca. Surowy afgański klimat przeszywa mnie do szpiku kości, niby jesteśmy dobrze ubrani, puchowa kurtka i chemiczne ocieplacze przyklejone do splotu słonecznego robią robotę, zresztą gorąca kawa daje dodatkowego porannego kopa, ale i tak ziąb.

Poranek wraz z nadejściem zamglonego nieba sprowadza chmurę dzieciaków. Nie mam pojęcia, skąd ich tu aż tyle. Zapadła gliniana wioseczka, którą widać za pagórkami, nie wygląda na aż tak ludną, a jednak. Maluchy zazwyczaj przybiegają na bosaka, ci nieco starsi mają klapki, ale smarkacze są boso. Gdy patrzę na nich, jest mi dwa razy zimniej niż w nocy. Surowy klimat i tak samo surowe dziecięce twarze, bieda w czystej, dziewiczej, bosej postaci.



Poranek rzeński, jakbyśmy byli na lodowcu

Mamy trochę kłapek, które trafiają na kilka rozmiarów mniejsze stopy, ale są. Nie woziliśmy ze sobą dziecięcych ubrań, mamy tylko te swoje na zmianę, ale serce ojca może pęknąć, jak widzi dziecko nieco starsze od swojego biegające na bosaka w lekkiej koszulce, a sam stoi i marznie w puchowej kurtce. Niejeden z nas oddaje zapasową bieliznę, zakłada maluchom skarpetki, które są jak rajstopy, i owija szyję chustą. Ci starsi już w kurtkach, jest też chłopak, który ma nawet kozaki, ale całość towarzystwa na mój, na nasz europejski gust znajduje się w opłakanym stanie. Co za kraj, co za ludzie, jak oni tu żyją, a jednak żyją, rodzą

się, dorastają... Przyszedł jakiś ojciec w towarzystwie trójki swoich dzieci, za nim drepce kolejny dorosły, oni też wyglądają biednie, pewnie ich dzieciństwo wyglądało podobnie, a może nawet jeszcze ciężiej. Pewnie nikt tak jak my teraz nigdy nie przywiózł im bananów, konserw i nie oddał swego polarowego swetra. Człowiek lubi czuć się potrzebny, robiąc coś pożytecznego, ma poczucie spełnienia się w roli zbawiciela świata, ale ja w tej chwili raczej czuję bezsilność niż radość z dobrego uczynku. W poprzedniej wiosce było jakoś kolorowo, słychać było śmiech dzieci i radość dziewczęcego głosu, tu jest jedna nastolatka. Stoi samotnie, trochę skrupowana, nie podchodzi, na twarzy widać owrzodzenie, ale nie ma jak jej pomóc, dotknięta przez któregoś z medyków pewnie zostałaaby wśród swoich okrzyknięta nieczystą. Świat, ludzie, religie są tak popieprzone, że nawet pomaganie jest ograniczone jakimiś normami, tak przynajmniej jest tutaj. Zdajemy sobie sprawę, że nie możemy łamać miejscowego *haram*, by po prostu nie wyrządzić komuś krzywdy. Żegnani jesteśmy jak Święty Mikołaj, który sprawił prawdziwą niespodziankę. Michał nauczył ich salutować, więc oddajemy sobie honory z uśmiechem na twarzach.



Tutejsze dzieciństwo nie jest tak różowe jak w innych rejonach świata



Chciałoby się pomóc, ale jak?

Zostawiamy kolejne zapomniane przez cywilizację miejsce, ale nie ujeżdżamy daleko i dane nam jest otrzeć się o jeszcze większą biedę. Miałem nadzieję, że tamta wioska była już ostatnim jej kręgiem, a jednak nie. Dacie wiarę, że prawie dwa miliony mieszkańców Afganistanu to ludy koczownicze? Tak, nadal tu żyją koczownicy. Myśmy w Polsce, w Europie przestali być ludami koczowniczymi gdzieś pewnie w dziesiątym wieku, tu nadal żyje się, przemieszczając za swoimi stadami w rytm rosnącej na pastwiskach trawy. Nie podjeżdżamy zbyt blisko, widać, jak prawie cała rodzina schowała się pod skórzaną plandekę i zerkają niepewnie, nawet pies uciekł. Przejechaliśmy za pagórek, a tam kolejne trzy rozbite namioty, przy jednym stoi zbitya grupa plemiennej ludności. Na serio trafiliśmy do innego świata. Pod skórzaną plandeką na równi mieszkają ludzie ze zwierzętami, barany szukają cienia, a i ludziom cieplej, tylko osiołki się pasą, nie zwracając na nas uwagi, ale co one żrą na tym pustkowiu, jak tu prawie nic nie rośnie? Już nam wiele darów nie zostało, kładziemy na ziemi kilka zgrzewek wody, koc, jakieś konserwy i jedziemy dalej, pozostawiając za sobą ten nasz, nie nasz świat.



Jest miś, jest uśmiech – i jest trochę wojska



Naval z Michałem na tle High Mobility Multipurpose Wheeled Vehicle (HMMWV; humvee) w pełnej okazałości

Żołnierz jest szkolony do tego, by walczyć, radzić sobie z własnymi niedogodnościami, ale jak przejść niewzruszonym koło czyjejś biedy i nieszczęścia, nawet jak ten ktoś to, co ma w życiu, bierze za coś normalnego, nawet nie wie, że jest biedny, nie zna innego świata, bo niby skąd. Na postoju tłumacz opowiada nam, że koczownicy serio mają przerąbane. Gdzie nie pójda, to się ich przegania, każda wioska zazdrośnie pilnuje swych pastwisk, jak przejdzie intruz i zeżre to, co tam rośnie, to ich własne zwierzęta nie mają co skubać. Tak więc koczowników stanowczo przegania się z miejsca na miejsce, oni są tymi,

którzy żyją tam, gdzie już nie ma ochoty zamieszkać nikt inny. Po ich zachowaniu można wnioskować, że ci ludzie są nadal jakby na wpół dzicy; widząc nas, zebrali się w grupę, obserwują nas z bezpiecznej dla siebie odległości. A może słowo „dzicy” wcale tu nie pasuje, jesteśmy po prostu od siebie za daleko kulturowo, jakieś dobre dziesięć wieków. Nie potrafimy się wzajemnie zrozumieć i ogarnąć: że niby jak tak można żyć. A jednak można.



Koczownicy i ich niełatwy żywot

Wreszcie wyjechaliśmy na jakieś bardziej odludne miejsce, tłoczno się zrobiło na tym skrawku górzystej pustyni. Wzięło mnie na grubszą sprawę, potrzebuję się skupić i mieć chwilę dla siebie. Podczas kolejnego postoju zameldowałem Karolowi, w jakim dozorze będę przebywać na skupieniu, i idę za wydmy. Szliście kiedyś na stronę z karabinem minimi i z dwiema skrzynkami amunicji? Ja tak – i sami się domyślcie, po co skrzynki... Zasiadam plecami do naszych i tylko zsunąłem z tyłka spodnie... kurwa, nie wierzę... zza wydmy wychodzi na wprost mnie wielbłąd, a za nim kolejny i kolejny, jakaś pieprzona fatamorgana, tyle że dzieje się naprawdę. Chciałem w ustronnym miejscu się załatwić, a trafiłem na szlak, przez który lezie stado bydła, co więcej, lekko ode mnie, po prawej na jednym z wielbłądów siedzą twarzą do siebie dwaj młodzi poganiacze i w coś grają... to się nie dzieje.



Okolo 2 milionów mieszkańców Afganistanu to koczownicy





Karawana... to się nie dzieje

Taki mniej więcej jest Afganistan widziany oczyma żołnierza, górzysty kraj zamieszkały przez naprawdę twardych i biednych ludzi. Gdy patrzę teraz na zdjęcia, aż mi nie chce się wierzyć, że byłem pomiędzy tymi ludźmi. Oni tam pozostali i nadal są, ich życie pewnie nic a nic się nie zmieniło. Kto talib, kto Pasztun, jaka jest cena ropy i kurs dolara, co to kogo obchodzi, jakie to tam na pustyni ma znaczenie, ważniejsze jest, by cudze kozy nie zjadły młodych pędów na nie swoim skrawku kamienistego bezludzia.



Nasz bojowy arsenał

Pod liściem klonowym

Jak karnawał, to karnawał, do tej pory Anię zapraszaliśmy do nas, a teraz my jesteśmy przez nią zaproszeni na karnawałową paradę. Nie mamy dużo czasu, bo wcześniej rano wyjeżdżamy na robotę do kanadyjskiej strefy, ale chwili rozrywki nie odmawiamy nigdy. Patrząc na tę uroczystą wojskową paradę i trochę mnie Holendrzy zaskoczyli. Nie wierzę w to, co widzę – nie dowierzam, tylko w pozytywnym tego słowa znaczeniu. U nas, w naszym wojskowym MON-ie, w świąteczny dzień całość wojska stałaby na placu apelowym, byłby uroczysty apel zakończony defilowaniem przed wyższą kadrami i oficjelaami. Holendrzy świętują całkowicie inaczej, tu się można, wręcz trzeba, wyluzować i mile widziany jest uśmiech. Platformy kilku wojskowych ciężarówek, żołnierze przyozdobieni pomarańczowymi szarfami, są balony – i jest kolorowo, a teraz na tych platformach jadą poprzebierani w różnobarwne kolorowe stroje ludzie i tańczą. Dowódca ich komponentu ma na głowie pomarańczową perukę, kręczone loki zwiewnie spływają mu na ramiona, jest muzyka, jest głośno i śmiesznie, wszyscy się nawzajem pozdrawiają: *hellooooo, hellloooo*.

Ogólnie Holendrzy są wesołym i sympatycznym narodem, lubią sobie żartować i bawić się. Piją kawę, pracując w międzyczasie, nie odwrotnie. U nas w Polsce przed wyjazdem do Afganistanu jest wiele niewiadomych i raczej pojawia się obawa związana ze służbą, Ania mówi wprost, że u nich odwrotnie. Z kim by nie rozmawiała, to słyszała, że na misji jest super, a pierwszy wyjazd jest zawsze najlepszy, bo wszystko jest nowe, a człowiek wiele się uczy i poznaje nowych ludzi z całego świata. Ma całkowicie inne spojrzenie na pracę w wojsku niż to nasze okraszone patosem. Po latach w GROM-ie i ja już mam receptę na dobrą pracę i to nie tylko w wojsku, wiem, że wszystko zależy od dobrej wewnętrznej atmosfery, sami sobie ją stwarzamy. I u nas bywają grube imprezy, ale nie systemowe, że tak powiem, a to czym chata bogata... Naszym nadwornym kucharzem jest Artur, który nie wiem, jak to robi, czy to święta, czy czyjeś urodziny, potrafi wyczarować w dużym kotle grochówkę, zalewajkę i inne smaki przypominające dom. Tak

myślę, że pewnie dlatego, że jest świetnym łącznościowcem, a oni zawsze wcześniej wiedzą, gdzie i co. A tak na serio, nie wiem, jak to robi, ale talerz pachnący domową zupą jest dla nas tym samym czym dla Holendrów parada, przypomina dom i to, że ktoś gdzieś tam na nas czeka, daje namiastkę normalności. Po tym, co usłyszałem od Ani, już mniej zaskakuje mnie to, co widzę na paradzie.

Ania mówi: „Holendrzy nauczyli mnie, aby każdego dnia, tu w Afganistanie, świadomie cieszyć się z tego, że mogę być częścią tej misyjnej wspólnoty”.

Wypiliśmy po dwa piwa bezalkoholowe rozdawane z wojskowej platformy, na której trwa zabawa, i zwijamy się do nas, ponoć mamy wyjechać jeszcze wcześniej, niż to zaplanowaliśmy, tu festyn, tam wojna, jeden świat. Ktoś tam w miejscowym sztabie armii zauważył, że tu jesteśmy i działamy, ze strony kanadyjskiej przyszło zapytanie, czy czasem nie wspomoglibyśmy ich w trakcie wspólnego patrolu.

Afgańskie rzeki spływają z jednych, z najpotężniejszych na świecie gór. Wyobraźcie sobie, że te niby-wyschnięte koryta rzek mogą mieć szerokość nawet do kilometra, a skarpy brzegów ograniczające takie koryta miejscami mają wysokość sto, sto pięćdziesiąt metrów i są bardzo strome. Spora część zmotoryzowanych kanadyjskich patroli odbywa się właśnie w takich korytach, często kończą się ostrzelaniem ich kolumny przez talibów. Zazwyczaj żadnych strat po stronie Kanadyjczyków nie ma, potrafią się ostro odgryźć przeciwnikowi, ale zamierzają zadziałać niestandardowo i ukrócić miejscowym watażkom samowolę, a do tego jesteśmy potrzebni my. Po przyjeździe do jednej z wysuniętych kanadyjskich baz stwierdzam, że i Kanadyjczycy mają swojego świra. Jankesi nie wojują bez postawienia na terenie bazy siłowni, Niemcy budki z piwem, Francuzi winiarni, a Kanadyjczycy lodowiska lub placu z bandami do hokeja. Baza usytuowana jest na strasznym zadupiu, ale jest miejsce na hokej, i to na takim poziomie, że stoimy i gapimy się z niedowierzaniem, co te chłopaki wyprawiają z krążkiem. W tym sporcie to z Kanadyjczykami nie powalczymy jak równy z równym.



W typowym wojskowym namiocie – ostatnie chwile przed wyjściem w góry

Podczas wspólnego planowania też nie jest łatwiej, my jakoś tam po angielsku parę słów łapiemy, Michał i kilku chłopaków mówią swobodnie, za to Kanadyjczycy ni w ząb. Francuski jest ich językiem, uparli się i po innemu gadać nie będą; jest oficer, co duka jak ja, więc się jakoś dogadamy. Założenie, jak to założenie wspólnego działania, jest dosyć proste. Nasza wydzielona sekcja składać się będzie z pary snajperskiej i sekcji szturmowców do zabezpieczenia, powiedzmy, tyłów. Wpierw pojedziemy z Kanadyjczykami patrolem kołowym w miejsce, gdzie zazwyczaj mają kontakt z przeciwnikiem. Na skraju tego newralgicznego rejonu nas zostawiają, my pieszym patrolem pójdziemy w góry i spróbujemy się gdzieś zaszyć, co nie będzie łatwe, bo teren jest całkowicie otwarty. Kanadyjczycy zaś, pozostając w korycie rzeki, mają być przynętą, jeżdżąc to tu, to tam, na noc rozbiją obóz. Naszą robotą ma być obserwacja, no i przeciwdziałanie, jeśli kto wystawi łeb. Naszym oczywistym sprzymierzeńcem podczas obserwacji w nocy będzie przewaga technologiczna w postaci drona i optoelektroniki. Ze względu na teren, bo tu akurat kiedyś działali Rosjanie, jest bardzo blisko granicy z Pakistanem, istnieje możliwość natknięcia się na miny, więc przemieszczanie się nocą odpada. Koryto rzeki jest prawie wyschnięte, ale poprzecinane wieloma małymi strumykami spływającymi z lodowca. Poza Kanadyjczykami w terenie operować mają nasi, jeżdżąc humvee, tak więc możemy liczyć na QRF, ale szybko to nie znaczy natychmiast.



Afganistan ma bardzo srogie oblicza wszystkich pór roku

Taka patrolowa sekcja jak nasza spędza przed operacją, poza pakowaniem się i dopasowywaniem sprzętu, sporo czasu, siedząc nad mapami, ucząc się na pamięć ukształtowania terenu i schematu działania przeciwnika, w którym przyjdzie nam działać. Łącznościowiec jak mantrę sprawdza kody i stan naładowania baterii radiostacji. Medyk, jak mama przed wyjściem do szkoły, odpytuje, czy mamy wszystko związane z medycyną pola walki. Snajperzy coś tam majstrują przy termowizorze i swoich szpanerskich lunetach. A ja patrzę na skrzynki amunicji do mojego FN Minimi kaliber 5,56 i liczę amunicję w taśmach, zastanawiając się, czy starczy. Taśma setka podpięta pod karabin, na szelkach nośnych do pasa zakładam dwie, każda kolejna po dwieście sztuk, do plecaka ładuję trzy taśmy też po dwieście, co razem daje tysiąc sto sztuk amunicji w taśmie – czy nie za mało? Pistolet z dodatkowym magazynkiem, kilka granatów i serio pozostałe detale potrzebne do przenocowania pod chmurką w zimną noc nie robią wagi. Ale spakować się trzeba na poważnie, za każdym razem wychodząc w góry czy w teren, zarzekam się, że tym razem to ja już nie zmarznę. W plecaku wylądowały norka goreteksowa ze śpiworem i karimata, kurtka i papcie puchowe, komplet bielizny, dodatkowa czapka i rękawiczki, jedzenie, woda. Przed wyjściem stanąłem na wadze: normalnie ważę siedemdziesiąt kilo, teraz waga pokazała sto czternaście. Nie, nie trzeba nam współczuć – kochamy swoją robotę, choć czasami pod kilogramami uginają się kolana, ale co tam, w dobrym towarzystwie jest lżej.



W porównaniu z naturą jesteśmy jacyś tacy... mali

Pakujemy się z samego rana do kanadyjskich pojazdów LAV i ruszamy w teren zamknięci jak w konserwach. Nie wiem, czy od czasów czterech pancernych ktoś w polskim wojsku doznał tego co my, na bojowo. Po dotarciu do szerokiego rozlewiska wychodzimy z kanadyjskiego transportera. Człowiek sobie jakoś inaczej wyobraża koryto takiej rzeki, nawet gdy widzi je na zdjęciach czy studiuje poziomice na mapie. Wydawało mi się, że poznaliśmy już dobrze Afganistan, ale nie. Korytem rzeki jest ogromny wąwóz ograniczony stromymi ścianami, dno widać jest kamieniste i praktycznie wyschnięte, tylko srebrzyście wiją się niepozorne strumyki. Żegnamy Kanadyjczyków, Tylut rzucił coś po francusku na odchodne i nawet odpowiedzieli zaskoczeni. Ustawiliśmy wzorowo nasz pieszy parol i naprzód. Ja z moim minimi na czele jako szperacz, przecież mam doświadczenie z Belize, za mną Tylut odpowiedzialny za nawigację, wskazał azymut, naprzód. Jakoś dziwnie się czuję na tak odkrytym terenie, w dżungli to człowiek miał poczucie bycia schowanym, tu idziemy widziani z kilku kilometrów. Po kilkudziesięciu metrach takiego spaceru staję nad brzegiem wodnej przeszkody terenowej w postaci dwumetrowego strumyka. Woda krystalicznie czysta, przykucam i sprawdzam temperaturę palcem. *Fuck*, lodowata. Nie jest głęboko, tak po łydkę. Byłem szkolony, a że kamieni wkoło od groma, to taki jeden większy wrzucam na środek, tworząc wysepkę, dwa susy i już jestem po drugiej stronie. Za moim przykładem poszedł cały patrol i tak suchą nogą maszerujemy dalej. Daliśmy

radę ujść może kolejne 100 metrów, stop, daję znak do obrony okrężnej i wołam Michała.

– Patrz, Michał, tu jest wody po kolana, szerokość strumyka to dobre cztery metry, temperatura bliska zeru, a na noc przewidziano dziesięć poniżej, jak wejdziemy w ten strumyk, to w nocy... sam pomyśl.



Takiej nocy i poranka się nie zapomina

Zerknęliśmy na mapę i teren, podobnych strumyczków jest przed nami jeszcze kilka. Michał mi przytaknął i już nic nie musiałem mówić, sorry, można się śmiać, ale w takim terenie odmrożenie sobie nóg nawet przez jedną osobę ma wpływ na całą operację. Memory Five i już drogą radiową załatwiona podwózka. Dokładnie tak jak w *Czterech pancernych*, wskakujemy na pancierz i zostajemy podrzuceni prawie do podnóża skarpy. Tu z bliska to ona faktycznie jest pionową ścianą. Kanadyjski LAV w pośpiechu odjechał do swoich, a nas czekało szukanie jakiejś drogi na wyżynę i ostra wspinaczka. Uszliśmy może ze sto metrów, by znaleźć ścieżkę wydeptaną pewnie przez kozy. Jak mogą kozy, to i my wdrapujemy się do góry mocno rozciągniętym patrolem.

Taktyka i nasze zachowanie są dość proste. Nigdy jednocześnie nie idzie cały patrol, zawsze ktoś stoi i obserwuje, stojąc w gotowości do zareagowania na kontakt z przeciwnikiem. Czerwona afgańska ziemia w połączeniu z wodą stanowi błoto o konsystencji gumy do żucia, teraz się cieszymy, że jest lekki przymrozek

i możemy iść, nie taplając się w kleistej mazi. Nie jesteśmy maruderami i wejście na ten niesamowity brzeg koryta rzeki poszło nam całkiem sprawnie. Stojąc na szczycie, można by pewnie zrobić setkę zdjęć, bo jest się czym zachwycić, ale nie jesteśmy tu turystami. Niestety, to nie miejsce i czas, w którym człowiek się wspina dla widoków.

Wydawałoby się, że jesteśmy tu sami, wieje ostry wiatr, słońce jasno świeci, nawet przyjemnie się robi na twarzy. Ale czy na pewno sami? Mamy info, że talibowie wiedzą o naszej obecności w terenie, oni też kalkulują, obserwując, co się dzieje. Przewaga technologiczna, jaką mamy na otwartym terenie, jest taka, że nikt nie będzie w stanie z nami nawiązać równorzędnej walki, nasi snajperzy załatwiają sprawę na dalekim dystansie, przed termowizorem nie ma się jak ukryć, do tego w powietrzu dron i wsparcie lotnictwa, tak się obecnie walczy, mając nowoczesny sprzęt i wyszkolonych specjalistów. Wsparcie lotnicze i możliwość precyzyjnego uderzenia z powietrza sprawiają, że czujemy się mocni i bezpieczni, ale i tak należy zachować czujność, licho nie śpi, więc działamy jak to w wojsku: by spać mógł ktoś, ktoś czuwa. Już po ciemku i z taktycznym myleniem sprawnie rozłożyliśmy obozowisko. Noc nadeszła szybko.

Tylut jest pierwszym czuwającym, zadba o spokój odtwarzania gotowości bojowej pozostałych członków patrolu. Tym razem jest mi wręcz przyjemnie leżeć na tej afgańskiej ziemi. Serio, dobrze się przygotowałem do tej operacji, ma sens powiedzenie, że im więcej potu na ćwiczeniu, tym mniej krwi... Ale zawdzięczałem to też temu, że wreszcie mamy odpowiedni sprzęt, a nasze rozwiązania odnośnie do biwakowania sprawdzają się. Sprytnie wymyśliliśmy sposób na szybkie rozłożenie norki goreteksowej. Karimatę wraz ze śpiworem wkłada się do środka i razem całość roluje, co pozwala jednym ruchem rozłożyć swój podniebny dom. Kurtka puchowa grzeje górę organizmu, na stopy wsunąłem puchowe kapcie. To tylko chwilowa nonszalancja, ale warta zachodu – chwila drzemki i czas na moje półtoragodzinne czuwanie.

Na moment się zdrzemnąłem, a już jestem ciągnięty sznurkiem za palec, że niby to moja pora. W moje ręce trafia termowizor, sprawdziłem łączność z bazą, zaczął delikatnie prószyć śnieg... cisza, bardzo cicho, można uciec w marzenia, a raczej w historie o przebywaniu tu innych żołnierzy w podobnych okolicznościach.

Gdy czytałem wspomnienia angielskich i rosyjskich żołnierzy z wcześniejszych wojen, to nikt tego kraju i tych ludzi dobrze nie wspominał. Ja nie mam do końca wyrobionego zdania, na razie zachwyciła mnie surowość natury i potęga gór, a ludzi jeszcze na tyle dobrze nie poznaliśmy. Dziwne uczucie, uwierzcie, na wojnie spędziłem już sporo czasu, ale ten patrol w teren przeciwnika jest innym doznaniem niż nasze wcześniejsze bojowe DA (*direct action*) i rajdy podczas

irackiej wojny. Tu czuję się jak żołnierz z poprzedniej epoki, taki, który siedzi w okopie, czuwa i czeka. Leżę koło przyjaciela, jak chłop przy chłopie. Zresztą jest taki wierszyk: „Jak na wojnie siedzi w okopie chłop przy chłopie, jedzą chleb ze solą, a tu jak nie przypierdolą”... Ale tu nic takiego się nie dzieje, cisza i rzadko prószący śnieg. Termowizja daje niebywałe możliwości wypatrzenia wszystkiego, co wytwarza jakąkolwiek temperaturę w promieniu nawet dwóch kilometrów. W naszej okolicy świecą się na czerwono tylko krzątający się pomiędzy pojazdami Kanadyjczycy. Wiem, że od czasu do czasu zerka na nas zawieszony gdzieś wysoko dron, technicznie na tej wojnie żaden talib nie miałby szans z takim kimś jak my.



W dobrym towarzystwie humor nas nigdy nie opuszczał, niezależnie od warunków. Michał, dowódca Task Group

Czas na Michała, budzi się nie jak ja, z ochotą do wspominek, a zgrzytając zębami, i to na całego. Oświadcza stanowczo: „Zimno, Naval, ale zimno”. Michał jest fanem wszelkich nowinek technicznych i na nasz patrol wybrał się na lekko... za lekko. Dostał do przetestowania lekki kombinezon puchowy, a raczej takie obszerne puchowe spodnie z bluzą. Można by pozazdrościć takiego wygodnego zestawu, ale nie teraz. Sprawdzał się on naszym strzelcom stojącym na gunnie w trakcie jazdy humvee, ale teraz, leżąc obok mnie, pyta, czy i mnie jest tak zimno. Ale skąd, nie. Mam śpiwór puchowy z zapewnieniem producenta, że do minus

dwudziestu stopni daje komfort, leżę na karimacie, odizolowany od surowego środowiska goretexową norką, w środku jest mi przyjemnie.

A Michał się kręci w swoim goretexowym worku, trzęsie się z zimna, trąca sobie ramiona... No, trzeba ratować przyjaciela, daję Michałowi plastry chemiczne, które potrafią cudownie podnieść temperaturę ciała. Zamarznąć nie zamarznę, ale zimna nie da się oszukać plastrem, bo choć taki plaster grzeje spojenie klatki piersiowej, to biodra, nogi i kończyny marzną dalej. Nie tylko plastrem wsparłem Michała, wzięło go na rozmowę, więc szeptaliśmy przez jego całą zmianę o geopolityce terroryzmu widzianej z perspektywy leżenia na wysuniętym stanowisku gdzieś w Afganistanie na skraju urwiska, a także o tym, że jak tylko wrócimy, musimy iść gdzieś całą paką dobrze się rozgrzać. Leżeliśmy obok siebie w dwóch różnych światach, ja mam komfort, a on się kręci i nie może doczekać pierwszych promieni słońca.

Wiem, co przeżywa, wspominam mrozy w Bieszczadach, poligony i zeszłoroczne zdarzenie: jak para snajperska zaobserwowała moją baranicę leżącą pod chlewnią w śniegu. Snajperzy wypatrzyli, jak ją wciągają na kotwiczce saperskiej, wtedy w chlewni marzliśmy całą sekcją. Nadszedł promienisty poranek, termometr wskazywał w nocy minus dziesięć stopni. Śmiejemy się, wstając, że rześko i nie takie mrozy nam straszne. Poranki w takich miejscach są niesamowite, widok odsłaniającego się świata daje nadzieję na dobry dzień. Noc przetrwaliśmy bez strat, tak jak i nasi Kanadyjczycy, okopani na środku koryta rzeki, otoczeni ciemnoniebieskimi szarfami spływającej z lodowca wody. Całą noc palili ognisko, oni nie musieli się ukrywać. W oddali widzimy kolumnę naszych pojazdów, płynnie przedzierającą się przez kolejne strumyki. Piękny widok.



Są i nasi. Nie wiem, jak to widzą talibowie, ale dla nas toczące się korytem rzeki humvee to majestatyczny obraz

Słońce szybko rozbudza dzień, promienie odbijające się od śniegu rażą, a nas w zielonych mundurach na białej powierzchni widać pewnie z kilometra. Zapadła decyzja, że możemy wracać. Wracając, rozciągamy się dość mocno, w otwartym terenie można iść w oddaleniu od siebie nawet co pięćdziesiąt metrów, dziesięć osób to pięćset metrów, nikt nie robi zasadzki na tak długim odcinku, więc ci poza strefą śmierci mają swobodę w działaniu, by obejść pozycje przeciwnika i skutecznie przejść do kontrataku.

Schodząc, z zaciekawieniem patrzę na teren. Wiele miejsc urwiska to faktycznie pionowa ściana; schodząc, co oczywiste, wynajdujemy inną drogę, by nie wracać tą samą ścieżką. Wbrew pozorom jest to tu dość proste, spływająca z płaskowyżów woda wyłobiła w glinianej glebie mnóstwo mniej stromych spływów, które pewnie zwierzętom służą za ścieżki, ale nie wszystko, co zastajemy, jest dziełem natury. Tak w jednej czwartej podnóża znajduje się spory odcinek przekopu na wzór transzei. Patrząc na ścianę skarpy z daleka, nie sposób jest nie zauważyć tych umocnień, a z bliska widać, że jest to dzieło ludzkich rąk zmyślnie ufortyfikowanego zbocza: strzelasz do przeciwnika będącego w korycie i chowasz się, nie pozostawiając możliwości zaobserwowania, skąd padł strzał. Ta transzeja ciągnęła się kilkaset metrów. Patrząc na oddalonych od tego miejsca Kanadyjczyków, to w korycie rzeki faktycznie byli bezpieczni, pewnie strzelano by

do nich z broni ręcznej jak na wariat, ale im bliżej byłoby skarpy, tym ten ostrzał mógł być skuteczniejszy, więc dopóki będą jeździć środkiem, a talibowie nie dostaną nowoczesnych granatników, to mogą się czuć bezpiecznie. Serio, by przejąć tu kontrolę, trzeba by zrównać wszystkie podobne do tego miejsca punkty oporu albo non stop mieć rozstawione czujki, jak ta nasza zeszłej nocy. Odjeżdżamy spod skarpy, podobnie jak przyjechaliśmy, na panczerzu. Kanadyjczycy dziwnie na nas patrzą, do tej pory nikt nie odważył się tak tu jeździć. A na przywitanie w ich bazie poczęstowali ciepłą herbatą, Michałowi momentalnie wrócił humor, ale to nie jest jeszcze czas na relację z nocnego patrolu.



Nawet tak surowy klimat ma swój urok

Jeden z Kanadyjczyków podnosi alarm, i to nie na żarty. Centralnie w naszą stronę jedzie kolumna kilkunastu samochodów, w większości pick-upów, a na każdej pace siedzą talibowie, co najmniej kilkudziesięciu chłopów. No to jatka... w pośpiechu usypuję kopczyk z rzecznych kamieni pod moje stanowisko minimi, snajperzy rozstawili swoje karabiny pod kołami wozów bojowych LAV. Kanadyjczycy w centralnym punkcie rozłożyli moździerz. Momentalnie z sielankujących ludzi przy herbatce przeobraziliśmy się w najeżone kolczaste zwierzę, niech tylko ktoś podejdzie, niech zaatakują. Znieruchomieliśmy, ale nie dało się ukryć naszej obecności, byliśmy jak na patelni osłonięci trzema pojazdami LAV, ich gunnerzy tylko czekali na sygnał, by mogły zagrać i ich karabiny.

Kolumna zatrzymała się jakieś pięćset metrów od nas, ludzie pośpiesznie opuszczali pojazdy, leżę na kamieniach i nawet mi nie zimno, jest trochę adrenaliny. Cholera, tam jest ponad sto osób, a nas siedemnastu. Michał podał dystans pięćset pięćdziesiąt metrów, wiatr z lewej trzy metry na sekundę, słońce mieliśmy lekko z tyłu po lewej. Z dziwnej strony podjechali, ale my staliśmy na środku koryta, blokując ruch.



Kanadyjsko-polska baza w samym środku koryta rzeki Helmand

Z kolumny w naszą stronę dosyć żwawo ruszyła zeżłona toyota, chyba każdy z nas pomyślał to samo, pieprzony samobójca, ale w połowie drogi błysnęło niebieskie światło policyjnego koguta. Samochód podjechał do nas nie bliżej niż na sto metrów, z auta wysiadł przebrany za policjanta gość i gestami pytał się, czy może podejść. „No dobra, dawaj”. W tamtej chwili to chyba wszystkie nasze lufy były zawieszane na nim i samochodzie. Z naszej strony na rokowania poszedł kanadyjski tłumacz opatulony w kamizelkę kuloodporną, z naciśniętym na uszy hełmem. Coś tam ze sobą pogadali, na pożegnanie się wyściskali, a nasz parlamentariusz wrócił już nie taki spięty, a z uśmiechem na ustach, mam nadzieję, że nas pierdolony nie poddał...

Ten piękny dzień okazuje się lokalnym świętem. Mężczyźni z kilku wiosek zebrali się o poranku na wspólnej modlitwie, a po niej przyjechali tu do koryta w jednym tylko celu: na stromych brzegach o tej porze roku jakieś cholernie drogie

ptaszki składają jajka. Ptaszki po wykluciu są trenowane i wykorzystywane do ptasich walk, a oni teraz przyjechali, by tych jajek szukać. No dobra, kupiliśmy tę bajeczkę, ale czujnie obserwujemy, co tam się wyprawia. Spoglądałem na Afgańczyków przez lornetkę: ubrani w tradycyjne stroje, dla nas to jakieś tam szmaty, na stopach klapki i idą w stronę zbrocza. Przed pierwszym ze strumyków klapki w łapę, by nie zamokły, kiecka w górę i tak przechodzą przez jeden strumyk z wodą po kostki, potem drugi z wodą po kolana, wszystko pokonują na bosaka, klapki wracają na stopy i rozdzielając się, szukają ptasich gniazd. Nikt ich nie przewoził przez strumyki, ale też nikt z nich nie trzęsie się, podskakując na jednej nodze, by okazać, jak mu jest zimo. Patrzę na nich i przypominam sobie dzieciaki, które zawijaliśmy w nasze bluzy, którym dawaliśmy klapki i skarpetki... Tu po prostu tak się żyje, tak hartuje organizm i człowieka, surowy klimat, surowy kraj, to i ludzie od najmłodszych lat przyzwyczajani do tego, gdzie przyszło im żyć.



Wiadomą rzeczą jest, że trzeba być po tej, a nie tamtej stronie snajperskiego celownika

Przejście zimnych strumyków w szmatach i z klapkami w dłoniach, bosymi stopami przy temperaturze oscylującej koło zera wywarło na mnie wrażenie. Kim są ci ludzie? Od tego czasu inaczej już patrzę na „miejscowych”, już się nie zastanawiam, dlaczego tu przegrali Rosjanie, a w Indochinach Amerykanie. Rosjanie w szczycie swojego panowania nad Afganistanem mieli pod kontrolą tylko trzydzieści procent jego terytorium. Jakim byśmy nie operowali sprzętem, jak

bardzo nowinki techniczne byłyby po naszej stronie, to walka z ludźmi, którzy mają charakter, którzy chcą się bić o rodzinę, o swoje domy, skazana będzie na przegraną. Nam, Polakom, taka walka zajęła sto dwadzieścia trzy lata, wiem, długo, ale tyle byliśmy pod zaborami. Rosjanie wytrzymali tu dziesięć lat. Kolejne wojny są jeszcze dynamiczniejsze, tylko stabilizacja i powrót do normalności trwają o wiele dłużej. To, że najechane narody są biedniejsze, mają inną kulturę, wcale nie świadczy o tym, że są gorsi, często to okupant musi się od nich uczyć, a i tak nie wygrywa. Oni tu są u siebie, mają przewagę w wiedzy o terenie i doświadczenie z poprzednich walk, mówię teraz o Afganistanie. Z wielkim szacunkiem zaczynam patrzeć na miejscowych, często są jak wyrwani z innej epoki, potrafiący żyć zgodnie z naturą, ale i korzystać z cywilizacji. Cyklem ich życia nadal steruje natura, nie zegarek i terminy spłacanych rat, nie giełda i kurs dolara. Tu oni są u siebie, my u nich, ale też wiem jedno, nie rozumiemy się nawzajem. My o nich wiemy więcej, oni o nas często nic. Wielką krzywdą dla nich jest sprowadzanie ich do nas, do Europy. Tak jak my nie rozumiemy biegających na bosaka dzieci, tak oni nie mogą pojąć, jak kobieta może iść w spodniach, kręcąc biodrami. Dlaczego dorosły mężczyzna nie ma brody i ma mieć tylko jedną żonę. Nasze światy są oddalone od siebie nie tylko geograficznie, ale i kulturowo, ale dystans geograficzny da się jakoś przebrnąć, kulturowy jest przepaścią. Wiem, że podałem tu banalne przykłady dzielących nas różnic w postrzeganiu świata, jest ich mnóstwo i to dużo bardziej złożonych, ale tak jak oni nie pasują do naszej codzienności, tak my nie pasujemy tam. Pomyślcie, że nasza typowa rodzina ma zamieszkać w standardach afgańskich i żyć zgodnie z ich kulturą. Tata z brodą, mama w burce rodząca co rok nowe dziecko, a osioł jest najważniejszy, bo najwięcej uniesie. Myślę, że oni z podobnym wielkim zdziwieniem patrzą na nas, choć mienimy im się jako bogacze. Sprowadźcie afgańską rodzinę z pobliskiej wioski na Bemowo i dajcie im dwupokojowe mieszkanie na czwartym piętrze, zrozumieją...

Po powrocie do bazy sprawdziłem, co to za ptasie jaja, których tam szukano. Tym ptaszkiem okazała się przepiórka, która faktycznie szkolona jest do walki. Jeden taki dorosły ptaszek na bazarze w Kabulu może osiągać cenę nawet trzy tysiące dolarów – czyli z moim wywodem, że kurs dolara jest mało ważny, jak widać, się myliłem.



Nie nasze, a jednak nasze dziewczyny: Ania i Agatka

Wjechaliśmy na teren bazy w Kandaharze, samochody ubłocone, zresztą cały jestem z gliny i błota, ale to lepsze niż wszechobecny kurz, pył i piach. Przyszły dziewczyny się pożegnać – Ania z Agatą. Dla Ani nadeszła pora rotacji, dla Agaty oczekiwany wyjazd na urlop do Kanady, a dla nas wszystkich czas rozstania. Jak tu je wyściskać, jak zaschnięte błoto trzyma się uparcie munduru, ale co tam. Chyba wszyscy mamy w oczach jakiś dziwny piasek, cholera, ale to niemęskie uczucie... Jak miło słyszeć o chęci spotkania się w Polsce, w Holandii i że zaproszenie do Kanady na pączki jest aktualne, niby nic ciężkiego tu wspólnie nie przeżyliśmy, ale z dala od naszych rodzin, od bliskich, potrafiliśmy razem stworzyć atmosferę domu, w którym zawsze dało się słyszeć śmiech i radość ze wspólnego przebywania ze sobą. Dziewczyny dawały nam namiastkę normalności i rodzinnej atmosfery, co było dużym zastrzykiem pozytywnych emocji po ciężkich patrolach. Czujemy z nimi dosłownie bratersko-siostrzaną więź, wiem, że będziemy tęsknić za ich obecnością, która rozświetlała naszą wiecznwie zaciemnioną bichatę.

Ania mówi: „W Afganistanie wmawiałam sobie, że muszę każdego dnia cieszyć się z tego, że mogę uczestniczyć w tej misji. Tak też robiłam, choć codziennie pracowałam po dziewięć godzin, to wieczorem po kolacji szukałam sobie dodatkowych zajęć, biegałam, chodziłam na siłownię, uczyłam się tańczyć salsę, dorywczo pracowałam w barze. Tyle zajęć sobie znalazłam, że ten czas, te cztery i pół miesiąca szybko mi minęły. Lubiłam wszystko, co robiłam, moja praca nie była ciężka, byłam dumna, że mogłam wziąć w tym udział”.

Grunwald

Skoro Grunwald, to po jednej stronie muszą walczyć połączone siły polskolitewskie i basta! Wspomnienie bitwy pod Grunwaldem to dobre odniesienie do współpracy naszych połączonych sił podczas bitwy, jaka zapewne nas czeka na afgańskiej ziemi, więc niczego nie zdradzę, pisząc, że historia lubi się powtarzać.

Zapamiętałem to mniej więcej tak. Po naszej stronie nie inaczej, tylko wojska koronne, chorągwie książąt mazowieckich, chorągwie regionalne, zaś wojska litewskie w tym przypadku bez wsparcia ochotników z Rusi, ale wystawiły chorągwie ziemskie i chorągwie złożone z uciekinierów ze Złotej Ordy. Tu bym ustawił w szeregi jako następców współpracujących z nami miejscowych wojów, takie mniej więcej zespolenie było w tamtym czasie. Miejsce naszej bitwy niech pozostanie w pamięci potomnych pod nazwą Grunwald II, tak to jeden z kolegów określił, bo i tak tego otoczonego górami terenu w kształcie rzuconej podkowy nikt nie odszuka i nie wybuduje tam chwalebego pomnika – a może się mylę i będą szły pielgrzymki, wszak my, Polacy, uwielbiamy pielgrzymować, może i Litwini by coś od siebie postawili.

Sytuacja przedstawia się następująco. Nasi litewscy bracia są w potrzebie, więc należy ratować pobratymców, oni wspierają nas, my ich i tak od wieków historia kołem się toczy. Serio nie mam pojęcia, jak to jest politycznie poukładane, że przemierzamy kilometry na kołach po tej obcej kamienistej i oddalonej w cholerę od naszych krain ziemi, tocząc tę dziwną wojnę, naszą, nie naszą, już przestałem się nad tym zastanawiać. Polacy, Litwini, Czesi, Kanadyjczycy, Słowacy, Niemcy, Włosi, Turcy, Holendrzy... i Amerykanie, którzy pewnie do niedawna nie wiedzieli, gdzie ten Afganistan leży. Ale mniejsza z tym, jeśli nękają przyjaciół, to nie możemy na to pozwolić, i tak od wieków jako Polacy jesteśmy lojalni...



Litewski land rover w drodze na wspólny trening

Nasza góra, czyli dowództwo TF-49, dogadała się co do przeprowadzenia wspólnej operacji w rejonie odpowiedzialności litewskiego TF-77, Special Operations Unit – Specjaliują operację junginys. W ich rejonie odpowiedzialności znajdował się zamknięty z trzech stron płaskowyż, jak to w Afganistanie, bardzo malownicze miejsce otoczone górami i, podobnie jak w naszej strefie, niedostępna dla ich wojsk umowna „brama Mordoru”. Znaczący temat wskażą, że sama brama miała nazwę Morannon, a miejsce, w którym się znajdowała, leżało w północno-zachodniej części i miało właśnie nazwę Mordoru, ale kto nam zabroni przedstawiać nasze afgańskie przełęcz i nazywać je po swojemu. Litwini, z tego co wiem, tego miejsca w ogóle nie nazwali, więc niech już pozostanie dla potomnych ten rejon pod nazwą Grunwald II. Wracając do sedna sprawy. Zapuszczając się w tamte okolice, dziesięć na dziesięć patroli było ostrzeliwanych. Nie ponieśli żadnych strat, ale kule i RPG świstały nad głowami. Talibowie stosowali swoją stałą taktykę, polegającą na umiejętności strzelania dosłownie z nitką, działali tak, by zmusić kołowy patrol przeciwnika do podążania tam, gdzie oni sobie tego życzą. Talibowie nie są półgłówkami, ich bojownicy są często dobrze wyszkoleni, zazwyczaj świetnie zamaskowani w górskich szczelinach, wiedzą, jak wybrać odpowiednią porę dnia i miejsce potyczki. Litwini na tym terenie kręcili się odsłonięci dosłownie jak na rozgrzanej patelni, przyjmując na

pancerz to, co do nich dolatywało z oddalonych gór, ale przy tym poruszali się na tyle roztropnie, że nie wdawali się w żadne niepotrzebne harce z nierozpoznanym przeciwnikiem.

Planując operację, podzieliliśmy nasze wspólne siły na dwie części. Ta mniejsza, wyznaczona do wykonania patrolu pieszego, składać się będzie z dziesięciu Polaków i czterech Litwinów, pozostała część chłopaków będzie stanowić siły główne, operujące na pojazdach. Po przedstawieniu zamiaru operacji i wspólnej burzy mózgów opracowaliśmy plan. Część wojsk koronnych, a dokładnie połowa naszej chorągwi mazowieckiej (ze mną w składzie jako zaciężnym ze Śląska) wraz z mniejszą częścią chorągwi wileńskiej, uda się pieszo, prawie jak dawni harcownicy na przedpole, by rozpoznać teren przyszłej bitwy, a w jej trakcie siać zniszczenie w obozie wroga... Dobra, zostawię te chorągwie i zaciężnych, bo Sienkiewicz ze mnie żaden i tego taboru w nie swoim literackim stylu nie pociągnę.

Nasz pieszy patrol dostał następujące zadanie. Wpierw na kołach, no chyba że się gdzieś tam ktoś zlituje i dostaniemy śmigłowiec do przerzutu. Następnie skrytym patrolem pieszym dojdziemy w pobliże Grunwaldu, a po wspięciu się na górskie pasmo założymy punkt obserwacyjny. W miejsce desantowania się naszego patrolu mają przetrzucić nas Litwini swymi lekkimi ciężarówkami. Wyruszymy już po zmroku, unikając tych, którzy obserwują ruchy wojsk w bazie i na jej obrzeżach. Już poza bazą kierowcy będą jechać, używając, oczywiście, noktowizji, pojedziemy nieco okrężną drogą, myląc przeciwnika co do kierunku wyjazdu i naszego działania. Naszym przystankiem będzie punkt oddalony o około siedmiu kilometrów od naszego miejsca docelowego. Musimy być pewni, że w terenie nikt nas nie zobaczy, ale i nie usłyszy. Nasz rejon, który ma stać się bazą i punktem obserwacyjnym, został wybrany z mapy. Miejsce to wygląda jak urywający się pionowo szczyt zachodniego pasma górskiego, a dokładnie jego południowe zbocze.

Podczas planowania mamy rozłożone mapy, ślęczymy nad nimi, licząc wysokość i przewyższenia. Im linie poziomic na mapie są gęściej, tym stromiej, dodatkowo wiją się jak żmija – nasza góra wygląda na stromą o nieregularnych kształtach grani. Na zdjęciach satelitarnych takie afgańskie pasma są trudne do odczytania, kolory pustyni zlewają się w jedną plamę z nagimi szczytami i wyschniętymi przełęczami, przez co trudno wybrać nasze przyszłe miejsce działania, planujemy, ale nie jest to żaden pewniak, nie wiemy, co zastaniemy na miejscu. Po wielu godzinach mamy konsensus, zresztą nie mamy wielkiego wyboru, trzeba tam wleźć, posuwać się lekko poniżej grzbietu pasma i iść, ile się da, na południe, a potem się zobaczy. Jest robota do zrobienia, a kto, jak nie my...

Żeby lepiej zrozumieć pole naszej przyszłej bitwy, którą mamy zamiar wytoczyć talibom, muszę bardziej obrazowo opisać samo miejsce, bo wybór pola bitewnego ma ogromne znaczenie. Na wspomniany płaskowyż można wjechać od strony północnej, tak jak już pisałem, jest ono zamknięte górami z trzech stron. By tam dojechać, trzeba pokonać jeden newralgiczny punkt, mianowicie kilkusetmetrowy kanion, w którym dodatkowo jest wioska; tu zostawiamy planowanie chłopakom na kołach, jak to bezpiecznie przeskoczyć. Teren na miejscu nie jest całkowicie płaski, lekko pofalowana kamienna pustynna przestrzeń, tak nam opisali to miejsce Litwini, a i mapa daje taki obraz. Okalające płaskowyż pasma górskie, te na zachodzie i wschodzie, mają kształt ostrego smoczego ogona i ciągną się po kilkaset metrów, tak do kilometra zazębiając się ze sobą na przemian. Ich wysokość od podłoża, bo wyrastają dosłownie z podłoża, nie przekraczała czterystu, no może pięciuset metrów. Na wprost, czyli na południu, pnie się regularne wzniesienie, za nim jak za wałem rozłożona w dolinie wioska, z którą Litwinom nie udało się dotąd skontaktować, za wioską góry, góry i Pakistan. Już się po Afganistanie najeździliśmy, więc teren nas nie zaskoczy, wiemy też, że mapy, które mamy, często nie odzwierciedlają realnej przestrzeni, ale do tego też się przyzwyczailiśmy.

Wracając do naszego zadania, po przejściu tych wyznaczonych siedmiu kilometrów i znalezieniu odpowiedniego miejsca mamy założyć punkt obserwacyjny. Mając nakreślone to, co robimy, pod to zadanie trzeba skompletować sekcję.

W skład patrolu wejdzie połowa szturmowej sekcji jako zabezpieczenie, ja, Artur i Karol plus siedmiu snajperów. To właśnie do nich będzie należało zadanie obserwacji przeciwnika, podawanie do sił głównych informacji o jego liczebności, uzbrojeniu i ruchach, no a już podczas bitwy eliminowanie zagrożenia. Ja z Karolem tworzymy ubezpieczenie, Artur będzie odpowiedzialny za łączność. Do nas dołączą czterej Litwini i będziemy stanowić jedną ekipę, ich zadaniem, tak jak naszej trójki, będzie zabezpieczenie snajpów i zapewnienie łączności z siłami litewskimi, które będą działać wspólnie z naszymi w terenie. Nad całością patrolu pieszego komendę obejmie Michał, nie, nie Wołodyjowski, tylko nasz, który właśnie wrócił ze Stanów, gdzie zdał, a raczej gdzie po przeszkoleniu stał się certyfikowanym „dzejtakiem” – JTAC (*joint terminal attack controller*). To dla nas całkowita nowość, choć gdy byliśmy w Iraku i współpracowaliśmy z Navy SEALs, prawie zawsze ktoś taki był z nami. Na chłopski rozum JTAC to kontroler ruchu powietrznego, ma uprawnienia dające możliwość kierowania samolotami bojowymi w rejonie naszego operowania, gdy są wsparciem, naprowadza je z perspektywy naszych pozycji, podając, gdzie znajdujemy się my, a gdzie przeciwnik, na jego żądanie pilot wali z góry zbrojnym arsenałem w tamtych. Więc

poza tym, że Michał sam jest snajperem, to dzięki jego nowej profesji jesteśmy dodatkowo uzbrojeni w możliwość zrzućenia talibom za kołnierz kilku lotniczych bomb. Planowanie naszych operacji to bardzo ważna i integralna część każdego zadania, to tu można wpłynąć na nasze przyszłe działanie, ustalić, co mamy do przetrzebowania, zaplanować ruchy w sytuacjach awaryjnych, przemyśleć, jaką zabrać ze sobą broń, i rozdzielić pomiędzy siebie dodatkowy sprzęt zespołowy. Tym razem z tego zespołowego nic ze sobą nie zabieramy, ale i tak na lekko to ten patrol nie będzie wyglądać. Moim głównym narzędziem pracy ostatnimi czasy stał się i do czego się już, będąc kierowcą, powoli przyzwyczajam, karabin maszynowy FN Minimi; co oczywiste, zabiorę ze sobą pistolet USP, lecz już wiem, że z nie więcej jak z dwoma magazynkami.

Ale od początku. Nasz patrol ma potrwać nie więcej niż noc i kolejny dzień, a następnego wieczoru zgodnie z planem mamy wrócić z powrotem z tarczą do bazy. W skrócie cała operacja według planu ma wyglądać mniej więcej tak, jak określa to zakładana kalkulacja czasowa.

Wieczorem, tuż po zmroku wyjeżdżamy z bazy, po około dwóch godzinach jazdy wysiadziemy w punkcie desantowania się. Po odjechaniu pojazdów skrytym patrolem udamy się w kierunku rejonu działania. Do przejścia według mapy mamy siedem kilometrów, marsz odbędzie się w naprawdę ciemną noc, będziemy używać noktowizorów, ale na księżyc i jego blask nie mamy co liczyć. Jest noc, ciemno, dobrze, gdy będziemy szli po płaskim terenie, ale w górach nie wiem, a raczej wiem, co nas czeka. Noktowizor zawsze przekłamuje odległość, o czym się już nieraz boleśnie przekonałem. Po wspięciu się na grzbiet posuwamy się jego zachodnią stroną, tak by dojść na południowy skraj. Tam rozkładamy się w formacji okrężnej, zakładamy posterunek obserwacyjny i czekamy do świtu. Marsz i wybranie miejsca na bazę nie powinno nam zająć więcej niż cztery godziny. Po nadejściu świtu skupiamy się na wypatrywaniu przeciwnika, nastaje czas wyczekiwania, a nasze zadanie to obserwować i meldować. Rano robotę rozpoczynają nasze siły główne. Całość patrolu kołowego wjedzie w teren, gdzie zazwyczaj był kontakt z przeciwnikiem. Chłopaki będą jeździć po płaskowyżu, nęcąc talibów na wszelkie sposoby i prowokując ich do walki. Zakładamy, że podejmą rękawicę, zjawią się na ubitej ziemi, a raczej na swojej, by postrzelać do naszych, tak jak to mają w zwyczaju. Nieświadomi naszej obecności w terenie, powinni zachować się tak jak zazwyczaj, zajmą dogodnie dla siebie pozycje i zaczną ostrzeliwać nasze pojazdy. Może ich oczywiście zaniepokoić większa liczba pojazdów, ale a nuż nie wymiękną. Wierzmy, że będąc na szczycie góry, teraz to my będziemy ich mieć nie tylko jak na patelni, lecz i na widelcu. Litwini podczas planowania wskazali mniej więcej rejon, z którego zazwyczaj są ostrzeliwani, nasz posterunek wybrany z mapy powinien znajdować się dokładnie

nad ich pozycjami. Sytuacja nie powinna być zbyt dynamiczna, mamy na działanie cały dzień. Łączność, ech, tu by dopiero można było książki pisać, ale tym razem nie zawodzi. Nasza obecność w górach powinna być jak najdłużej ukrywana, czekamy tak długo, jak to możliwe, kierując ogniem chłopaków. Mamy czym przygwoździć talibów, bo poza bronią osobistą są na wyposażeniu amerykańskie karabiny maszynowe browning M2, ich zasięg skuteczny to tysiąc osiemset metrów, maksymalny ponad cztery kilometry, nasze karabiny maszynowe NSW nie gorzej, już sama ta broń pozwala przygwoździć każdego w okolicy i to na sporym dystansie, a tych karabinów mamy kilka. Niesamowitą robotę robi w takim terenie, co ja mówię, w każdym terenie, Mk-19, amerykański granatnik automatyczny kalibru 40 mm, jego zasięg to dwa tysiące dwieście metrów. O skuteczności nie będę pisał, bo jak to z odłamkami granatu po eksplozji bywa, leci każdy w swoją stronę, tu pan Bóg rozdaje karty, efekt piorunujący. Jedzie z nami, co oczywiste, Carl Gustaf, czyli szwedzki granatnik kalibru 84 mm, co prawda jego zasięg skuteczny do wozów bojowych to czterysta pięćdziesiąt metrów, ale używając pocisków odłamkowo-burzących, można narobić wśród przeciwnika dużo więcej zamieszania.

Kaliber mamy odpowiedni, ale i precyzyjny, nasi snajperzy będący ze mną w górach mogą strzelać celnie nie tylko na kilometr, ale i na półtora, rzadko się mylą, żartobliwie można powiedzieć: *Jeder Schuss ein Russ*, ale w ich ustach brzmi to śmiertelnie poważnie. Więc nie tylko celnie mają kierować ogniem naszych sił na dole, lecz i sami, używając długich luf, przygwoźdzą przeciwnika. Tyle o naszym polskim uzbrojeniu; Litwini mają podobnie jak my mocno dobrojone pojazdy, no, może nie na aż takim wypasie jak nasze, ale też nie ma się czego wstydzić. Brytyjskie Manroy Engineering to naprawdę dobre karabiny wielkokalibrowe kalibru 12,7 mm, które mogą wystrzelić ponad pięćset pocisków na minutę, zamontowane są też na brytyjskich land roverach z serii Defender. Ja jakoś nie przepadam za tym samochodem, może i sprawdza się jako turystyczny pick-up, ale dla mnie w boju słuszny jest tylko HMMWV. Za to mają i coś, czego im trochę zazdrościmy. Motor-gerät, czyli średni samochód ciężarowy, który tu w trudnych warunkach terenowych radzi sobie świetnie. Przy każdej nadarżającej się okazji wychwalać będę pod niebiosa amerykańskie humvee, ale i ten pojazd w moim mniemaniu jest wart odnotowania. Co więcej, z tego co mówią Litwini, ich unimogi są nie tylko wykorzystywane przez wojsko, ale i przez inne służby specjalne, tu zaś służą jako platforma transportowa. Jadąc w teren, mając w kolumnie ten pojazd, można zabrać ze sobą dużo więcej zapasowego sprzętu i amunicji, my zaś jesteśmy ograniczeni miejscem, o wadze nie wspomnę, bo na bank przekraczamy wszelkie normy ładowności przypadające na HMMWV. Scenariusza przebiegu nie ma, nie wiemy przecież, jak zachowają się talibowie.

Będziemy tak kierować naszymi działaniami, by podtrzymywać kontakt z przeciwnikiem jak najdłużej i nie dać nikomu się wymknąć z naszej zasadzki. Bitwa wygrana... może i lotnictwo zrobi na koniec jakieś *air show*, w końcu mamy Michała. Po bitwie siły główne, te na kołach, sprzątają to, co do posprzątania, a my schodzimy z gór. Podjeżdżają po nas Litwini, zawijamy się do aut, dwie, trzy godziny drogi powrotnej i po maksymalnie dwudziestu czterech godzinach *mission complete*.

W bazie czekają medale, odznaczenia, a listy gratulacyjne napływają w najbliższym czasie od koronowanych głów z jednego i drugiego kraju. Znowu się rozmarzyłem, bo pewnie podobnie by było jak ze świątecznymi przesyłkami... Dwa tygodnie po świętach... Zresztą nie łudziliśmy się, że coś dojdzie na czas. Serio, ważniejsza będzie obsługa sprzętu, ciuchy do prania, prysznic i tak wszystko dopiąć, by zdążyć na nocny wypad na stołówkę, koło wpół do trzeciej, po dwudziestu ośmiu godzinach od wyruszenia z bazy będzie można się rzucić na wyro.

Planowanie na pięć, prawda. Więc po takim zaplanowaniu operacji wiem, co i na jak długo mamy ze sobą zabrać. Planowanie jest dla mnie najtrudniejszą częścią operacji, ale tak trzeba, dla nas wszystkich to mozolna robota, kwity, mapy, snucie scenariuszy, cyfry, liczby, kody, azymuty, hasła i kalkulacje czasowe. Planowanie to mało spektakularna robota, ale po bagażu doświadczeń z Iraku wiemy i stosujemy zasadę dobrego planowania, a wręcz perfekcyjnego. Zawsze trzeba zakładać, że na robocie coś się spieprzy, a doświadczenie podpowiada, że plan jest idealny tylko do momentu wyjechania z bazy, więc mając przygotowane i zaplanowane różne scenariusze, mamy możliwość korzystania z wypracowanych rozwiązań, zatem godziny spędzone przy stole na planowaniu nigdy nie idą na marne i może nie wszystko, ale to, co się da, musimy mieć dobrze poukładane.

Podział naszych ról jest prosty, Michał jako dowódca ogarnia naszą współpracę z Litwinami i sprawy papierkowe, Artur po swojej linii zabezpieczy jak zawsze łączność, więc będzie dźwigać radiostację, zadba też, by i nasze nadawały na odpowiedniej częstotliwości. Karol pozostawi swą pięćdziesiątkę i będzie tak jak ja wsparciem ogniowym, z tą różnicą, że uzbrojonym w karabin maszynowy o większym kalibrze 7,62 mm.

Ja, nie mając do ogarnięcia przed operacją humvee, czuję się nieco pozbawiony zajęcia, muszę praktycznie zadbać tylko o samego siebie. Ale jak człowiek zaczyna się pakować, to już nudy nie ma. W międzyczasie odwiedzili nas Litwini i ugadaliśmy się na wspólny trening strzelecki, przetrenowanie procedur taktycznych i tych awaryjnych. Kilku Litwinów dosyć dobrze mówi po polsku, ale uznaliśmy, że jednak angielski będzie naszym wspólnym językiem podczas patrolu. *Stop, stop, up, contact left, contact right, front*, damy radę. Jaki to kiedyś, przed

wiekami Rzeczpospolita Obojga Narodów miała język urzędowy. Na pewno nie była nim mowa Szekspira. Litwini to żołnierze w naszym wieku, więc nietrudno nawiązać dobry kontakt, zresztą nie ukrywają, że trochę wzorują się na naszej jednostce. Nasi z „wody” już kilkakrotnie byli z wizytą w Kłajpedzie i wiemy, że to dobra jednostka, tu na miejscu są zespołem mieszanym, podobnie jak my to mikś złoony z chłopaków z Kłajpedy i Wilna. Na świecie mało nas, a roboty sporo, nie ma co się nad tym głowić, trzeba się zgrać i tyle.



Dobrzy żołnierze nie muszą znać tego samego języka, by się rozumieć w boju. Tu polsko-litewskie planowanie taktycznego zerwania kontaktu z przeciwnikiem

Obecne konflikty zbrojne nie odbywają się w lasach, na polach i pustyniach, tylko w miastach. Rozwój technologiczny doprowadził do tego, że słabiej uzbrojony przeciwnik, chcąc uniknąć natychmiastowego unicestwienia, po prostu musi się gdzieś przed nami schować. Drzewa w lesie, rowy na polu, a tym bardziej żaden kamuflaż na pustyni nie ukryją bojownika przed byciem widzialnym nocą w goglach noktowizyjnych. Czy w dzień, czy nocą, mając lornetkę czy celownik termowizyjny, wypatrzymy każdą żywą istotę, jej organizm naturalnie wydziela ciepło. Patrząc przez termowizor na człowieka, widzimy świecące się kontury, ciało świecące jak ogień. Na otwartej przestrzeni nie ma jak się ukryć przed okiem satelity i już coraz bardziej rozpowszechnionych dronów. Od zawsze rozwój

techniczny broni i sprzętu wskazywał, w jakim terenie będzie nam, żołnierzom, dogodnie walczyć.

No tak, więc można zadać i to słuszne pytanie. Co wy tam robicie, jeżdżąc wzdłuż i wszerz po pustyni i górach, czemu nie wygracie i to spektakularnie tej wojny i dlaczego trwa ona już od pięciu czy nawet sześciu lat... Przecież dysponujecie miażdżącą przewagą sprzętu, technologii i wyszkolenia? Moja odpowiedź brzmi: nie wiem. A może wiem, po prostu zbytnio nie wiemy z kim walczyć, kto przyjaciel, kto talib. Wojna w XXI wieku to zamachy bombowe, podkładanie min na drogach, samobójcze ataki z bronią i z samobójczym pasem szahida, talibowie walczą z nami, głównie podkładając miny, a prawie nigdy w otwartej walce. Może się mylę, ale właśnie tak wygląda najnowsza wojna. Talibowie raczej są skłonni do atakowania afgańskich sił, nas unikają, no chyba że jak w tej chwili depczemy im po piętach, a jak już nacierają, to wybierają konwencjonalne siły w dogodnym dla siebie terenie, postrzelają i kryją się wśród swoich, nieścigani przez nikogo, zresztą są u siebie. Walczą z nami tak, jak potrafią, i tym, co mają, też nie chcą ginąć, choć Allah ponoć ma dla nich przygotowaną rozkoszną nagrodę.

Wracając do zielonej taktyki, musimy się nieco cofnąć w naszym postrzeganiu tego, jak zostaliśmy wyszkoleni. Jesteśmy z założenia jednostką antyterrorystyczną, przyszło nam działać na afgańskiej pustyni. Tak naprawdę, to robimy robotę jednostek dalekiego rozpoznania, ale nie mam z tym problemu, jak ktoś lubi wojaczkę, to wszędzie się odnajdzie. Ciężko mi to przyznać, ale ja to po prostu lubię, zawsze chciałem być żołnierzem, choć wojna to niezłe gównno, muszą być tacy jak ja, jak my i się w tym babrać, by ktoś gdzieś tam, w tym samym czasie mógł zasiąść za stołem zasłanym nieskazitelnie białym obrusem.

Mając wysokie umiejętności walki w mieście i na bliskich odległościach, nie można zapominać o podstawach. To tak jak z nawigacją i chodzeniem „na mapę”, gdzie wyznaczając kierunek na busoli, maszeruje się na wyznaczony przez kompas, potocznie mówiąc, azymut. Dziś mamy GPS-y i to jego współrzędne wskazane przez satelity prowadzą do celu, ale i tak każdy z nas potrafi wyznaczyć azymut i dotrzeć w to samo miejsce, tyle że trwa to dużo dłużej, trzeba się często zatrzymywać, sprawdzając swoją pozycję w terenie, zorientować mapę, wyciągnąć busolę i wyznaczyć kolejny punkt, do którego chcemy dotrzeć, a po drodze i tak człowiek się ze dwa razy zgubi. Jadąc samochodem i mając GPS, już nikt z was się nie zatrzymuje, pytając przechodnia o drogę, dacie radę pojechać jeszcze gdzieś bez nawigacji? A spróbujcie, gwarantuję fajną zabawę wam i zaskoczenie w oczach pytanego o wskazówki.

Więc tak, czeka nas działanie w terenie otwartym, które trzeba zaliczyć do „zielonej taktyki”. Zielona taktyka dla żołnierzy jednostek specjalnych jest

abecadłem. Zresztą na całym świecie wojskowe szkolenie, to podstawowe, poza ścieleniem łóżka, musztrą, myciem kibli, budową i obsługą broni oraz strzelaniem, opiera się właśnie na nauce walki w terenie otwartym. Czy to zielony las, zaorane pole czy pustynne piaski nazwa pozostaje ta sama, zielona taktyka, choć za oknem biało, bo śnieg, nadal zielona. My dziś patrzymy na to trochę z przymrużeniem oka. Ale też wiem, że jest ona bardzo ważnym elementem szkolenia podstawowego, bo to podczas tego szkolenia żołnierz nabiera hartu, ucząc się wojaczki tak naprawdę od zera, jednocześnie ta nauka daje mocno w kość i utwardza charakter. Uważam, że generałowie uwielbiają tę taktykę, po pierwsze, jest tanio, po drugie, można żołnierza na maksa zmęczyć i zająć go na dłuższy czas, bo wiadomo, że jak żołnierz się nudzi, to mu się w głowie pierdoli, ile ja się tych mądrości nasłuchałem. Ale to też taki czas, gdy młody żołnierz musi w końcu poczuć zmęczenie podczas marszu w pełnym rynsztunku, zaznać bólu, czołgając się po kamienistym podłożu, dostać pęcherzy na dłoniach od trzonka saperki, okopując się do każdej z możliwych postaw, by potem już we wspólnej transzei bronić wraz z kolegami swojej pozycji, a po odpartym szturmie samemu natrzeć na podobne umocnienia przeciwnika. Zielona taktyka wymusza działanie, które musi być skoordynowane z pozostałymi żołnierzami, inaczej nie jest możliwe sprawne przegrupowanie się. Dobrze przygotowana zasadzka jest wtedy, gdy wszystko robimy w odpowiedniej chwili, wręcz na rozkaz, a jeszcze ważniejsze jest zgranie sekcji podczas wychodzenia z takowej, gdy trzeba walczyć, by wyjść z tego zielonego gówna z życiem. Żołnierzy uczy się maskowania nie tylko siebie, ale i sprzętu, a jak mają dobrych instruktorów, to i nauczą ich, jak wykrywa się tych zamaskowanych po drugiej stronie. Dziś pomaga w tym technika, ale i cierpliwości trzeba się nadal uczyć, kto kogo przetrzyma, kto pierwszy wykryje przeciwnika, ten wygra.

Oj, dużo mógłbym pisać o moim szkoleniu z zielonej taktyki, ale nie jestem wyjątkiem, całe pokolenie żołnierzy zasadniczej służby wojskowej i wojskowych szkół doświadczyło na poligonach wszystkiego zielonego i to po kilka razy, od zdartych po marszach kondycyjnych stóp, przedartych od czołgania się mundurów, po walkę z saperką, by się, jak kto miał na stanie czołg, okopać. Zielona taktyka to też, jak już wspomniałem, jej zimowa odsłona, więc namarzło się kupę wojska każdego roku na zimowych poligonach. Pamiętam z unitarki chłopaka, który okopywał się z dwa stanowiska obok mojego, i jestem pewien, że on to dobrze pamięta. Koło Lubińca jest poligon zwany Czarnym Lasem, dziś pewnie już nieczynny, ale za moich czasów...

„Czwarty pluton w kierunku Czarnego Lasu na wprost biegieeeeeem marsz”, w jedną i drugą stronę, w każdą po sześć kilometrów. W trakcie marszobiegu, co by nie było za nudno, latał nad nami wyimaginowany samolot, dało się słyszeć

zawodzenie chorążego udającego koszący lot meserszmity, a po nim wrzaskliwą komendę „lotnik, kryj się”, ale do brzegu. Na skraju lasu, gdzieś na zapomnianej polance, bo praktycznie cały teren poligonu był przekopany wcześniejszymi fortyfikacjami, rozstawiono nas tak, by każdy miał dla siebie trochę miejsca i nie przeszkadzał sąsiedniemu kopaczowi. Wyznaczono nam azymut, z którego możemy spodziewać się wroga, nie było to już z zachodniego kierunku. Tematem zajęć było „okopanie się na czas do postawy leżąc”, szkolenie saperskie, o ile się nie mylę. Na taki okop-wykop jest oczywiście regulamin i trzeba robić wszystko zgodnie z przepisami. Ominięto zapis o doborze najdogodniejszego dla strzelca miejsca, podano nam wymiary wykopu, czyli: szerokość sześćdziesiąt centymetrów, długość metr siedemdziesiąt i głębokość trzydzieści centymetrów. Budując tę podstawową fortyfikację, trzeba się zmieścić w czasie trzydziestu pięciu minut. Wykop nie jest oceniany tylko jako dziura w ziemi, ważne są też walory estetyczne i zachowanie taktyczne podczas okopywania się. Okop, a raczej wał wykonany z wydobytej z wykopu ziemi, powinien być odpowiednio uformowany i zamaskowany, do tego posłuży wpierw sprytnie zebrana z miejsca wykopu darni. Z okopu musi być dobra widoczność i możliwość prowadzenia ognia w sektorze odpowiedzialności. Czy już można kopać? Niecierpliwimy się. O nie, nie tak szybko, na ocenę końcową ma wpływ zachowanie się taktyczne żołnierza, polega ono na tym, by broń odłożyć z prawej strony wykopu, lufa zwrócona w stronę, z której spodziewany jest wróg, i należy mieć nad nią kontrolę. Ktoś leworęczny marudził, że jemu pasuje odwrotnie, ale wojsko nie przewiduje mańkutów, broń ma być z prawej i chuj, skwitował chorąży.

Kopiąc, trzeba być czujnym i patrzeć, czy kapral z chorążym się gapią. Oni patrzą, jak kopiesz, i oceniają, czy jednocześnie obserwujesz przedpole, wypatrując wroga, więc masz patrzeć, gdy patrzą. Taka gra, nie patrzą – kopiesz, patrzą oni – patrzysz i ty. Po omówieniu teoretycznych zasad, bez praktycznego pokazu, pada rozkaz: „Bacność! Do prac saperskich, kopanie okopu do postawy leżąc, przystąp [czy jakoś tak]! Spocznij! Saperka w ruch, czas start!”. Całe życie dwa razy do roku kopałem sztychówką działkę wokoło domu, no nie na leżąc, ale wprawa jest, rachu-ciachu i moja fortyfikacja jak ta lala. Leżę na wilgotnym piachu, trochę odpoczywając czeszę trawę darni na wale, by ładnie, równo wyglądała, i zerkam w stronę kaprala i chorążego, czy widzą, że patrzę. Tym razem niedobrze, że patrzyłem, bo tym, którzy skończyli okopywać się do postawy leżącej, rozkazali rozpocząć kopanie do postawy klęczącej. Teraz już bez takiego animuszu jak jeszcze przed chwilą wbijam saperkę w piaszczysty grunt, ale im głębiej, tym grubsze korzenie wykopuję i już nie jest tak lekko jak wcześniej, walczę z podziemnym wrogiem o wbicie saperki i wydobywanie kolejnej łopatkę piasku. Powalczyłem chwilę, pada kolejna komenda, przerwij kopanie... „Całość

baczność! Czas na piątkę minął. Kto skończył, frontem do mnie, w dwuszeregu zbiórka. Sto dwadzieścia jeden, sto dwadzieścia dwa, sto dwadzieściaaa trzyyyyy. Baczność! Spocznij!”. Pozostali nadal kopią... Nie wszyscy skończyli, minął czas na czwórkę i na tróję też, nie skończył jeden z nas. W trakcie kopania słyszałem z boku, jak ktoś klnie pod nosem i prosił o zmianę miejsca kopania, ale odpowiedź była krótka, że taki los, miejsca walki się nie wybiera: „Masz się okopywać tam, gdzie ci przypadło i chuj”. Tyle doleciało do moich uszu. Stoimy w dwuszeregu i patrzymy na nieszczęsnego elewa, który został na przedpolu naszej bitwy, w tamtej chwili było go żal chyba wszystkim, łącznie z kapralem i chorążym, którzy *summa summarum* zlitowali się nad nieszczęśnikiem. Wyobraźcie sobie polankę, taką typową leśną, z rzadka, ale jednak porośniętą trawką o piaszczystym podłożu, całkiem wygodne do okopania się miejsce. Pewnie lata temu ktoś wywiózł tu jakiś kamienny gruz i ten nieszczęśnik trafił dokładnie na to miejsce. Kaprał nie pozwolił mu się przesunąć w bok i tak po zdarciu darni elew natknął się na gruzowisko, łzy mu leciały z tego nieszczęścia po policzkach jak grochy, stąpił blachę saperki, zdarł skórę na palcach dłoni, chcąc gołymi rękoma wybierać gruz z wykopu, nie dał rady, za płytko... Leżał z miną jak bezradne dziecko starające się zaradzić coś na swą niezasłużoną karę. A tego dnia stawka była ogromna, wykonanie zadania w czasie dawało zielone światło na przepustkę do domu, a do domu każdemu z nas chciało się, oj bardzo.

My tu w górach Hindukuszu raczej nie będziemy się okopywać, a i wybranie miejsca bitwy i czasu będzie w jakimś stopniu należeć do nas. Zbieramy się na umownej strzelnicy, z dala od wiosek roztacza się otwarty teren z widokiem po horyzont, daleko w tle zasłane mirażem zarysy gór. Michał jako dowódca naszego patrolu kreśli patykiem na piasku wszystko to, co dla nas będzie ważne. Wyznacza kolejność w szyku, sektory odpowiedzialności układają się naturalnie zgodnie ze sztuką, omawiamy znaki, sygnały i procedury awaryjne. W przyśpieszonej formie ujednolicamy swój wojskowy język. Na robocie nie ma czasu na dogadywanie się i nieporozumienia, to teraz na tej piaszczystej makiecie spisujemy to, czego w trakcie operacji będziemy mogli od siebie nawzajem wymagać, niby patykiem na piasku, ale wiążące jak cyrograf, którego nikt nie podważy. Tak już jest w naszym świecie, że słowo więcej warte od politycznych traktatów i paktów zawieranych na dobrym papierze i podpisanych wiecznym piórem w stylowo urządzonej gabinecie.

Gdy jest się tu z naszym doświadczeniem, zgrywanie się sprawia wręcz przyjemność, idzie nam to sprawnie, praktycznie na wszystko, o czym mówi Michał, wszyscy zgodnie przytakujemy. Z kilometr od naszej pozycji chłopaki z grupy kołowej postępują podobnie z litewskim odpowiednikiem. Obserwujemy, jak rozjeżdżają się na kierunkach, tworząc kołową formację złożoną z kilku

pojazdów, by po chwili jednocześnie poruszać się jak jeden organizm. Przystanęliśmy na chwilę, zapominając o naszej robocie, i patrzymy z podziwem, ale i z dumą, jak już nie kilka, a kilkanaście pojazdów potrafi poruszyć pustynię. Niesamowity widok, coś jak film wojenny.

Wracamy do naszej roboty. Mamy wspólny dla wszystkich wyznaczony azymut, na tym kierunku możemy prowadzić ogień, tak, jesteśmy pewni naszych i ich umiejętności, ale patrząc na tę naszą nowoczesną maszynę, można dostać gęziej skórki i nie chce być po niewłaściwej stronie lufy, mówię to po tym, jak poszła pierwsza salwa... zagrały karabiny i granatniki zamontowane na samochodach. Wystrzelono pierwszą serię, zadudniło i niesie się echo po pustyni. Czas i na nas. Nie kombinujemy zbyt, układając szyk, ja z moim lżejszym karabinem minimi będę szedł jako pierwszy na szpic. Po doświadczeniu z Belize, na którym to szkoleniu jako skaut przedzierałem się przez dżunglę, siekąc maczetą paprotki, teraz trafiłem na pustynię, cholera, człowiek, chcąc robić tę robotę, musi się odnaleźć wszędzie, pół roku temu gęsty busz, teraz otwarta przestrzeń, piach, żar to wspólny mianownik. Za mną Karol ze swoim 7,62 mm, po nim Michał, który jako dowódca patrolu jednocześnie będzie głównym nawigatorem, choć nawigacja w dzisiejszych czasach wydaje się prosta, wszyscy mamy GPS-y, to warto, by i mnie ktoś koordynował. Za Michałem idzie Artur, niosąc radiostację, jest odpowiedzialny za łączność. Musi być zawsze blisko Michała, dowódca podczas operacji powinien mieć możliwość nawiązania natychmiastowego kontaktu z bazą. Następnie snajperzy, którzy już sami wybierają swą kolejność, a czwórka Litwinów zamyka stawkę, do nich należy ubezpieczenie tyłu. Dwie pierwsze treningowe procedury zerwania kontaktu z przeciwnikiem napotkanym od przodu robimy na lekko. Maszeruję czujnie, dzierżąc w rękę tylko minimi, założyłem podstawowe wyposażenie, szelki z pasem nośnym, na którym mam zapasowe taśmy z amunicją i trochę sprzętu. Przeszedłem może ze sto pięćdziesiąt metrów... *front contact...* i ciągnę serią z biodra, siejąc po pustyni rozgrzanyimi pociskami, co trzeci to pocisk smugowy, który tnie powietrze jak świetlik o odrzutowym napędzie. Zwijam się do środka, dając Karolowi znak, że teraz on jest na czele stawki, zagrało nieco głośniejsze, ale i wolniej jego 7,62. Biegnę po twardej pustynnej powierzchni na sam koniec stawki, a mijając ostatniego Litwina, przejmuję od niego tył. I tak kolejno odskakujemy z miejsca kontaktu dwa cykle w tył, po tej samej drodze, z której przyszliśmy. Poszło sprawnie, każdy z nas w swojej wojskowej karierze robił to już tyle razy, że mogłaby się wkraść rutyna, ale nie. Robimy to jak zawsze na ostro, każdy biegnie z przeładowaną bronią, trzeba pamiętać, by bezpiecznik na broni wskazywał „sejf”, kunszt zaprawionego wojaka widać w chwilach, na które postronny obserwator nawet nie zwróciłby uwagi, ale my to widzimy. Wstając, członek patrolu obraca się, omiatając lufą wolny sektor, ten zewnętrzny, i szukając

przy okazji zagrożenia w innym sektorze. Gdy biegnie, nie majta mu się sprzęt, a broń trzyma w bezpieczny sposób.

Dobra, starczy tego biegania, ale najpierw trzeba trochę odsapnąć. Jest już normą, że wozimy ze sobą przenośne lodówki, a w nich zimna cola, pepsi i miła chwila odsapnięcia, trochę śmiechu dobrze wpływa na nasze zgranie się, po prostu musimy się poznać, a taka chwila wspólnego odpoczynku daje bardzo dużo. Czas zakładać na garba cały sprzęt. Dziś jest dobra pogoda na takie harce, słońce aż tak nie pali i nawet nie jest tak sucho i pyliście, choć miejsce, w które posyłamy naszą ogniową nawałnicę, robi się szarawe od podniesionego z ziemi piachu, a brązowawa zawiesina podtrzymywana ciepłym pustynnym wiatrem długo wisi w powietrzu. Patrząc na filmy akcji, zazdroszczę tym wszystkim komandosom doboru sprzętu. Gdy biegną, nic im się nie trzęsie, wszystko mają elegancko dopasowane, pędzą, robią fikołki i dalej byle do przodu, strzelając z karabinów, rzadko wymieniają pusty magazynek na ten z amunicją. Ja dopiero tak po dziesięciominutowym marszu zaczynam się czuć dobrze we wszystkim tym, co na sobie dźwigam, potem sprzęt dopasowuje się do mnie, hm, albo ja do niego, plecak przylega do pleców i ramion. Po założeniu plecaka odczuwam, jak ciąży do tyłu, przeciwwagą jest karabin, z obu stron na ramionach szczypią taśmy, choć pod nimi są wygodne (te z pasa taktycznego), to te cholery i tak się zawsze jakoś ześlizgują. Pas biodrowy ma wszytą elegancką szeroką gąbkę, ale i tak zawsze gdzieś tam obetrze biodro. Nakolannik mam założony tylko na prawe kolano, z łokciowych ochraniaczy rezygnuję, do tego opuszczone rękawy, rękawiczki, kominiarka, okulary, bojowo na maksa. Mniej więcej w takim zestawieniu sprzętowym pójdę na patrol, wszystko podopinane, buty mocno zawiązane, czuję uścisk Karola w ramię, wstaję z kolana. Poruszam się jako pierwszy i to ode mnie zależeć będzie, kiedy nastanie kontakt, pozostali z zasady mają być komendą zaskoczeni. Tym razem chcę przejść nieco dłuższy odcinek, tak by poczuć trochę ciężar, który dźwigam. Maszerując, obracam się co dziesięć kroków, zerkam na Karola i sprawdzam, czy za mną w patrolu wszystko okej. Daję znaki, by posłał je dalej, po chwili dostaję zwrotne od niego, jeżeli można rozumieć się bez słów, to właśnie w tej chwili tak jest. Po jakimś czasie w takim pieszym patrolu zaczyna być może nie nudno, ale następuje cisza, idziemy razem, dźwigając zdobycze cywilizacji, może ci od Aleksandra Wielkiego wieki temu mieli tu łatwiej, zasiadali wygodnie pomiędzy garbami wielbłąda i to on dźwigał ich dobytek. A o czym oni myśleli, kogo oni wspominali...

Głośnie dudnienie z lewej, kilka sekund ciszy... przystanąłem czujnie... kilkanaście eksplozji na przedpolu, gdzieś z pięćset, a może krócej, bo nawet trzysta metrów przed nami zagotowała się od eksplozji pustynia... Kontakt... puszczam serię, jednocześnie przyklękając, by zmniejszyć sylwetkę, ale ani na

chwile nie zdejmuję palca ze spustu, pruję powietrze... Obracam się przez lewe ramię, schodząc Karolowi z linii ognia, krótki kontakt wzrokowy i gnam na tył, nie czując ciężaru plecaka, jakby go nie było... Litwin automatycznie zwolnił tył, przekręcając się na boku tak, by być gotowym, i gdy będzie jego kolej, ostrzela przedpole, dając płynną zmianę poprzednikowi. Praktycznie przez całą pierwszą zwijkę nie milkły nasze karabiny.

Ta pierwsza zwijka poszła sprawnie, ale by wstać z ziemi na drugą, oj, mocno wyteżyłem mięśnie grzbietu i nóg, waży to cholerstwo... Biegnę już nieco wolniej, tym razem cała kolejna zmiana też już trwa nieco dłużej, nasi snajperzy (też już nie na lekko, bo z karabinkami o długich lufach mają jeszcze ciężej niż ja) ociężałe truchtają na tył stawki. Nasze serca, ich komory walą pewnie na równi z seriami karabinowymi, gnamy na przemian, byle dalej od miejsca eksplozji. Komendę „kontakt” idealnie wpasowałem z otworzeniem ognia przez naszych na pojazdach, pięknie to się zagrało. Chłopaki zrobiły przypadkowo doskonałą podgrywkę, można było się poczuć jak podczas prawdziwego zrywania kontaktu z przeciwnikiem.

Dźwigam na sobie około pięćdziesięciu kilogramów, to cholernie dużo, gdy trzeba się podnieść z pozycji leżącej. Czytając książkę Andy’ego McNaba *Brawo Two Zero*, oczyma wyobraźni dźwigałem razem z nim te jego kilogramy. Wspominał, że zabrali ze sobą jeszcze więcej gratów niż my teraz. By móc się przemieszczać, przenosili swój sprzęt na przemian z miejsca na miejsce, nie byli w stanie wszystkiego zabrać za jednym razem. Ich operacja miała trwać kilka dni, nasza przewidziana jest na nie dłużej niż dwadzieścia cztery godziny. Mamy w pobliżu suport w postaci naszych pojazdów, ale i tak swoje trzeba będzie nosić. Andy’emu i jego sekcji podczas tamtej operacji nie poszło... Pozostawili w polu sprzęt, przemieszczali się przez wiele godzin, będąc na styku z przeciwnikiem, na końcowym etapie ich patrolu każdy z nich bazował na tym, co miał pochowane po kieszeniach. Walcząc o życie, nie myślisz już o tym, co w plecaku, po prostu porzucasz graty, byle wyjść żywo z zasadzki. Czytając jego i podobne wspomnienia, myślę, że każdy żołnierz wizualizuje swoje zachowanie w podobnej sytuacji, my dodatkowo analizujemy przebieg ich patrolu, by w razie czego wybrnąć z zasadzki z lepszym skutkiem, choć to książki. Zawsze można znaleźć tam coś więcej, niż chciał napisać autor.

Ja w skrajnej sytuacji będę bazował na pasie taktycznym z szelkami, tego sprzętu się nie pozbędę, w kieszeniach na pasie mam swoje żelazne rezerwy. Karabin mam dosyć wysoko, jego pas nośny zrobiłem z taśmy od samochodowego pasa bezpieczeństwa, mogę strzelać z biodra, nie zmieniając pozycji, co pozwala mi natychmiastowo reagować na zagrożenie. Czy jest ciężko? Skłamałbym, mówiąc, że nie, ale ja to lubię, cholera, jak dobrze po takim wysiłku smakuje

komfort. Już mi się chce jechać na tę robotę, tak mi adrenalina skoczyła podczas treningu, serce wali odpowiednim rytmem, wszyscy mamy wypieki na twarzach, krew buzuje, trochę dyszymy, ale patrząc po sobie nawzajem, czuć siłę, czuć, że się rozumiemy. Zbieramy się stąd zadowoleni z dobrze spędzonego dnia.

Oceniam to w kategoriach cudu, bo na cztery godziny przed rozpoczęciem operacji dostaliśmy informację o przydzieleniu nam na czas przerzutu śmigłowca. Poczuliśmy, że nie tylko nam zależy na tej operacji, wskakujemy na inny poziom. Nic się przepakowywać nie muszę, tylko stopery w uszy i naprzód. Jeszcze przed zmrokiem jedziemy na lotnisko, by czasem nie spóźnić się na lot. Lekko się ściemniło, a zapach nafty lotniczej przypomniiał mi irackie czasy. W Iraku przerzut śmigłowcem traktowaliśmy jak przejażdżkę taksówką, nie pamiętam, by kiedykolwiek brakowało dla nas tego środka transportu, teraz, gdy jesteśmy samodzielnym polskim TF, jest to wyróżnienie, a nie norma, by wspomóc sojusznika. Na co dzień można poczuć się tu tak, że się na siłę komuś w dupsko pchamy. Sami jako TF poza podstawowym wyposażeniem i umiejętnościami mamy siebie, no, ale Polak potrafi, gdy trzeba spełnić czyjeś tam aspiracje i stać się globalnym graczem. Mając przy sobie Litwę, powalczymy kolejny raz tak, by znowu zadziwić świat.

Kilkadziesiąt minut lotu minęło mi jak zawsze na drzemce i rozmyślaniu, miękko lądujemy, przez wysuniętą tylną rampę opuszczamy śmigłowiec, by zderzyć się ze ścianą kurzu, robię kilkanaście kroków po omacku: ciemno, kurz, głośno, wałą we mnie podmuchy gorącego powietrza z piachem i kamykami... przyklekam, nie wiem, kto szedł za mną, ale czuję czyjaś bliskość, nie jestem sam. Wirniki mocniej zapracowały, oddycham, wciągając wraz z powietrzem ten pieprzony afgański pył, śmigło odleciało i nagle nastąpiła kompletna cisza, no nie całkiem, bo ktoś zupełnie nietaktownie pluje i smarka, pewnie zaciągnął piachu po oskrzela. Nasz desant nie trwał dłużej niż trzydzieści sekund, dwiema stronami rampy dwuwirnikowego chinooka, wyjście w czternaście osób to krótka chwila. Cisza i tylko chmura kurzu, a w niej my; mam załączony noktowizor, ale poza zielonym światłem nic a nic w nim nie widzę. Słyszę szept: „Naval, to ty?”. Już po oddechu poznałem, że to Michał. Rzucam krótkie: „tak, tak, gotów”. Umówiliśmy się przed wylotem z pilotami, że jak będzie możliwość, to usiądą rampą w kierunku zachodnim, a my zaraz po przyziemieniu momentalnie odskoczymy, idąc na zachód, by zmylić nasz główny kierunek marszu, a dopiero po dziesięciu minutach zrobimy przerwę i określimy nasz prawdziwy kurs.

Wstałem i odszedłem kilkanaście metrów na kierunku tak, by trzymać to, co pilot określił lądowaniem. Zerowa widoczność, cisza, przyklekam, czekając, tak jak to założyliśmy, i to mnie mają odnaleźć pozostali, klękając za mną, dają kolejno znać, że są gotowi do marszu. Czuję, jak do mnie przykleja się Karol, i nawet nie

pyta, czy to ja, myślę, że znamy się po kształtach ramion, rytmie oddechu i wiem, że to on, to po prostu czuć. Szept: „Kurwa, ale ciemno” potwierdza, że to Karol. Szybciej, niż się spodziewał, czuję uścisk jego dłoni, to znaczy, że do klęczących dołączył ostatni z patrolu i płynnie po kolei wszyscy odliczyli, bo końcowy uścisk trafił na moje ramię. Powoli wstaję, łapiąc w płuca już nieco czystsze powietrze, staram się zapamiętać jakiś charakterystyczny punkt na horyzoncie i iść w linii prostej na jego kierunku. Nie jest to łatwa sprawa, człowiek jednak mimowolnie chce wiedzieć, na co stąpa, nawet jak jest ciemno. Myśl o zagrożeniu minowym już dawno odrzuciłem, jeżeli nie masz na coś wpływu, to nie ma co roztrząsać sprawy; zresztą rozpoznanie doniosło, że w tym rejonie aktywność wojsk radzieckich była znikoma, a tam, gdzie Ruskich nie było, po prostu nie ma min. Naprzód. Adrenalina ma cudowną moc, nie czuję plecaka, i tak sobie założyłem, że jak zaczną mnie wkurzać pasy nośne, to znaczy, że minęło dziesięć minut, wylądowaliśmy dokładnie za dziesięć dwudziesta druga, mamy iść dziesięć minut. Idę, obracając się co chwilę do tyłu, i widzę nie dalej jak cztery sylwetki w tył. Ogarnia nas mrok. Noktowizor, jaki by nie był, to gdy nie ma skąd pobrać odbitego światła, nie pomoże. Mamy w nim możliwość przełączenia się na światło aktywne w podczerwieni i przyświecenia sobie, ale jeśli ktoś w okolicy też ma noktowizor, to tak jakbym zapalił w jego stronę reflektor.

Zaczyna uwierać mnie w kark taśma od minimi, to już? Czy jeszcze chwilę pomaszerujemy? Wiem, że jak ćwiczę i czegoś nie zrobię, bo się pomylę, to robię dodatkową serię, no bo jak oszukam na liczbie podciągnięć na drążku, to siebie. Tak i teraz jeszcze kilka kroków i dopiero schodzę na kolano, dając znak, że robimy obronę okrężną. Karol wychodzi naprzód, tak jak to ustaliliśmy, wyciągam koc maskujący, pod którym ląduję razem z Michałem i Arturem. „No to jesteśmy, panowie”, wita się melodyjnie Michał. Patrząc na zegarek: dwudziesta druga trzynaście. Tu pod kocem już możemy zerknąć na zegarki i GPS-y. Dublujemy nawigację, mam też busołą, ale bliskość broni zakłóca wskazówkę wskazującą północ, dwa GPS-y pokazują nam kierunek południowy i 6,7 kilometra do celu. Dajemy sobie pięć minut na odsapnięcie i dopasowanie sprzętu. Czemu tak jest, że na treningu mało co mnie wkurza, a teraz dopiero co wylądowaliśmy, a już mam pomysł na przerobienie pasa nośnego w minimi i jakoś do tej pory niesłyszalne skrzypienia karabińczyka ocierającego się o mocowanie w broni dają znać, że jest i skrzypiec nie przestanie. Śmieję się sam do siebie, że na robocie zmysły się wyostrajają i to, co na treningu nie przeszkadza, teraz zakrawa na brak profesjonalizmu. Kierunek wyznaczony, nie ma marudzenia, ruszam i to dość dużym tempem, tak też postanowiliśmy, że jak jest płasko i można przycisnąć, to idziemy marszem, takim zwykłym bez skradania się, naprzód. Pod stopami czuję raczej twarde podłoże, czasami tylko zahaczę o jakiś krzak, ale w sumie jakbym

szedł po płycie lotniska, zerkam w tył, jest Karol i to tak blisko, jakby siedział mi na karku i wymuszał, bym szedł nieco szybciej, no dobra, wydłużam krok, odwracam się po chwili i widzę ruch ręką do ziemi – to znak, bym zwolnił. Przystaję i szeptem pytam, o co chodzi. „Nie idź tak szybko, ja chcę iść blisko ciebie, bo jest tak ciemno, że się obawiam, że mi zaraz gdzieś znikniesz”. No tak, ciemno mają wszyscy, nie tylko ja. Ja, idąc, łapię punkt na horyzoncie, gdzieś w oddali jakiś zarys góry, i trzymając się tego widoku, nas prowadzę. Zawsze tak jest podczas wspólnego maszerowania, że ci w środku i z tyłu nie mają takiego komfortu tempa jak przód, oni muszą to przyśpieszyć, to zwolnić. Ale tak już jest, że to tych ostatnich gryzą psy, więc muszę o nich pamiętać, stanowimy jedną pakę.

Zarys góry, na którą obrałem kierunek, dziwnie zaczął się nagle powiększać, widzę na czarnym niebie jeszcze czarniejsze kontury zbocza, pod nogami już nie mam twardego podłoża, za to co chwilę kopię w jakiś kamień i stąпам po piaszczystej muldzie. Myślę, że nasz marsz trwa już koło godziny; przyklękam, wskazując, że potrzebny mi Michał do wspólnego sprawdzenia naszej lokalizacji. Znow łądujemy pod kocem. Patrę na GPS, no i mamy niezłe tempo, w pięćdziesiąt minut przeszliśmy 4,3 km, do celu pozostało 2,4 km, z tego 1,5 km po płaskim, potem ostro w górę. Dajemy sobie dziesięć minut na odsapnięcie, osobiście już chcę być na tej górze, dziwnie mi na takiej otwartej przestrzeni. Jest tak cicho, że aż niepokojąco, stoimy na lądzie, ale mam jakieś déjà vu związane z działaniami w Zatoce Perskiej, tam też się zdarzały tak ciemne i ciche noce; z tą różnicą, że tam bujało, a tu ja sam się bujam, idąc. Dziesięć minut odpoczynku jakoś zawsze szybciej zlatuje niż dziesięć minut marszu, ale i ten mi przeleciał. Strome zbocze jakby mi wyrosło wprost przed lufą karabinu, aż nietaktycznie zeszliśmy się do kupy i patrzymy trochę z niedowierzaniem, zastanawiając się, jak my tam wleziemy.

Jakoś trzeba zacząć, idę wzdłuż podnóża, trochę trawersując, ale to nie jest takie proste. Tutejsze góry mają konsystencję jakby z pumeksu, ostre i nieprzyjemne w dotyku skały, w kilku miejscach muszę się oprzeć na kolanie i to też na tym, na którym nie mam ochraniacza; czuję, jak przez materiał wbija mi się w kolano szorstka skała. Idziemy to za dużo powiedziane, raczej się wspinamy, każdy ma swój krzyż w trakcie zdobywania tego zbocza, jak patrę na naszych snajperów dźwigających długie lufy w postaci karabinów o kalibrze 12,7 mm przytwierdzonych do plecaków, do tego trzymając w dłoni karabinek M4 – to wcale nie mi jest najciężej.



Cichy poranek nie zawsze zwiastuje cichy dzień

Afgańskie góry nie tylko wyglądają groźnie, ale i takie są. Wspinamy się pomiędzy jałowymi głazami, zbocza porośnięte są cierniowymi krzakami i cholernie ostrymi chwastami, czego się nie złapiesz, natkniesz się na nastroszone kolcami badyle. Teren jest taki, że najchętniej to bym się gramolił do góry na czworaka, nie mam pomysłu, którą wybrać drogę, zresztą widoczność... raczej poruszam się po omacku na zasadzie rozpoznania bojem. W górach zazwyczaj jest tak, że droga na szczyt wcale nie prowadzi na wprost, tylko trzeba kluczyć, ale jak tu kluczyć, gdy nic nie widzę, do tego noktowizor przekłamuje odległość od gruntu i potykam się jak ciamajda, niezgrabnie stawiając kroki. Czuję się dosłownie jak w dżungli. Tylko że tym razem nie chce mnie puścić do przodu kolejny głaz, a nie poszycie zieleni. Z tą zieloną barierą w Belize radziłem sobie za pomocą maczety, tu, kurwa, na razie nie mam jak sobie poradzić, drabina by się przydała. Przesuwam się w prawo, gdzie natrafiam na uskok skalny, no dobra, wracam i może w lewo, zerkam do tyłu, a raczej w dół, tuptam, szukając kolejnych metrów do przejścia, reszta patrolu przeskakuje z nogi na nogę, czekając na mój kolejny krok. Pamiętacie komedię *Seksmisja*? W pewnym momencie z niemocy szpetnie zakląłem, a jak wiadomo, soczyste przekleństwo to słowo klucz. Skały się rozstały, otwierając przede mną ścieżkę. Wlazłem za kolejny skalny nawis, a tam za nim wąski, regularny, prawdopodobnie wydeptany przez zwierzęta przesmyk

wijący się w górę pomiędzy skałami. Wciągamy Karola, idę kilkanaście metrów, klucząc pomiędzy kamieniami ku górze, nie jest to prosty odcinek, ale wreszcie się przemieszczamy. Zerkam na zegarek – jest tuż po północy, na niebie pojawiają się gwiazdy i zaczyna być nieco jaśniej, posuwamy się bardzo powoli, wzmógł się lekki wiatr, co pewnie oznacza, że znajdujemy się już na znacznej wysokości. Nie mam możliwości ocenienia, jak wysoko jesteśmy, ale ile by nie było pod nami metrów, to upadek w takim terenie nie wróży nic dobrego, a TOPR po nas nie przyleci, choć to oni uczyli nas, jak chodzić po górach.

Miało to miejsce jeszcze w 2001 roku, instruktorzy z TOPR pomagali w naszym przygotowaniu się na afgańskie wojaże, wtedy nie miałem pojęcia, że najpierw powojuję w Zatoce Perskiej, potem spędzę sporo czasu w Iraku, zdomawiając się w Camp Pozzi, gdzie na wspólnych robotach z Navy SEALs oszlifujemy nasze wojskowe rzemiosło. Nie żebym wszystko ze szkolenia w Tatrach zapamiętał, ale takiej lekcji jak ta teraz to w naszych polskich górach nie dostaliśmy. Czuję, że nie tylko spodnie, ale i rękawiczki mam już dziurawe, czego się nie dotknę, zahaczam o szorstką powierzchnię, do tego rośnie tu jakieś kłujące zielsko, słychać, jak nogawki spodni ocierają się o coś na kształt cierni. Dyscyplina światła jest, i owszem, ale bez soczystego „kurwa” to byśmy na wierzchołek tej grani za cholerę nie wleźli.

Ciążą mi coraz bardziej te moje taśmy z ponad tysiącem sztuk amunicji, trzy granaty bojowe, sześć litrów wody, no, już pięć, racje żywnościowe na dwie pełne doby, koc maskujący, kurtka, podstawowy sprzęt survivalowy. W takiej chwili to już tradycja, że rozliczam się z zabranych kilogramów, raczej wszystko potrzebne, no i karabin waży, na każdą skałę najpierw on, potem ja, i tak metr po metrze ku górze. Jak znam życie, to teraz wszyscy mnie obarczają, że wybrałem tak chujową drogę na szczyt. Na kogoś tę górę trzeba przecież zwalić, wtedy już lżej się idzie. Zalałem się potem, ale i jest światełko w tunelu, wypłaszczyło się, idę kilka metrów i czekam na Karola. Jest i on, zasapany, ale ma na tyle siły, by przywitać mnie przyjacielskim „kurwa” wypowiedzianym jednym tchem, jest i Michał, też sobie ulżył „kurwa”, no i tak po kolei leci... Litwini po wejściu pewnie wypowiedzieli swoje ulubione słowo. Leje się ze mnie pot, jest gorąco, zerkam na zegarek, jest tuż przed drugą w nocy, no to jesteśmy prawie na miejscu, teraz pozostało przejść na drugą stronę wzdłuż grzbietu i pierwszą część operacji mamy odhaczoną. Szczypią mnie kolana, ale to jeszcze nie czas na lizanie ran. Naprzód. Wierzyć mi się nie chce, że na tej, wydawałoby się, zapomnianej górze, pomiędzy jej ostrymi krawędziami będzie wiła się ścieżka. Jest trochę więcej światła i przez noktowizję mam naprawdę ciekawe widoki. Posuwam się dosyć pewnie i tak w krótkim czasie doszliśmy do trzech czwartych długości góry, która okazała się przecięta stromym uskokiem, czego na zdjęciach satelitarnych nie widzieliśmy.

Zaraz, zaraz, jak jest ścieżka, to ktoś nią chodzi – włos na głowie mi się jeży i strome zbocze już nie jest mym zmartwieniem, tylko wypatruję za każdym załomem i pomiędzy skałami, czy czasem na kogoś, zapewne śpiącego, nie wlezę. Stop, i to stop na całego, dosłownie jak nożem ucięta grań i nie ma możliwości dalszego przejścia. Idę lekko w lewo, ale tam ostry szczyt, a za nim otchłań, pośrodku wielki głaz z wąską szczeliną i nie ma jak się przecisnąć, wracam do punktu wyjścia. Siadam z Michałem pod kocem i zerkamy, co pokaże GPS. Znajdujemy się na trzech czwartych grani, czyli jeszcze kawałek, jakieś sto pięćdziesiąt metrów w linii prostej pozostało nam do wyznaczonego na mapie punktu, ale nie potrafię znaleźć przejścia dalej. Michał, jako dowódca patrolu, podejmuje jedyną słuszną decyzję, by w tym miejscu każdy rozłożył się tak, jak może i gdzie może. Serio to nie ma nas jak podejść: od przodu przepaść, po bokach też przepaść. Prosty schemat ubezpieczenia, my przód i środek, a Litwini – co się da z boku i oczywiście tył jest ich. Obrona okrężna jak się patrzy, czuwamy na zmiany, a kto może, śpi. Nadal jest ciemno jak w afgańskiej chacie. Jedynym dogodnym miejscem, by odpocząć w pozycji półsiedzącej, jest skała, taka płaska równa jak stół stoi w miejscu, w którym się zatrzymałem, muszę przejść przez metrowej wysokości ściankę skalną. Dołącza tam do mnie Karol, kręcimy się, szukając jakiejś dobrej pozycji, by oprzeć się o siebie, w tyłek twardo, ale nogi mogą się wyprostować, więc mają odpoczynek, zamiast spać, rozmyślam...

Tak naprawdę podejść nas można tylko od tyłu, ale kto by tu laźł. A może łażą... Plecaki zostawiliśmy po drugiej stronie, czuję się z tym niekomfortowo. Zaczepiłem sznurek, po chwili czujemy się pewnie i leżymy wtuleni w nasze karabiny, przykryci kocem maskującym, nastaje cisza. Zasypiam bez rozkazu, lata szkoleń nie poszły na marne, jak jest chwila na odpoczynek, to zasypiam nawet na stojąco, spocznij.

Byłem tak zmęczony, że nawet nie poczułem nadchodzącego zimna, rozgrzane ciało i spływający po plecach pot były nawet przyjemnym chwilowym doznaniem, tak zapamiętałem zasypianie. Ale zimno pamiętało o mnie, obudziło mnie o samym świcie jeszcze przed wyznaczonym czasem na moją porę czuwania. Otwieram oczy i co jest, gdzie ja, kuźwa, jestem? Pizga strasznie, jestem skostniały, a na wprost mnie jak przez mgłę widzę, mrużąc oczy, światłość, ale nie raj ani tym bardziej piekło, bo pizga. Gdzie ja, kurde, jestem? Ciało mi drży i próbuje poskładać wszystko do kupy, chyba mam coś z głową, mózg mi zgęstniał jak zimową porą kwas w samochodowym akumulatorze... Otwieram szerzej oczy, wzrok zaczyna przyzwyczajając się do ostrego światła i co widzę: na wprost mnie górskie pasmo mieniące się jaskrawymi kolorami, aż pali. Jestem przyklejony do podłoża góry, z której jak płaska skalna półka wystaje to coś, na czym leżę, a poza krawędzią ciągnie się szarawa przestrzeń. Doskwiera mi dziwny ból, taki połączony

z zimnem, najbardziej w prawą dłoń, która przy okazji mi ścierpła, odrętwiały mam bok, ten, na którym leżę, i oba kolana. Zbocze grani, na której leżę, jest w cieniu, kogoś czuję za sobą, już kumam, gdzie jestem i co tu robię. Jesteśmy tu wystawieni jak na patelni, tyle że słońce smaży z drugiej strony, my jesteśmy po zacienionej stronie. Ale jeśli ktoś obserwowałby nas z sąsiedniej góry, bylibyśmy wystawieni na pewnie celny strzał, tylko cień nas kamufluje.

Sąsiednia góra oddalona jest od nas o jakieś sto pięćdziesiąt metrów, nie więcej, a oddziela nas od niej szarawa dolina. Widok ściany przeciwległej góry jest niezmiernie, fantazja takich kolorów i widoku nie namaluje, chyba tylko kosmiczny Mars do tej pory dawał takie feeerie barw, a tu mnogość właśnie tak intensywnych kolorów, a ja mam to coś naprzeciwko siebie. Tam, gdzie padają promienie słońca, zbocze wręcz płonie jaskrawoczerwonymi, pomarańczowymi, rdzawymi i żółtymi barwami, kamienna ściana góry jest zaś czymś niezmiernie, nie płaskim lustrem, tylko poszarpanym zboczem, więc promienie słońca odbijają się od powierzchni i zmieniają jej kolor wraz ze zmianą kąta padania.

Zmarzłem, skostniałem, ale oddycham i wraca poczucie obowiązku, choć obraz kłócił się z tym, co odczuwałem: ja tu marznę, a na wprost mnie roztacza się żar padający z nieba... Łapię za zimną lufę minimi, koc pokryty szronem i zeszywniał, Karol nadal śpi, jestem skostniały aż piecze, ale nie ma na co czekać i jak poparzony, przynajmniej tak mi się zdaje, szturcham, budząc Karola. Słyszę leniwe z niezadowolenia mruczenie i pewnie chciałby, bym mu dał spokój. Karol podobnie jak ja musi dojść do siebie przez jakąś chwilę. „Kurwa, co to, gdzie my jesteśmy...? Spierdalamy...”. Czy tak w wojsku wydaje się polecenia – nie, ale w naszym wojskowym żargonie tak, nie znam innych słów, które są w stanie nadać zeszywniałemu ciału motywacji do ruchu, tak jak wiązanka przekleństw. Taktyczne zachowanie nakazuje, by naśladować kocie ruchy, przejść na drugą stronę skał, schodząc z widoku, i nie zostać przyłapanym na tej półce, ale to nie przeciwnik stanowi w tej chwili dla nas śmiertelne zagrożenie. Po przejściu przez skałę do szczeliny z plecakami, patrzę, gdzie spędziliśmy noc, i nie wierzę, że nie zjebaliśmy się z tej skały w cholerę, pewnie to zeszywnienie spowodowane przymarzeniem nie pozwoliło mi się przekręcić na bok. Plastry chemiczne są tam, gdzie je włożyłem, uff, rozgryzam folię, bo zmarzniętych dłoni wręcz nie czuję, trudno poruszać mi palcami, jeden plaster przyklejam na klatę, dokładnie na splot, drugi pod pachę razem z dłonią, ogrzewam raz jedną, raz drugą, na zmianę go przekładam i ruszam palcami, czekając na powrót krążenia. Po chwili odwiedza nas Michał z przyjaznym: „ja pierdołę, ale zimno...”. „Zimno... popatrz, gdzie spaliśmy...” – można zapomnieć o zimnie na myśl o tym, jak przedwcześnie mógł się skończyć nasz patrol. Wystawiam twarz do słońca, żaden ogrzewacz nie może się równać z jego promieniowaniem, temperatura szybko rośnie, a wraz z nią

morale. Pomiedzy skałami szybko zaczynamy się organizować, czyli rozstawienie kuchni polowej jest priorytetem. Choć wczesna pora, to nastał jasny dzień, nie ma jak w tych szczelinach nas wypatrzeć, jedyne co może nas zdradzić, to mlaskanie, a raczej zapach racji żywnościowych, które dzięki magicznym podgrzewaczom z karbidu dają ciepły posiłek. Kurde, zawsze w takiej chwili myślę o naszych polskich puszkach z mieloną. Zimna tłusta konserwa, czy lato, czy zima, jeden smak, jedna konsystencja, ale my dajemy radę, nie to co inne armie, te dbające, by żołnierz miał ciepłą strawę. Mózg wrócił do normy, bo zacząłem filozofować, oblizując wargi po ciepłym risotto. Jesteśmy rozciągnięci w linii na dobrych trzydziestu metrach i jedyna droga, jaką możemy się normalnie poruszać, to ta, którą przysłaliśmy, takie wieści przyniósł Michał, który obszedł wszystkich nas jak wzorowy dowódca. Sprawdzam na GPS naszą pozycję i jesteśmy w trzech czwartych tej sześciusetmetrowej grani. Artur nawiązał kontakt z bazą i podał nasze położenie, czyli my na miejscu i wieje nuda.



„Na szczyt, na szczyt, przez krew, przez ból, przez łzy” – tak śpiewa zespół DiAnti i tak właśnie było w naszej robocie

Nasze położenie operacji nie daje obecnie nic. Nie widzimy zakładanego rejonu, w którym można byłoby się spodziewać talibów, do tego miejsca brakuje

nam około stu pięćdziesięciu metrów i dzieli nas przepaść lub przewyższenie, na które nie ma jak się dostać, obserwujemy to, co się da, wokoło nas.

Śmiały zwycięża czy jakoś tak... Człowiek najedzony, ciepło, chętny do roboty, ta cisza zaczyna dokuczać, na zmianę przysypiamy z Karolem po kilkanaście minut. Obserwacja polega na gapieniu się na przeciwległe skalne osuwisko, już się tak nie mieni jak o poranku. Dostajemy info od chłopaków z patrolu kołowego, że są w rejonie, stąd ich nie widzimy, ale są i co najważniejsze, dotarli w rejon bez przygód. Niby ich siła, ale trasa, którą musieli przebyć tak dużą kolumną, też do najbezpieczniejszych nie należy, zresztą mamy z nimi wracać, więc może się dziać w drodze powrotnej.

Powiedzenie „nie spać, zwiedzać” nie wzięło się znikąd. Ja nie wytrzymam takiego tuptania w miejscu, tym bardziej że nie ma nawet jak całej stopy płasko postawić, taki ścisk pomiędzy kamieniami, więc dumam, co tu począć. Podzieliłem się z Karolem moim pomysłem o zaryzykowaniu i zmianie naszej pozycji. Ten przytaknął, że może to mieć sens, idę z pomysłem do Michała. „Michale, dupa, stąd nic nie widać, sam widzisz, a może bym się tak opuścił po skałach w dół, Karol będzie mnie cały czas obserwował, jest jasno, może nie przeskoczę jak kozica, ale myślę, że potrafię zejść. Potem postaram się znaleźć drogę i przedostać się na drugą stronę grzbietu”. Michał zerka i myśli, wiem, że zna mnie i moją gorącą głowę bardzo dobrze, ale też zna moje możliwości. Kurwa, no dobrze, jeszcze nie werdykt, ale pomysł go zaciekawił: jak to chcę zrobić? „Idę na lekko, tylko taktyczne szelki z pasem, radiostacja i minimi. Opuszczę się tu po skałach w dół, snajpy po prawej będą mnie widzieć, jak schodzę po skałach, potem wejdę w sektor Karola, zresztą stamtąd widać podejście na drugą stronę, tam wejdę, skradając się, i zerknę, co i jak z tamtej strony, czyli dojdziemy w rzeczywistości tam, gdzie zakładaliśmy, że będziemy mieć bazę”.

Bycie dowódcą to nie wyższy stopień, rozkazywanie, nadzorowanie i splendor... Odpowiedzialność i szukanie najlepszego z możliwych rozwiązań oraz podejmowanie decyzji, to się liczy, a nie pagony. Michał więc myśli... дума... czyli trwa analiza gry strategicznej oficera o specjalności inżynier pola walki, wykształconego we wrocławskiej kuźni talentów, ale już takiego po przemianie mentalnej w GROM-ie. Czekam... „Kurwa... Naval...” – tak brzmi odpowiedź, którą rozszyfrowuję jako aprobatę dla mojego pomysłu. „Ale wiesz...” – „No wiem...”. „Masz być cały czas na radiu, rozkaz...”, czy jakoś tak. No to do dzieła, napełniłem manierkę, zabieram lornetkę, GPS, a do pasa nośnego z minimi podpinam linkę z karabińczykiem, postaram się broń opuścić, by nie ciążyła podczas opuszczania się po skałach. Naprzód, naprzód, naprzód, ale nie jakoś spektakularnie, tylko przełazę przez skały i zsuwam się w dół, trąc brzuchem po szorstkim kamieniu. Ma to też swoją zaletę, dzięki temu nawet w rękawiczkach

czuję pewny chwyt, łapiąc za skalne występy. Zejście w dół poszło mi prościej, niż myślałem, tak, jest tu prawie pionowo, ale podłoże stabilne. Pamiętam, aby zawsze mieć pewne trzy punkty podparcia. Piętnaście metrów i jestem w niecce, z której mogę zacząć przechodzić na drugą stronę. Kontakt wzrokowy ze snajpami, zerkają na mnie spod siatki maskującej i gdybym nie wiedział, że tam jest ich stanowisko, nigdy bym ich nie wypatrzył. Po chwili w słuchawce radiostacji odzywa się Karol, że mnie już widzi. Idę dosyć pewnie, na ziemi mnóstwo kozich bobków, więc jest tu życie, zatem czujność na maksa, są kozy, może być i pasterz. Na szczyt grani wchodzę przyczajony, czyszcząc sobie sektory bardzo uważnie, blisko, daleko, z lewa na prawo, wszystko moje, każda anomalia, ale nie ma... Odzywa się Karol, że zniknąłem mu z pola widzenia, naciskam tylko tangente radiostacji... Mam kontrolę, tak to czuję, nikogo nie ma, jestem sam i jest to według mnie idealne miejsce. Ale jak jest idealne dla nas, to i wcześniej mogło być idealne dla przeciwnika. „Karol, jest okej” – odbiór. Po „wspinacze” w dół tu da się normalnie wejść, tyle że nie tak jak u nas, tu zbytnio nie ma się gdzie schować. Słyszę przyjacielskie „Ostrożnie, Naval...” – odbiór. Wszedłem i jest tak, jak to sobie wymyśliłem. Koniec grzbietu to odkryte pustkowia i porzucane głązy, nawet płasko w porównaniu z tamtą stroną. W wojsku podstawową umiejętnością szkolenia z zielonej taktyki jest czołganie się, ja zszedłem na czworaka tak jak w przedszkolu. Nic mnie nie osłabia i by podejść do skraju na tę wschodnią stronę, muszę się gramolić na kolanach. Kamienie, cierniowe gałązki, kozie bobki, jakieś rozłożyste chwasty, z tym walczę, a nie z talibami, jeden nakolannik to był błąd i bardziej sprawdziłyby się rękawice, które mam do zjazdu na linie z kewlarem, niż te delikatne strzeleckie. Podnoszę głowę, leżąc pomiędzy dwoma sporej wielkości kamykami, tu będzie mój punkt obserwacyjny i widzę to tak.

– Michał, tu Naval. Odbiór.

– Tu Michał.

– Ze wschodu, na azymucie osiemdziesiąt siedem rozstawieni w RON-ie nasi, widać ich doskonale, są około tysiąc pięćset metrów od nas. Odbiór.

– Michał, odebrano.

– Na południu szeroka otwarta przestrzeń zamknięta wałem, teren pofałdowany, usłany kamieniami, ciągnie się do azymutu sto dziewięćdziesiąt. Odbiór.

– Odebrano.

– Od sto dziewięćdziesiątego stopnia bliźniacza do naszej góra to ta, z którą sąsiadujemy, u jej podłoża regularny szeroki rów, a raczej wąwóz dzielący górę od wypłaszczenia, w połowie około czterystu metrów od mojej pozycji jama, no może nawet jaskinia, bo wpada w głąb cień. Odbiór.

– Odebrałem.

– Moja pozycja, odczyt z GPS to... teren wokół mnie odkryty, ale mnóstwo skał. Jest się za co skryć, są też rozpadliny po zachodniej stronie, raczej nie ma możliwości, by dalej podejść, tam już pewnie jest przepaść i z tego co widzę, choć do krawędzi nie podszedłem, nie ma szans, by ktoś się tu wspiał. Pomiędzy naszą górą a sąsiednią przełęcz, u jej podstawy nie szersza jak na sto metrów. Tę przełęcz mają pod kontrolą snajperzy, ja ją widzę z innej perspektywy, będąc tu, jesteśmy w domu, mamy kontrolę nad wskazanym przez Litwinów obszarem. Odbiór.

– Odebrano. Czy jest tam na tyle miejsca, byśmy się tam wszyscy przenieśli? Odbiór.

– Nie, ja sam nie mam się tu zbyt jak ukryć, leżę pomiędzy dwoma kamykami, trzy, no może cztery osoby ujdą, ale jak zalegniemy kupą to słabo. Odbiór.

Staram się zbyt nie ruszać, tak jak się położyłem, leżę, wydaje mi się, że idealnie wkomponowałem się w otoczenie, jest trzynasta siedemnaście. Z tego miejsca widzę wszystko to, co chcieliśmy osiągnąć i mieć pod kontrolą. Przez lornetkę skanuję teren, starając się wypatrzeć jakieś umocnienia lub stanowiska, no i ruch, ale cisza. Jedyne widoki godne uwagi to rozstawione dumnie nasze chorągwie. Samochody mają oczywiście pustynny kamuflaż, ale i tak ich ostre kontury są dobrze widoczne na kamienistej pustyni, majestatyczny widok smagany rozgrzanym słońcem tworzy miraż nowoczesnej armii w pierwotnym terenie.

– Naval, tu Michał. Odbiór.

– Tu Naval. Odbiór.

– Jest zgoda, byś tam został przez jakiś czas, a jak się nic nie będzie dziać, to dam ci znać, byś wracał. Odbiór.

– Odebrałem.

Leżę, słońce przyjemnie pali, jest okej, wiaterek daje efekt morskiej bryzy. Myślę o talibach, a konkretnie o ich obserwatorach, tych, których często słyszymy w eterze, ale z rzadka można któregoś z nich wypatrzeć. Dziś wierzę, że odwróciliśmy te role i to my na nich zerknijemy z góry. Minęła godzina, co piętnaście minut standardowe sprawdzenie łączności na znak życia. Odbiór – odbiór. W głowie zaczynam obstawiać, że ziszczył się scenariusz, który zakładał... Widząc nasze siły, talibowie sobie odpuszczają, no ja bym odpuścił na widok zgromadzonych wojsk koronnych. To, co do tej pory pokazaliśmy, zero-jedynkowe podejście do próby atakowania nas, pewnie uświadomiło im, że poza nami na ziemi, gdzieś tam w przestworzach jest i krąży lotnictwo, że my nie wycofujemy się, a podtrzymując kontakt ogniowy, idziemy za przeciwnikiem. Więc to moje leżenie tu może się okazać „tylko” zdobyciem doświadczenia, jakim jest pieszy patrol w rejonie niekontrolowanym przez siły koalicji, i wspólne działanie z Litwinami, a to już dużo. Ciekaw jestem, i to tak szczerze, kiedy to ostatni raz

nasze narody wspólnie działały, walcząc ramię w ramię? Pewnie podczas powstania styczniowego w 1863 roku, dawno temu. I tak jak się podczas obserwacji człowiek zamyśli, to podobnie jak na warcie czas szybciej leci. Minęło kolejne pół godziny, leżę nieruchomo i już mi niewygodnie, żebra zaczynają mi się odciskać na twardej skale. Ale coś jednak się stało, w oddali widzę kłębek kurzu mieniący się w rozgrzanym słońcem mirażu, tworzy się on na kierunku wspomianej wioski.

– Michał, tu Naval. Odbiór.

– Tu Michał, melduj. Odbiór.

– Azymut sto siedemdziesiąt pięć, na naszym kierunku poruszają się trzy motorki, wzbijając w powietrze tuman kurzu. Odbiór.

– Michał, tu Naval, już nie trzy, bo za nimi jadą kolejne i jest ich sporo, bo i kurzu od cholery. Odbiór.

– Naval, tu Michał, przełącz częstotliwość na chłopaków z patrolu i nadawaj komunikaty o sytuacji bezpośrednio do nich, a my w trójkę, ja, Artur i Karol, spróbujemy dojść do ciebie. Bez odbioru.

– Tu Naval, odebrałem. Bez odbioru.

Zmieniam częstotliwość i tak jak się nudziłem, tak teraz rąk mi brakuje. Moja frontalna pozycja zaczyna mi wyglądać na niezbyt ufortyfikowane miejsce i chętnie bym się okopał, tak jak mnie w Lublińcu nauczono, ale nie mam saperki, a tu kilof by się przydał, leżę na ziemi o strukturze skały. Zmieniłem częstotliwość w radiostacji, kanał szósty...

– Alfa, Alfa, tu Naval. Odbiór.

– Naval, tu Alfa, słyszę cię na trzy, co masz dla nas. Odbiór.

– Alfa, tu Naval, słyszę na cztery. Odbiór. Z kierunku południowego, azymut sto siedemdziesiąt pięć na naszym kierunku, jadą motorki, nie mogę ustalić, ile ich jest, bo są w kłębie kurzu, ale jest ich nie mniej niż dziesięć. Odbiór.

– Tu Alfa, melduj na bieżąco o sytuacji. Odbiór.

– Naval, odbiór.

Muszę to sobie wszystko szybko w głowie poukładać i przygotować się na przyście chłopaków, a i na scenariusz, jak do mnie nie dotrą. Tak jak leżę, jest okej i nikt nie powinien mnie tu z dołu wypatrzeć, snajper trzyma podejście od tyłu, a innej możliwości wejścia tu nie zobaczyłem, dopóki nie zostanę wykryty lub sam się nie uaktywnię, powinno być w porządku. A jak przyjdzie Michał z chłopakami, to... Karol powinien zająć miejsce po prawej, gdzieś tam pomiędzy szczelinami, tak by nasze dwa karabiny dały ogień choć trochę krzyżowy, Michał blisko mnie, a Artur lekko za nami, jako operator łącznościowiec będzie mógł na bieżąco nadawać to, co my zobaczymy. Tak, to Michał jest dowódcą, ale będąc tu na miejscu, to ja rozdaję karty, ja znam to miejsce, ode mnie zależy wyznaczenie

pozycji dla tych, którzy przyjdą, by mnie wspomóc. Obserwuję, co się dzieje na przedpolu, bo po podjechaniu motorków do wału straciłem je i pasażerów z oczu.

– Naval, tu Alfa. Odbiór.

– Naval. Odbiór.

– Chomik odmówił posłuszeństwa, więc dron nie pójdzie w górę, jesteście naszymi oczyma, zostań na pozycji i melduj.

– Naval. Odbiór.

– Tu Alfa. W jakim czasie Michał z chłopakami może do ciebie dotrzeć? Odbiór.

– Naval. Ja tu się wspinałem dobre czterdzieści minut, ale oni mogą iść mniej taktycznie, więc jakieś trzydzieści. Odbiór.

– Tu Alfa, przekazemy im, a ty zostań na sztywno na naszej częstotliwości. Odbiór.

Melduję, pracując na radiostacji, mam wyciągnięty notes, ale nie mam jak notować, o której godzinie, co się wydarzyło, kto, gdzie i kiedy, więc rezygnuję z zapisków, koncentrując się na tym, co się dzieje, a dzieje się dużo.

– Alfa. Naval, na wał wyszło dwa, cztery, sześć, osiem, dziesięć, jedenaście osób, idą szeregiem wzdłuż podnóża góry, mam ich gdzieś na sześciuset metrach. Odbiór.

– Tu Alfa, czy są uzbrojeni? Odbiór.

– Naval. Jeszcze nie jestem w stanie tego zobaczyć, ale na bank coś niosą. Odbiór.

– Alfa. Odbiór.

Goście wyszli z za wału i idą sobie na pewniaka, żadnego zachowania taktycznego, to dla nas dobry znak, bo oznacza, że nie mają pojęcia o naszym patrolu i zajętych pozycjach. Idą sobie podnóżem bardzo pewnie, bo nie ma szans, by ktoś z płaszczatki mógł ich zobaczyć, podnóże jest dobre dziesięć, a może i piętnaście metrów poniżej poziomu całej równiny, cholera, idealne miejsce, by mieć właśnie tam bazę na wypad. Doszli w rejon tej jaskini, a raczej niecki, i mam ich na czterystu metrach, jest ich jedenastu, siedli w kuckach i zapewne radzą, no i teraz widzę, że są uzbrojeni.

– Alfa, tu Naval. Odbiór.

– Alfa. Odbiór.

– Jedenaście osób dotarło podnóżem w miejsce, gdzie jest zarys jaskini, TAK, są uzbrojeni, potwierdzam, na bank mają RPG i broń ręczną. Odbiór.

– Alfa. Potwierdź swoją pozycję z GPS.

– Naval. Moja pozycja to...

– Alfa. Podaj orientacyjną pozycję GPS talibów.

– Naval. Czeka.

Muszę popracować na GPS, ale i nie spuszczać z oczu tego, co się tam dzieje. Z wioski jadą kolejne motorki, ale zerkam też na całe przedpole, a tam na skraju wału daleko po lewej widzę punkcik, który przesuwa się wałem, jest w cholere stąd, lecz wcześniej tego nie widziałem, trochę ten punkt miraż zaciera, ale na bank ktoś tam idzie.

– Naval, tu Alfa, ustaliłeś ich pozycję? Odbiór

– Czeka! Dzieje się nowe, muszę obserwować, by mi coś nie uciekło. Odbiór.

– Alfa. Czeka.

Gówniana sytuacja, wiem, że im się śpieszy, chcą informacji na bieżąco, a ja jestem tu na górze na razie sam i gram jak człowiek orkiestra, obserwuję, nadaję, już nie notuję, a i jeszcze bym sobie tu lepsze stanowisko ogarnął.

– Naval, tu Alfa, mamy info z wywiadu, szykują się do zaatakowania nas, melduj, co się dzieje.

– Tu Naval – orientacyjna pozycja talibów, odczyt z GPS to... Z rejonu wioski wyjechały kolejne motorki i jadą w naszym kierunku. Wzdłuż wału od południa na przedpolu porusza się jakiś punkt, ktoś idzie piechotą, nie wiem, czy go zobaczycie, ale idzie na waszej jedenastej. Odbiór.

– Alfa. Odebrano. Odbiór.

Patrzę na ten punkcik, który staje się coraz bardziej rozpoznawalny, idzie sobie gość w naszą stronę, to wchodzi na wał, to schodzi i podąża ukryty za nim, tyle że ja go stąd widzę. Dojechały kolejne mopiki (w głowie mam to śląskie określenie motorka, ale jakbym wrzucił w eter, że jadą chłopcy na mopikach, to pewnie, poza Grekiem, synkiem z Tychów, by mnie tu „żodyn synek nie zrozumiał”). Zza wału wyszło kolejnych pięć osób i luźno idą w stronę pozostałych, a nawet już podeszli i witają się po przyjacielsku, siadają w tradycyjne kucki i radzą, gestykulując, pokazując w stronę naszych. Teraz już jestem na sto procent przekonany, że o nas nie wiedzą, czują się bardzo swobodnie, nie zachowują żadnej ostrożności, już nie wspomnę o zachowaniu taktycznym. Człowiek punkt nadal sobie idzie, z kierunku wioski zbliża się kolejny kłęb kurzu, i to taki spory wzbity tumult.

– Alfa, tu Naval. Odbiór.

– Alfa. Odbiór.

– Pod górą jest już szesnastu, z wioski jadą kolejne motorki, punkt za wałem nadal porusza się w naszą stronę. Co z Michałem, zaczyna mi tu być gorąco. Odbiór.

– Tu Alfa. Michał w drodze, zeszli właśnie z urwiska, mamy mieć wsparcie z powietrza, lecą amerykańskie śmigłowce. Odbiór.

I ja jestem niecierpliwy, patrzę na zegarek i nie wiem, kiedy minęło mi ostatnie trzydzieści minut. Słońce mam już lekko z zachodniej strony, jest za siedemnaście trzecia, gnojki!!! Dobrze to sobie wycyrkowali, zaraz będą mieć słońce za plecami

i pewnie wtedy zaatakują, tego chyba nie przewidzieliśmy, układając plan działania, a im widać się nie śpieszy, siedzą i radzą. Dojechali następni.

– Alfa, tu Naval. Odbiór.

– Alfa. Dawaj.

– Dojechali następni i doliczam ich do tych, co są na miejscu, przechodzą właśnie przez wał... siedemnasty, osiemnasty, kurwa.... dziewiętnaście, dwadzieścia, dwadzieścia jeden, dwadzieścia dwa, dwadzieścia trzy. Gość za wałem idzie nadal, macie go obecnie na dwunastej, niesie ze sobą coś długiego, pewnie to jakaś długa flinta. Odbiór.

– Alfa, odebrano. Odbiór.

Kurde, dostrzegam majestatyczny widok tego gościa. Facet sobie idzie, ale tak bardzo nieśpiesznie, dzieli mnie od niego dobre dwa, może trzy kilometry, miraż zakłóca moje postrzeganie odległości. Idzie ubrany w inne kolory niż te, które ma ta na wprost kamienista pustynia, i po prostu go widać. Tak spacerkiem, wręcz jednostajnie sunie na granicy mirażu i jawy, dzierżąc w ręku coś długiego, pewnie to jakiś stary karabin. Czy idzie z myślą, by walczyć, czy ktoś go wezwał? Pewnie tak, więc zmierza tu, by stawić się na rozkaz. Żar leje się z nieba, pewnie jemu tam jest mniej gorąco niż mi, ma jeszcze kawał drogi do przejścia. Czy niepokoi go myśl, czy zdąży? Ja leżę i wiem, że będę w tej grze. Jestem ja, są ci „oni” w okolicy jaskini, są nasi na kołach, jest Michał z chłopakami, ale tak jakbym był sam i nikogo tu nie było. Nie postrzegam w nim przeciwnika, a tym bardziej nie mam w stosunku do niego odczuć, że jest moim wrogiem, to raczej jak ktoś z innego świata, choć pewnie jeszcze dziś będzie nam dane skrzyżować lufy. Zaczynam zerkać nerwowo w tył, niby snajpy trzymają mi plecy, ale stres pola walki się udziela, jestem sam na tym moim wysuniętym stanowisku. Wpatruję się w kucających pod skałą talibów i notorycznie ich liczę, by mi żaden nie zwał bez kontroli; uff, są wszyscy, nie jest to trudne, bo jak zasiedli, tak kucają, staram się odczytać z ich gestów, co planują. Jest ruch, trzech wstało, pokazują w moim kierunku, *fuck...* W moim, ale tak jakby wskazywali na podnóże, więc pewnie planują jakoś się rozstawić. Dawno nie patrzyłem na naszą kolumnę, rzucam okiem i widzę, że chłopaki nie stoją już w RON-ie, a rozstawili się w linię na południowym kierunku i to ma sens, bo nie pokazują talibom, że wiedzą o ich obecności, a stoją tak, jakby mieli jechać tyralierą w kierunku wioski. Dochodzi grupka, która przed chwilą przyjechała, tradycyjne witanie się czułym uściskiem, który trwa w najlepsze, zanim się wszyscy ze sobą wyściskają, mija trochę czasu. Siadają, liczę... jeden, dwa... dwadzieścia dwa, dwadzieścia trzy.

– Alfa, tu Naval. Odbiór.

– Alfa. Odbiór.

– Pod górą zasiadło w sumie dwudziestu trzech talibów, ten, co szedł wzdłuż wału, nadal idzie, uzbrojenie to broń ręczna, na bank jest RPG i karabin maszynowy, obstawiam, że to PK, ale z tej odległości nie jestem w stanie ustalić konkretnych jednostek. Odbiór.

– Naval, tu Alfa, z wywiadu jest info, że chcą się rozstawić tak jak zawsze, by zaatakować przed zmrokiem, spróbujemy ich sprowokować na wcześniejszy ruch, lecą do nas śmigła. Odbiór.

– Naval – odebrałem. – Odbiór.

No to będzie grubo... oby Janki zakumali, że tu na tej górze to swoi leżą... Wstało kilku, znów się ściskają, jednocześnie gestykułując, jedna grupka ruszyła w moją stronę, po chwili znikli mi z oczu, teren jest pofalowany i jak nie idą wzdłuż góry, to tracę ich z oczu.

– Alfa, tu Naval, talibowie się rozchodzą. Odbiór.

– Alfa, odebrałem. Jednak nie możemy liczyć na Amerykanów, lecąc w naszą stronę, dostali kontakt z ziemi, wypstrykali się z amocju i zawrócili. Odbiór.

No to bez śmigieł będzie jeszcze grubiej. W tej chwili nie mam już kontroli nad nimi wszystkimi, rozeszli się w cholerę po kierunkach, moją uwagę przykuwa maszerująca trójka, która idzie w moim kierunku. Przez chwilę ich straciłem z oczu, ale wyłażą właśnie zza wydmy na mojej dwunastej, lekko przygarbieni przeszli przez łąkę kamieni i piasku, by być jeszcze bliżej. Już na luzie podeszli pod skraj wału, położyli się na brzuchu, a raczej na czworaka, i podczołgali ku górze wału. O ja ... *fuck*... słyszę szmer za moimi plecami. Położyłem sobie obok pistolet minimi, bo jeśli będę musiał walczyć od tyłu, to zrobię to, przekręcając się na plecy. Gdybym musiał najpierw przełożyć minimi, to dawno byłbym w rajku, nim bym wystrzelił. Więc przekręcam się szybkim ruchem z klamką w rękę i szukam zagrożenia, mierząc w tył..., a tam wita mnie uśmiech Michała. Uff, ale i *fuck*, bo podeszli mnie. Michał lekko przykuca gdzieś dwadzieścia metrów za mną, automatycznie kładę palec na ustach, a po tym znaku ruchem wskazującym na podrzywanie gardła daję znać o zagrożeniu... Zniknął uśmiech, sylwetka się jeszcze bardziej przygarbiła w stronę ziemi, przybierając pozycję kota Jinksa. Wracam do tej trójki i... nie wierzę, goście leżą centralnie pode mną, mam ich nie dalej jak sto metrów w przód i z trzysta w dół, to tak wyglądają z bliska talibowie, od wieśniaków odróżnia ich tylko trzymana w dłoniach broń. Ubrani są po swojemu, hm, choć nie, jeden jest w tradycyjnym stroju Pasztuna, pozostała dwójka po cywilnemu, dzinsy i jakieś sweterki. Ci dwaj w cywilu mają kałachy, a Pasztun jakąś dłuższą strzelbę, może to nawet rosyjskie SWD. Leżą, obserwują i coś sobie nawzajem pokazują, jak to frontowcy, bo piesszczą sobie gniazdko, układając na przedpolu kamienie. Ciepła dłoń Michała ląduje na mojej łydce i słyszę:

– Naval, jesteśmy... prawie się nie połamaliśmy, by tu dojść, ale dobrze wyszło, jak to widzisz?

– Ty tu ze mną, Karol niech się odczołga tam w prawo z dwadzieścia metrów do szczelin, jak rozstawi się z siedem sześćdziesiąt dwa, to choć trochę będziemy mieć ich w ogniu krzyżowym. Artur dobrze, jakby był zaraz za nami z łącznością.

– Dobra, to tak robimy – słyszę jak zawsze wyważony ton Michała.

Ja skupiam się na tych trzech, a Michał przejmuje dowodzenie, wskazując chłopakom ich sektory odpowiedzialności. Michał ma to coś, nie wiem, jak to nazwać, taki wrodzony spokój, nie tylko w głosie, ale i w zachowaniu, że nawet jak likwiduje przeciwnika, to robi to bez okazywania emocji. Teraz ten spokój udziela się mi, odczuwam ulgę, że już nie jestem tu sam.

– Alfa, tu Naval. Dotarł do mnie Michał z paką. Odbiór.

– Tu Alfa, odebrałem, zostań na odbiorze. Odbiór.

– Odebrałem. Odbiór.

Pytam Michała, czemu nie przejmie łączności, ja się zajmę tymi na dole. Wskazuję mu, jak centralnie leżą gnoje pod moją lufą, ale rozkazy są inne. „Dawaj, jak to tu wygląda?”, słyszę. „Od lewej, widzisz ten punkt” – szukam go w lornetce i zamiast punktu widzę już konkretną postać w tradycyjnym pasztuńskim stroju. Gość na bank ma długą siwą brodę, a może to chusta, ja widzę brodacza niosącego pewnie stary brytyjski karabin z rodziny Enfieldów. Na azymucie gdzieś pomiędzy sto siedemdziesiątym a sto osiemdziesiątym stopniem, tam za wałem powinno być, a raczej na bank są zaparkowane dwadzieścia trzy motorki, no chyba że jechali tu po dwóch, w tamtym miejscu traciłem jadących z oczu. Potem centralnie wyszli na wał i szli na naszym kierunku tamtym wąwozem, aż pod tę zacienioną wnękę, myślę, że to jakaś jaskinia, centralnie przed nią usadowili się na pogawędkę. Opowiadam o tym, co się działo, wpatrzony w plecy tej leżącej trójki, samą lornetką to ja nie powalczę. Odkładam ją i widzę ich teraz centralnie przez szkiełko celownika, czerwony punkt pada na każdego z nich i w głowie wizualizuję ruch broni, przypominając sobie, jak minimi zachowuje się podczas strzelania dłuższą serią. Przed wyjazdem do Afu spędziliśmy trochę czasu w Bieszczadach na dokładnie takim strzelaniu, jakie zaraz może mnie tu czekać. My rozłożeni w linii na zboczu góry, pod nami koparki spychy i ciężki sprzęt potrzebny do pracy w kamieniołomach, cele rozstawiono dwieście, trzysta metrów u podnóża kamieniołomu naprzeciwko nas, no i te najcenniejsze cele zwisające na linach przeciwległego skalnego urwiska. Miały być one dla snajpów, ale kto by dał im tam spokojnie trafić w swoje, pruliśmy taśmę za taśmą, by dokopać zwisającemu manekinowi, ale jak to snajpy, zbyt nie znają się na żartach i podstrzelowali linki, na których zwisły kukły, no i po zabawie. Trzeba było wyszukiwać i strzelać do tego, co u podnóża, ale to trochę nudne, jak cel się nie porusza. Tamto

bieszczadzkie doświadczenie jest teraz na wagę celnego trafienia, a już wiem, że będę musiał otworzyć do nich ogień.

– Gdzie są pozostali? – krótko rzuca Michał.

– Trójka, tak jak widzisz, pod nami, reszta się rozeszła po kierunkach i pewnie podobnie jak ci tu, gdzieś trójkami obstawiają stanowiska ogniowe.

Nie daje mi spokoju piechur ze wschodu, który właśnie przechodzi przez wał, wyprostowany, dumny, bez oznak niepokoju, taki surowy stan emocji, majestatyczna sylwetka i godne zachowanie. Przystanął przez chwilę, obserwując naszą stronę – szuka swoich? Czy może doświadczenie mu podpowiada, by i w górę zerknąć. Zakrywam nerwowo EOT, bojąc się, że ujrzy odbicie światła w celowniku, słońce w tej chwili nie jest naszym sprzymierzeńcem. Stał chwilę, przecesał brodę, spojrzął w stronę naszych rozciągniętych chorągwi i zszedł z wału, czekam, gdzie się pojawi, ale zniknął, jak zjawa. Michał odczołgał się do Artura, zostawił obok mnie swojego macmillana, więc pożyczam, by przez lunetę o powiększeniu razy dziesięć obejrzeć dokładnie całą trójkę.

– Naval, tu Alfa, melduj. Odbiór.

– Naval. Całość się rozeszła pewnie po punktach, ja mam centralnie pod sobą trzech, na bank was widzą, bo gestykując, wskazują na kolumnę, pozostali poza kontrolą, ale nieciężko się domyśleć, że robią dokładnie to samo co ci. Odbiór.

– Naval, tu Alfa, my za chwilę ruszamy tyralierą na ostro, tak by ich sprowokować na otwarcie ognia na dystansie. Odbiór.

– Naval w gotowości. Odbiór.

Słyszę, jak Michał za moimi plecami próbuje nawiązać, jako JTAC, łączność z dedykowanym nam na tę operację francuskim mirage. „Kurwa, on prawie nie gada po angielsku, w ogóle nie mogę go zrozumieć...” – dolatuje do mnie szept. Jest taki pomysł, by posłać im jako pierwszą dwustupięćdziesięciokilogramową bombę, zrzucona zostanie centralnie na zaparkowane mopiki, tak by nie mieli czym do domu wracać, a może i tak już im nie będą potrzebne...

– Naval, tu Alfa. RUSZAMY. Odb...

Jeszcze nie dotarł do mnie końcowy dźwięk komunikatu, a padł głośny pojedynczy strzał i to gdzieś zza naszych pleców rozbrzmiało echo wystrzału niesione teraz falą dźwiękową pomiędzy górami, po nim drugi, razem z echem wzbil się w powietrze szarawoczerwony kurz, ale gdzieś tam daleko, na przedpolu naszej kołowej tyraliery, a dopiero po krótkiej chwili dopadło mnie dudnienie kilkudziesięciu eksplozji. W miejscu, w którym spadły granaty wystrzelone z naszych granatników i uderzyły w ziemię pociski karabinów 12,7 mm, ziemia aż się zagotowała. Wcześniejsze strzały to robota naszych snajperów, którzy blokując wąwóz z swojej pozycji, nie pozostawiają złudzeń talibom co do ich sytuacji: znaleźli się oni teraz w miejscu, z którego będzie ciężko wyjść żywcem.

Szukam moich trzech straceńców, ale już pode mną ich nie ma, biegną przygarbieni przez pagórek, ten, zza którego wyłonili się, idąc tu kilkadziesiąt minut temu.

– Kontakt z prawej!!! Kontakt z prawej!!! – Dzwoni głos Alfego w słuchawce.

Kątem oka widzę, jak skalna ściana góry po mojej prawej stronie błyszczy iskrami od rykoszetujących pocisków. Siła ognia jest tak duża, że ktokolwiek chciałby odpowiedzieć ogniem, wychylając się za wał, skazałby się teraz na pewną śmierć. A jednak gdzieś tam zza skalnych półek zaczął strzelać krótkimi seriami karabin maszynowy PK/PKS, dostrzegam tylko błysk smugowego pocisku lecącego w stronę naszej kolumny.

Odkąd tu leżeli, moje minimi było odbezpieczone i gotowe do działania. Poczuję lekkie szarpnięcie w chwili, gdy palec nacisnął płynnie, ale z pełną siłą na spust. Posyłam dłuższą niż normalnie serię... zagrało i minimi Karola... kurwa, nie mam słuchawek... O tym teraz myślę, *fuck*... trzy postacie, ich sylwetki jakby czymś wstrząśnięte upadły za wydmą razem z serią, którą posłałem w ich stronę. Strzelam dalej, celując tak centralnie nad nią... kolejną i jeszcze jedną krótszą, dobrze przyłożyłem kolbę do ramienia i zablokowałem łożę, by wręcz precyzyjnie tylko o centymetry pociski mijały grzbiet i wylądowały zaraz za nią. Czekam, ale nikt już się stamtąd nie wychyla, czekam... Karol ma jakieś inne zagrożenie, widzę, że skupiony posyła ołów krótkimi seriami w swój sektor krzyżowo w stosunku do mnie, jakby się na kogoś uparł i nie odpuszczał. To, co się jednocześnie dzieje po mojej lewej stronie, jest... wyobrażeniem tego, co pewnie musiało się wydarzyć pod Grunwaldem. Litwini na lewym skrzydle mocno pogonili swe land rovery w przód, zrobili to kaskadowo, by po przejechaniu kilkuset metrów ich skrajny lewy samochód był najbardziej wysunięty do przodu, każdy kolejny o jeden pojazd poniżej, a gdy już przedostatni miał możliwość skręcenia o dziewięćdziesiąt stopni w prawo, nie wjeżdżając nikomu w sektor, padła komenda Alfego.

– Całość, kierunek w prawo zwrot!

Tak jak w pokazie symultanicznym, wszystkie pojazdy lekkim łukiem zwróciły się w naszą stronę i zaczęła się jazda, jakiej jeszcze na bojowo nikt z nas pewnie wcześniej nie widział. Ja pierdołę... na całym do tej pory spokojnym sektorze, tym na wprost mnie, poruszyła się ziemia. Niestety strzelcy, mając przed sobą wał, który wymuszał strzelanie ponad jego garbem, walili z dwadzieścia, a nawet trzydzieści metrów powyżej niecki, w której mogli chować się talibowie, myślę, że są tam, ale w ogromnym szoku, bo cała nasza konnica tłucze bezpośrednio w ich pozycje, i w tej chwili nie myślą o walce, a kryją się, gdzie popadnie...

– Alfa, tu Naval, strzelacie za wysoko, stanowczo za wysoko, jedyne, co może trafiać w cel, to ogień z granatników. Odbiór.

Ale nie było odbioru, trwała kanonada i to na całego. Jest Michał, za trzy minuty mamy Francuza lecącego mirage'em, za dwie komenda: wszyscy, którzy nie muszą, przerwij ogień. Jeszcze jest jasno, więc nie powinno być widać moich smugaczy, toteż kończę taśmę, posyłając jej zawartość w miejsca, gdzie mam przeczucie, że chowają się talibowie.

– Tu Alfa, przerwij ogień, przerwij ogień.

Samochody delikatnie się cofają, oddalając się od prowadzonego przez talibów słabego, co prawda, ale ostrzału. Słychać, jak gdzieś zza jakiegoś cholernego załomu co jakiś czas leci seria w stronę naszych, to musi być PK. Michał za moimi plecami podaje, że jedna minuta... chwila ciszy, w której akurat podszedł do mnie Karol. Odlicza Michał: 10, 9, 8, 7, 6, 5, 4, 3, 2, 1. Najpierw widzimy zza wału, jak unosi się potężny słup kurzu, a po chwili do naszych uszu dociera dźwięk eksplozji rozrywającej się bomby, którą zagłusza silnik lecącego mirage'a. „Co wy na to, że zaraz będą potrzebne nam noktowizory” – pytam, wybiegając w przód. Karol nawet nie docieka, kto po nie pójdzie. To żołnierz z krwi i kości, który lubi swoją robotę i nawet jak mu coś nie pasuje, to zaciska zęby i robi to, co należy, działając na rzecz sekcji. Poszedł bez słowa.

Nasi podjechali nieco bliżej i już bez nawałnicy, a wstrzeliwując się granatnikami, sieją po obszarze od podstawy góry i w wąwóz. Od czasu do czasu pada głuchy strzał zza naszych pleców, więc i nasze snajpy mają co robić. Bardziej w głąb nie ma jak tam zerknąć i wymacać, gdzie się talibowie pochowali, poza jednym miejscem, jestem na dziewięćdziesiąt procent pewien, że właśnie tam kryje się jedna z ekip.

– Alfa, tu Naval. Odbiór.

– Alfa. Dawaj.

– Strzelacie nadal za wysoko, przed wami jest wał, który uniemożliwia celny ogień, tam tylko granatniki czterdzieści milimetrów robią robotę. Odbiór.

– Alfa. Czy możesz jakoś wskazać nam konkretne miejsce, gdzie mogą być. Odbiór.

– Jest jedno takie, już zapada zmrok, więc puszcze tam serię: zobaczycie smugacze i tam, gdzie się układają, tam im dołożcie. Odbiór.

– Tu Alfa. Wal.

Przyłożyłem się ponownie do kolby, naciskam spust, widząc w celowniku miejsce, gdzie obstawiam, że ktoś się schował. Widzę, jak co trzeci nabój to pocisk smugowy tnący wieczorne powietrze. Mam natychmiastowe potwierdzenie, że serię na bank było dobrze widać. Co, kurwa... wtulam się mocno w ziemię. Jeb, jeb, jeb i świst.

– Przerwij ogień! Przerwij ogień! – słyszę w radiu.

– Tu Alfa. Naval, u was okej?

Zerkam na Michała i Artura. Leżą za mną, nieco dalej.

– Tu Naval. Tak, okej. Co to, kurwa mać, było!!!

– Tu Alfa. Do Litwinów nie doszło tak szybko info, że to ty będziesz strzelać, i jeden z nich dał serię nie tam, gdzie trafiają twoje smugacze, tylko tam, skąd wychodzą. Odbiór.

– Odbiór. Kurwa. Odbiór.

Patrzę na Michała i Artura, nic sobie z tego nie zrobili, pracują na radiu, no kurwa, pięknie. Poszło znów na grubo z naszej strony, tym razem już nie na nas, a w miejsce, gdzie wskazałem, ja pierdołę, już nie strzelam. Nawet nie wiadomo, kiedy zrobiło się całkiem ciemno. Wraca Karol, bez niczego...

– Kurwa, sam z moim minimi nie ma szans, bym tam wlaź z powrotem – kwituje wyprawę.

– Dobra, damy radę, tylko już nie strzelaj, bo przed chwilą mieliśmy tu *friendly fire*.

– Dobra – wtrąca Michał. – Nasi idą lekko w tył, a my też przeskoczmy do tych szczelin. Za pięć minut nadleci Jankes z F-16 i w przełącz, tę pomiędzy naszymi górami, zrzuć drugie dwieście pięćdziesiąt kilo.

Prawie jednocześnie padło z naszej strony:

– Kurwa, trafi...

Zbieram się z mojej wyleżanej pozycji, spędziłem tu bez lania i o litrze wody dobre pięć godzin, dopiero jak wstałem, czuję, że potrzeby fizjologiczne dają o sobie znać, bo i w gardle sucho, i chce mi się na stronę. Znaleźliśmy jakąś szczelinę, no i najważniejsze: odpalamy światła chemiczne, te noktowizyjne, by nas było widać z powietrza. Wsłuchujemy się w komunikaty Michała na linii on-pilot.

– *Acid Rain Zero One, this is Viper, check in.*

– *Viper, this is Acid Rain Zero One, copy, stand by... Say when ready for nine-line.*

– *Viper ready.*

– *Viper, Acid Rain Zero One, good readback.*

– *Viper ready for talk on.*

– *Viper, Acid Rain Zero One, CLEARED HOT!*

– Ty, Michał... – mówię – jak będzie blisko... Chłopaki, tak! Będzie blisko, spadnie pomiędzy naszą górą a tamtą, tam, gdzie snajperzy strzelali, blokując wyjście pomiędzy nich, znajdziemy sobie w tych szczelinach trochę miejsca i gleba.

– Ej, jak?

Mam w głowie, że tu nie ma jak się okopać, zresztą jak trafi, nie trafiając, to nic, i tak by nam nie pomogło.

Michał do wszystkich: „Mamy trzy minuty do F-16”.
„Jedna minuta”.

Leżę koło Michała, to chyba nie czas na żarty, dobrze, że to nie Francuz, choć tamten trafił, to i może Jankes nie spierdoli sprawy... słyszę, jak Michał swym niewzruszonym głosem odlicza dziesięć, cholera, to się dzieje naprawdę, dziewięć, osiem, siedem... i już nie słucham jego głosu, wszyscy coraz wyraźniej słyszymy szum, jakby wzmagała się wichura, a wisząca szmata łopotąła z coraz większą siłą, coraz donośniejsze furkotanie. Zajebało tak, że się i te nasze szczeliny poruszyły, choć to lita skała, a teraz w powietrzu świstają odłamki skalne i gdzieś spada jakiś kawałek gruzu. Chwilę tak leżymy w ciszy, czekając, jak opadnie, i z powrotem pospadają wzniesione w górę kamyki.

– Dobra, robota zrobiona, zwijamy się – nakazuje Michał.

Zbieramy się już w ciemności trochę po omacku, a od spodu słychać, jak się zaczynają nawoływać niedobitki. Sugeruję Michałowi, że może poprawimy granatami, po cholere je dźwigać z powrotem... Wtem na trzy, cztery – nie musiałem czekać na decyzję, czy to słuszny pomysł, tylko słyszę, jak Michał odpina rzepa, który zabezpieczał kieszonkę z granatem. Wyciągam i ja swoją F1, nasz sztandarowy granat, tak przez myśl mi przeszło, że to pierwszy raz, gdy na bojowo użyję granatu ręcznego, cholera, prawdziwa wojna, no bo jak się granatami rzuca...

Granaty pofrunęły w mrok rzucone jak piłeczka do tenisa, najdalej jak się da. Słychać metaliczny brzdęk oddzielającej się od granatu łyżki, chwila ciszy i gdzieś tam u spodu pod nami dwie eksplozje, jedna po drugiej. I znów cisza. Czekamy, ale już nie słychać głosów i nawoływania. Siedzimy chwilę w zamyśleniu, nasłuchujemy, jeżeli jest nicość, to myślę, że właśnie w tamtej chwili na te kilka minut na nas spłynęła. Dobra, kurwa, zabieramy się stąd, Karol przejął dowodzenie, wracamy. Idę naprzód, Artur daje znać snajpom, że to my i emocji na dziś wystarczy, więc nie strzelać. Snajperzy potwierdzają, że odebrali... i zaznaczają żartem, że nasi Litwini też wiedzą.

W tej robocie zawsze z wszystkiego i z każdego, gdy jest taka możliwość, drzemy łacha, nawet jak ci swoi chcą łeb odstrzelić. Takie zachowanie to jak szczepionka, człowiek się uodparnia na prawdziwe niedogodności żołnierskiego losu. Ruszam, ale idę nie krok po kroku, a po omacku, stopa do stopy, odtwarzając w głowie, skąd przyszedłem. I znów się kłania doświadczenie z zielonej taktyki. Chcąc wrócić tą samą drogą, po prostu trzeba się odwracać, patrzeć, zapamiętywać charakterystyczne miejsca. Bo to całkiem inny obraz drogi w jedną i drugą stronę, więc prawie jak po sznurku, choć po ciemku dochodzimy pod skalne urwisko. Karol wspina się pierwszy i tak na zmianę podaję mu jego karabin, mój jest mniejszy i aż tak nie ciąży, więc nie przeszkadza przewieszony przez plecy. Prawie

zawsze jest tak, że łatwiej jest wejść, niż schodzić, i całe szczęście, że ta zasada sprawdziła się tej nocy. Silne z nas chłopy, a urwisko okazuje się nie takie trudne do wspinaczki, jest po prostu po czym wejść. Dopadam plecaka, w tej chwili schodzą emocje, momentalnie czuję się głodny, chcę pić i wszystko naraz. Mamy dwadzieścia minut luzu na odsapnięcie i zwijamy się do naszych. Mamy dotrzeć do RON-u na nogach, takie przynosi wieści Artur. Zostajemy tu do rana, a skoro świt całymi siłami czeszymy rejon walki. Przyjmujemy to jak coś oczywistego, bo nie godzi się, by po bitwie nie obejść pobojuwiska.

Przez chwilę nastąpiła cisza jak makiem zasiał, a z niej wyrwał nas radiowy komunikat, że ustawiamy odwrotną kolumnę, Litwini prowadzą nas do RON-u, a ja mam zamykać. Pasuje mi to, odtwarzam w głowie nasze podejście, więc to, co nas czeka, nie będzie spacerkiem w dół. Pozycja z przodu to ciągła łamigłówka z pytaniem: którądy? Tędy czy tamtędy, a tył, przynajmniej tym z przodu się tak wydaje, może się wieźć na kole, jak podczas kolarskiego peletonu, gdzie za awangardą jedzie cała reszta. Schodzenie stąd to siadanie na dupie i szukanie czegoś pod nogami, a jeśli się znajdzie, trzeba kicnąć i jest się pół metra niżej. Ci o długich kulasach lepiej sobie radzą, ja muszę szukać gruntu, po przygodzie w Rembertowie wiem, że nigdy nie postawię kroku w niepewną ciemność. Więc teraz siadam na dupie i zsuwam się w dół... *fuck*, ten dźwięk to jak nic rozdarłe spodnie na tyłku, powoli to nie będę mieć co zszywać, no i jeszcze plecak się zaczepił. Po popołudniowej potyczce mam lekki niedosyt bojowy, wystrzeliłem nie więcej niż dwieście pięćdziesiąt sztuk z tego tysiąca stu, po cholere ja ze sobą taszcze tyle amunicji, mogłem wywalić choć z pięćset. Ale mam też refleksję, że nie wie się tego, czy kolejne taśmy nie przydadzą się na później, więc strzelając i tak liczę każdą serię. Z rękawiczek już też nic nie mam, znowu się o jakąś szorstką skałę zaczepiły. Ich stan i tak jest lepszy od tych, które wróciły ze mną z Belize. Zaczyna mnie to wkurzać, że trzeba samemu kupić kolejne w PX. W wojsku więcej niż para na rok nie przysługuje, podobnie z portkami i resztą, a tu po jednym takim wypadzie w góry nie będzie co cerować.

Jak widać, dopadł mnie psychiczny dyskomfort i marudzenie mi się włączyło. Siedzę na ciepłej skale, czekając na kolejny kroko-skok, przyjemnie tu, zerwał się wiaterek i chłodzi nasze spocone od wysiłku ciała. W oddali, gdzieś na płaskowyżu, bo wyszliśmy na wschodnie zbocze, mruga rytmicznie noktowizyjny stroboskop, to nasi dają nam znać o ich pozycji, a my jak te ćmy podążamy do tego światła.

– Stop od przodu – pada krótka komenda... – Ciągnie ją jeden ze snajpów, skarżąc się, że nie ma nikogo przed sobą.

– Tu Michał, Naval, odlicz od tyłu. Odbiór.

Odebrałem i już werbalnie ściskam Karola, licząc. Karol uścisk przekazuje następnemu, licząc siebie, i tak doliczyliśmy się siedmiu.

– Tu Michał. Mamy podział na dwie sekcje, każda niech schodzi przez siebie wybraną drogą, ale pilnujcie się i już nie dzielcie. Odbiór.

Taki też komunikat Artur powtórzył do bazy i Litwinom, którzy z naszą trójką gdzieś są, bo odpowiedzieli, że u nich okej. Taki patrol stanowi całość i trzeba się pilnować, ten z przodu nie ma prawa iść dalej, jeżeli nie widzi za sobą kolejnego członka zespołu, nie robimy tu z tego problemu, jest ciemno jak cholera i serio można się pogubić, ja pilnuję Karola na całego, wręcz siedzę mu na głowie. Trochę ponad godzinę zajęło nam schodzenie, jest przed dwudziestą drugą. Artur podał, że zeszliśmy pierwsi, a tamci walczą ze schodzeniem gdzieś całkiem ze wschodniej strony góry, nie musimy czekać na siebie, widzimy się w bazie, mamy się nawzajem pod kontrolą. No nic, Naval na czoło, azymut i naprzód. Słyszę w eterze komunikat Artura, że kolumna siedmiu chłopów idąca od zachodu to swoi i na bank trzeba to przekazać Litwinom. Nawet zbyt nie siłę się na wytyczanie azymutu, obieram kierunek na mrugające od czasu do czasu noktowizyjne światełko jednego z chłopaków na gunnie, cyklicznie je zapala, więc wydłużam krok z myślą, by jak najszybciej pozbyć się z pleców balastu, dwa i pół kilometra to w tym terenie nieduży dystans. Zaczynają malować się na horyzoncie ciemne sylwetki pojazdów, to już... „Żyrafy wchodzą do szafy...”, słyszę od przodu, „pawiany pod tapczany”, odpowiadam. Nawet tu i teraz ktoś robi sobie jaja, zamiast zgodnie z procedurą wymienić się sucho jak profesjonaliści hasłami, tylko wieczny łach, jak myśmy tę certyfikację w kraju przeszli i tu teraz skutecznie działamy. Myślę, że to też jego zasługa.

Powoli trzeba się zbierać w drogę powrotną. W środku bazy czekają na nas rozłożone wozy, ale nikt nie wita nas wylewnie, kto może śpi, tylko na gunnach obserwatorzy mają wartość. Zrzucam plecak i momentalnie... jak młody bóg, w życiu może być jednak lekko. Mam łóżko, kocyk i mokry od potu mundur. Wszyscy tak mamy, przecież patrol miał trwać nie więcej niż dobę, a już trwa trzydzieści godzin i jeszcze trochę przed nami. Każdy z nas zjadł i napił się w kompletnej ciszy, przyszły nasze zguby. Albo to my się zgubiliśmy.

Jak w żołądku jest miło, to i cały organizm łapie komfort. Umościłem się na pryczy, ale nie, nie ma szans, by ot tak zasnąć. W głowie układam sobie cały miniony dzień, krok po kroku analizuję jego przebieg, co zagrało, a co do poprawy. Ogólnie mam poczucie dobrze zrobionej roboty, ale bez jakiejś wydumanej satysfakcji, raczej z troską o tych z drugiej strony, co tam zostali. Dziwny stan umysłu – czy talibowie mają takie rozważania, wysadzając IED nasze siły? Czy martwią się, co z rodziną sołtysa, któremu przed chwilą obcięli głowę na środku wsi? Przyszedł sen... Ale nie na długo, *fuck*, kurwa, *fuck*, znowu obudziło mnie

przeraźliwe zimno. Leżąc na tym amerykańskim łożku polowym, bez izolacji od materiału marznie się najbardziej od strony legowiska. Sam kocyk nie wystarcza i zaczynam się trząść. Dopadam eski w poszukiwaniu podgrzewacza, jest, wlewam trochę wody, a po chwili ta gorąca mieszanka zamknięta w folii ląduje na moim splocie słonecznym, ale w ramiona, uda, tyłek zimno. Nie ja jeden się kręcę, większość naszego patrolu podskakuje z zimna. I co, trzeba tak wytrzymać kolejną noc? Ile już było ich tak do siebie podobnych, od tej pierwszej pamiętnej, na której zmarłem podczas selekcji, no ile... Po raz kolejny zarzekam się, że to już ostatnia tak zimna, stukam zębami, przeskakując z nogi na nogę. Nawet malowniczy poranek nie zrobił na mnie wrażenia, mam w dupie kolejny piękny wschód słońca. Dopiero promienie, które mnie dopadły, dają ciepło całemu organizmowi, stoimy jak surykutki, wypatrując porannego ciepła. Tak naprawdę dopiero teraz zapadam w mocny godzinny sen.



Spokojny poranek. Poprzedni dzień spędziliśmy gdzieś tam – patrząc z tej perspektywy, wydaje się to wręcz niemożliwe, a jednak...

Szorstka i bez wyczucia pobudka powoduje, że tego poranka nie muszę się zastanawiać, gdzie jestem. Odprawa przebiega bardzo rzeczowo. Najważniejsze jest to, że obyło się bez strat z naszej strony, a współpraca i to, co przetrenowaliśmy, wyszło w stu procentach. Z drugiej strony jest info, a raczej

prośba: miejscowi od wczesnego rana zbierają się, nawołują, zbierają to, co po wczorajszej nocy zostało na miejscu. Sołtys pojechał na posterunek policji, a tamci dali znać do ISAF, by ich nie atakować, do nas bali się podjechać... Daliśmy im czas do jedenastej. Potem ruszamy na kołach tyralierą, tak jak wczoraj. Pieszy patrol dołącza do nas, po dwóch na samochody, Litwini wracają do siebie. Po zajęciu wysuniętych pozycji w samochodach pozostają kierowcy z gunnerami, reszta ustawia się w linię i ruszamy przeczesać teren. Zbieramy broń, łuski, zresztą wszystko, co może być pozostałością kontaktu. Oprócz tego Janki dziękują za wystawkę. Ci na śmigłach, co wczoraj do nas nie dolecieli, trafili po drodze na około trzydziestumotocyklową karawanę jadącą w naszą stronę, zostali przez nią ostrzelani z broni ręcznej. W zamian zrobili tam rozpierduchę, było to na otwartym terenie, więc się nie szczypali. A podziękowania są za wystawkę, bo już mają potwierdzenie, że w tej grupie był dość ważny talib i idzie ten cel na ich konto.



W tym miejscu spędziliśmy wczorajszy dzień i część nocy

O 10.45 w gotowości wsiadam do humvee, gdzie Tylut obstawi gunna. Pytam, czy postrzelali wczoraj, ale przed południem ciężko od Tyluta usłyszeć cokolwiek. Zamruczały silniki i jadę na pace, dziwnie mi tu i całkowicie szczerze, chyba jadę pierwszy raz nie jako kierowca, a to już szósty miesiąc. Wczoraj widziałem naszą rozłożoną kolumnę z tamtej góry, byłem pod wrażeniem tej pustynnej armady. Obecnie jestem jej częścią i czuję jej moc. Zazwyczaj jest nas cztery, pięć pojazdów, a teraz kilkanaście. Stanęliśmy w linii, poszedł krótki komunikat „w linię”, po chwili kolejny „naprzód”. Minimi podciągnąłem sobie nieco wyżej,

pas nośny zawieszony na szelkach dobrze się dopasował po wczorajszym marszu, zerkam w prawo, mam Artura po prawej, nieco dalej Karol, po lewej idą Litwini. Idziemy szeroko lekką szachownicą, część stąpa czujnie, część przyklęka i przeszukuje przez lornetki przedpole i góry. Wzniesienie, na którym byłem wczoraj, mam po skosie z prawej strony. Przechodzimy wał, lekko w dół w nieckę i kolejny wał. Staram się poukładać to tak, by móc trafić w to miejsce, w którym miałem wczoraj całą trójkę, ale tu na dole jest całkiem inna perspektywa. Patrzę do góry i nie jestem w stanie rozpoznać miejsca, w którym mogłem leżeć, co więcej, gdyby teraz tam ktoś leżał, to nie ma szans, byśmy go mogli z dołu zobaczyć. Zaczął się szum w eterze, widać łuski, i kolejne, kolejne, całe gniazdo z pustą taśmą po PK. Wyszliśmy za naszą górę w miejsce, gdzie powinny spaść granaty. Jest to idealny spot, by się schować przed ostrzałem z płaskowyżu, szukam nie wiadomo czego. Gdzieś w tej okolicy pieprznąła dwustupięćdziesięciokilogramowa bomba, a śladu nie ma, jak to na skalnej pustyni porzucane bez składu i ładunku kamienie i skały, nie da się stanowczo ustalić anomalii. Kolejne łuski, trochę brudnych potarganych szmat, wiatr tu hula, piasek szybko przysypał oznaki walki i odniesionych ran, trochę tak bez sensu, ciekaw jestem, jak się czuli ci spod Grunwaldu kolejnego dnia. Tam walka toczyła się twarzą w twarz, ścierały się ze sobą konie, pewnie było sporo krzyku i jęczenia, a po rzuceniu przez nas granatów bojowych ustały wszelkie odgłosy. Teraz tu jest tak, jakby się nic nie wydarzyło. Szybko minęła godzina naszego patrolu, wracamy do pojazdów, z nadzieją na trochę cienia, słońce znajduje się w azymucie i to ono daje nam najbardziej popalić. Jeszcze chwilę mamy tu postać, bo Litwini pojechali za wał sprawdzić tamto miejsce. Przez radio dowiadujemy się, że stoi tam mały domek, którego stąd nie widzieliśmy, całkowicie pusty, jakby niedawno wszystko z niego wyniesiono, a tam obok w ziemi spory lej, ale po takim pieprznięciu to części motorków mogą jeszcze w powietrzu szukać. Było zimno, a teraz się smaży, leci mi spod kapelusza pot, jest ze sto stopni, wszystko się nagrzewa, paka humvee też jest nagrzana, patrzę na rękawiczki: dziura, a raczej rozdarcie na rozdarcie, zwisają, nie trzymając się palców strzępy materiału, czyli nie tak do końca bez strat z naszej strony.



Polsko-litewski patrol. Nie było już co zbierać...

Zbieramy się znów w kupę, czas na ostatni etap naszej wspólnej operacji. Plan na powrót jest taki, jak ustaliliśmy, niestety, nie da się stąd wyjechać inną drogą niż ta, którą przyjechał konwój. Nie wszyscy mieścimy się do humvee, więc dla mnie, Artura, Karola i jeszcze dwóch Litwinów miejsce jest na pace litewskiej ciężarówki. Niezbyt to komfortowe, ale człowiek był szkolony i w wojsku, w zasadniczej służbie sporo czasu spędził podczas takiego transportu, chwając sobie, że nie musi iść z buta. Wskakujemy pod plandekę, paka jak paka, ławki przez środek, siedzi się plecami do siebie, a przód załadowany sprzętem. Pada parę komunikatów radiowych typu „meldować kolejno o gotowości i naprzód”, zaczęło miło nami bujać, maksymalnie trzy godziny i jesteśmy w bazie. Nie ujechaliśmy daleko, gdy cisza w radiostacji została przerwana komunikatem z wywiadu, że po drodze mogą się na nas szykować. Nie jest to zabawna informacja, choć słyszeliśmy podobnych setki i już zbytnio nie robią na nas wrażenia. Tym razem talibowie wiedzą, którądy będziemy wracać, i właśnie w tym przesmyku na odcinku wioski chcą nas zaatakować. My nie mamy wyjścia, a na wsparcie z powietrza nie ma co liczyć, pierwszy samochód właśnie podaje, że już jest na rogatkach i wjeżdża. Tej wioski nie da się przejechać, tak jakbyśmy to zrobili w Iraku, stową na godzinę. Tu się jedzie pięć, może osiem kilometrów na godzinę, bujając się po bezdrożach. Asfaltu tu nikt nigdy nie widział, to zwykle klepisko uznane za dróżkę, poprzecinane wyżłobionymi od wody po obfitych opadach kanalnikami. No nic, jedziemy czujni, ale nie ma nawet jak zareagować, siedzimy w piątce pod plandeką, jedynie tył mamy odsłonięty, z ławek zeszliśmy i siedzimy

na podłodze. Czekając na... nie wiem na co, na kolejny komunikat. Przychodzi z wywiadu, że talibowie zaatakują drugi pojazd, w odpowiedzi poszło drogą radiową soczyste „KURWA, jak to drugi...”. Po chwili ciszy tylko skrzypią burty od rytmicznego bujania się i mruży silnik. Pada kolejne info: zmienili cel i mają się szykować na czwarty pojazd, widocznie nie zdążyli się pozbierać i będą celować w środek kolumny, łącznościowiec po chwili jakby chciał uspokoić, że znów się zwołują, ustalając, że najlepiej będzie zaatakować im przedostatnią jadącą w kolumnie ciężarówkę. Ja pierdołę, tego już za dużo, przecież nie będę tu czekać, by do nas walili, „chłopaki, wypierdalamy stąd”. I jak na rozkaz, po zeskoczeniu z paki już idziemy tyralierą szeroko od samochodu. Podałem przez radio, że jesteśmy na zewnętrznym, spieszyliśmy się i dajemy z buta. Znajdujemy się pośrodku wsi, tylko takiej cichej, dzieciaki siedzą pod domami, osły i kozy powiązane, nie jest to naturalny cykl dnia afgańskiej wioski. Spotykam się wzrokiem z jakimś brodatym starcem, choć pewnie to człowiek w moim wieku, ale nie wygląda na rówieśnika, jestem pewien, że nie jest tutejszy, nie tak się patrzy, widać, że obserwuje. Idę centralnie na niego, z lufą wycelowaną w jego łeb, jakby był wieśniakiem, już dawno by odpuścił, a on patrzy, myślę sobie: no dawaj, drgnij, zaatakujcie... tak jak on mam zaciśnięte zęby... przechodzę obok, nawet przez chwilę nie spuściłem go z muszki, trzymając palec na spuście, aż przejął go Karol. Jest i kolejny gość, szedł, a w chwili, gdy mnie zobaczył, przestraszony kucnął, chowając coś pod kitem. Jest z pięćdziesiąt metrów ode mnie, a teraz toczę z kolejnym wojnę na wzrok. Myślę sobie: no dawaj, dawaj, kurwa, twarzą w twarz... Pierwszy samochód poza wsią – odbiór, czyli my jesteśmy gdzieś w połowie, jakoś słońce przestało mi doskwierać. Idziemy tyralierą z lewej i prawej strony naszych samochodów, a ci, którzy byli w humvee na tylnych fotelach, powychodzili, więc na jakikolwiek strzał jesteśmy w stanie odpowiedzieć kilkudziesięcioma lufami. Dosłownie przechodzimy pomiędzy tymi, którzy jeszcze przed chwilą chcieli nas zaatakować, ale nie ma odważnych, cisza. Cisza w pełni ludzi wsi, cisza w eterze, nawet kundły leżą skulone i nie szczekają, jeżeli można było przeżyć, stąpając cienką czerwoną linią, to jest to na pewno ta chwila i to z każdej ze stron. Dochodzimy do końca wsi, po obu jej stronach łukiem rozstawiły się nasze i litewskie pojazdy, czekają na zamykający kolumnę pojazd, trzymający nam plecy.

Przeszliśmy, przejechaliśmy, wróciliśmy do domów oddalonych o parę tysięcy kilometrów od Afganistanu bez odpowiedzi na pytanie, które często sobie zadaję: Czy ta wojna jest nasza? Kiedy jest nasza? Może wtedy, kiedy biją naszych i karku trzeba nadstawić za przyjaciół, a przyjaciele nie unikają starcia i walczą za ciebie.



Afganistan na czterech kołach

Za tę operację kilka miesięcy później zostałem odznaczony Orderem Krzyża Wojskowego, który otrzymuje się, jak to napisano, „za śmiały czyn bojowy albo osobiste męstwo w akcji bojowej”. W żadnej z tamtych chwil nie czułem, że robię coś ponad to, co uważam, że należy. Uważam, że każdy z nas podczas tamtej operacji wykazał się męstwem i był śmiały w boju, do tej roboty zostaliśmy wyselekcjonowani, a następnie wyszkoleni. Ale już tak jest, że do boju wysyłane są tysiące, a odznaczeniami honoruje się jednostki. Order Krzyża Wojskowego nadaje i wręcza Prezydent Rzeczypospolitej Polskiej, tak napisano na oficjalnej stronie kapituły do spraw Orderu. Niestety, prezydent Bronisław Komorowski nie miał czasu się z nami spotkać podczas wręczenia. W tym samym dniu wraz ze mną otrzymało krzyże jeszcze kilku naszych chłopaków. Zresztą kolejny prezydent, Lech Kaczyński, w dniu, w którym otrzymywałem Krzyż Komandorski Orderu Krzyża Wojskowego, też nie miał czasu, jak nam to przekazał minister Szczygło, były inne ważniejsze dla bezpieczeństwa państwa sprawy. A następnie na prośbę prezydenta wręczył nam medale w jego imieniu. Czytając wspomnienia Andy’ego McNaba w książce *Bravo Two Zero*, zauważyłem, że inaczej wyglądają takie uroczystości w Wielkiej Brytanii, choć robota ta sama. No, ale oni mają królową, która ma czas i zaprasza na uroczystość z całymi rodzinami.



Litewska czapczka to prezent i pamiątka po wspólnej operacji

Zdarzyło się natomiast coś dużo bardziej przyjemnego, niż wypicie z ministrem Szczygło kawy z porcelanowej zastawy wzorowanej na przedwojennej oraz opowieść o tym, jak to marszałek Józef Piłsudski sam nalewał kawę tym, którym wręczał Order Wojenny Virtuti Militari, więc tym zwyczajem teraz minister nam ją serwuje.

Kilka dni po operacji do naszej bichaty zapukało dwóch Litwinów, by pogadać. Spytałem ich, co trzeba, i usłyszałem w odpowiedzi: „Wiemy, że się powoli pakujecie”. Tak po prostu przyszli się pożegnać i podziękować za wspólną robotę, tę tam na pieszym patrolu, na tej pieprzonej górze. Powiedzieli, że bez tego kolejny raz... a dzięki temu, że tam poszedłem, było inaczej. Cholera, miło się zrobiło, niepotrzebni prezydenci i królowe, myślę, że większej nagrody, większego uznania dla żołnierza nie ma niż uznanie wyrażone ustami innego żołnierza i jego uścisk. Czuję satysfakcję wraz ze wspomnieniem tamtej chwili, to taka osobista duma. To uczucie przypomina mi poranna kawa pita z kubka, na którym widnieje płonący na sztorc litewski miecz. Czasami od święta chodzę w czapczce ze znakiem litewskich wojsk, a mając w kolekcji naszywkę litewskiego zespołu bojowego, wiem, że dostałem od nich to, co mieli najcenniejszego. Zyskałem przyjaciół.



Pijąc z tego kubka mam ciarki, ale nie od smaku kawy, a przez wspomnienie tamtego afgańskiego dnia naszej, nie naszej wojny

Epilog

Studiując historię Afganistanu, szybko doszedłem do wniosku, że my jako kraj, Polska, wcale nie mamy aż tak bardzo pokręconych losów. Podczas każdej z naszych wojen raczej wiadomo było, o co się bijemy: o wolność, żyzne tereny, bogactwa i wpływy. Myśląc o Afganistanie, mam refleksję, że bito się tam tylko o wpływy – to oczywiście tylko mój subiektywny osąd. Żaden z sąsiadów nigdy niczego nie musiał Afganistanowi zazdrościć, przez wieki ten kraj pozostawał ostatnim w regionie bez namacalnych wpływów dwóch wielkich mocarstw, Rosji i Wielkiej Brytanii. Wymyślono nawet termin na określenie rywalizacji między Imperium Brytyjskim a Imperium Rosyjskim w XIX wieku o wpływy na Bliskim Wschodzie i w Azji Środkowej: „Wielka gra”. XIX-wieczny karykaturzysta przedstawił afgańskiego emira Szer Alego pomiędzy niedźwiedziem (Rosja) i lwem (Wielka Brytania), podpisując rysunek słowami „Chroń mnie przed przyjaciółmi”. Tak właśnie patrzę dziś na Afganistan, wielu by chciało mieć tam wpływy, ale nie dbając o prowincję i ludzi, a jedynie mając władzę nad stolicą.

Afganistan to naprawdę bardzo trudne do życia miejsce, widziałem w nim ciężko pracujących ludzi, walczących o każde źdźbło rosnącego zboża. Jeżdżąc, o ile to było możliwe, omijaliśmy rolnicze poletka, starając się nie niszczyć niczego. Religia i kultura Afganistanu to mozaika nie do ułożenia, której nie da się zamknąć w definicji narodu, wyznania. Ludzie z jednej strony gór nie mają świadomości istnienia tych żyjących tysiąc kilometrów od nich, a przecież żyją w jednym państwie. Liczba mieszkańców Afganistanu w 2012 roku wynosiła 33,4 milionów, a w 1950 roku było ich jedynie 8,15 miliona. Główne skupiska mieszkalne to kotliny śródgórskie i oazy na obszarach północno-wschodniej części kraju, tereny wysokogórskie na północy i półpustynne na południowym zachodzie są prawie bezludne. Około 2 miliony mieszkańców to koczownicy. Ponad 3 miliony osób przebywa na emigracji, głównie w Pakistanie i Iranie. Tylko 28% ludności mieszka w miastach. Poziom życia ludności i jej zdrowotność należą do najniższych na świecie; powszechnym zjawiskiem jest analfabetyzm, bo aż 62,9%.

Afganistan znalazł się w centrum politycznej uwagi, bo pozostawiony bez pomocy z zewnątrz po 10-letniej wojnie domowej, którą urządzili tam Rosjanie, stał się bazą terrorystów. Tak, USA i ich wyrzutnie Stinger pomogły wygonić Ruskich, ale wygranie wojny nie kończy się w dniu parady. Aby żyć i się utrzymać, trzeba jeść, ubrać się i mieszkać. Pozostawiony przez Zachód na pastwę losu, skazany na biedę Afganistan, by przetrwać, pozwolił stworzyć na swoim terenie, jak się okazało, śmiertelne zagrożenie w postaci Al-Kaidy. Gospodarka Afganistanu należy do najsłabszych na świecie. PKB wyniósł 20,84 miliardów dolarów, czyli 1900 dolarów na 1 mieszkańca (dla porównania – w Polsce to 15 692), z czego 24% dostarczyło rolnictwo, 21% przemysł, a pozostałe 55% – usługi. Więc nie ma się co dziwić, że to, co zakazane jest tam dozwolone, na czymś trzeba było zarabiać. Kolejne wojny domowe, które przysły po 1989 roku, wygrali ekstremistyczni talibowie, którzy w 1996 roku stworzyli Islamski Emirat Afganistanu. Ich rządy po zamachach z 11 września 2001 roku zakończyły się interwencją NATO (w tym samym roku). Byliśmy w Afganistanie przez dwadzieścia kolejnych lat. 31 sierpnia 2021 roku ponownie talibowie ogłosili niepodległość Afganistanu, a kraj po raz kolejny został pozostawiony w biedzie.

Międzynarodowe Siły Wsparcia Bezpieczeństwa (ISAF) zostały ustanowione w 2001 roku. Zabiegały o nie Stany Zjednoczone, ich prezydent dzwonił i rozmawiał z wieloma przywódcami świata, by wsparli USA, tworząc wojska operacyjne złożone z sił zbrojnych państw członkowskich NATO. Wojska te miały na celu utrzymanie stabilizacji pokoju w Afganistanie. Po dwudziestu latach naszego stacjonowania, po tygodniach i miesiącach walki, po ofierze złożonej z cywili i żołnierzy, moi następcy z jednostki GROM już tam nie walczyli, a uczestniczyli w ewakuacji ponad tysiąca osób, obywateli państw sojuszników oraz współpracujących obywateli Afganistanu podczas chaotycznego wycofania się misji ISAF z tego kraju. Czy ktoś słyszał, by w 2021 roku prezydent USA dzwonił i pytał przywódców uczestniczących w operacji ISAF o to, czy możemy się stamtąd wycofać? Czy raczej jednostronnie podjął decyzję, ogłaszając to bez międzynarodowej konsultacji? Nie przypominam sobie, by nasi politycy mocno nad tym debatowali i aby którykolwiek wysłał notę z zapytaniem: jak to tak, czy osiągnęliśmy nasze cele? Co z poświęceniem naszych żołnierzy?

W Afganistanie zginęło 44 polskich żołnierzy, 361 zostało rannych, a poszkodowanych łącznie było aż 869 żołnierzy i pracowników wojska. Podczas tej wojny, według oficjalnych danych, zginęło około 62 tysiące afgańskich żołnierzy, 2420 Amerykanów, 456 Brytyjczyków, 159 Kanadyjczyków, 89 Francuzów, 62 Niemców, 53 Włochów i innych. Zginęło 60 tysięcy rebeliantów i tysiące cywili. Co mamy my po tej wojnie? Czy nasze żołnierskie poświęcenie było słuszne? Było warto? Co się zmieniło w Afganistanie?

Polityk, jaki i gdzie by nie był, po wojnie mówi zazwyczaj tak, jak nasz prezydent Duda:

„Składam hołd wszystkim naszym poległym żołnierzom, wszystkim rannym”, i ocenia zakończoną wojnę. Mając na sobie czysty, niezakurzony od pustynnego piasku garnitur, mówi z przekonaniem, że misja w Afganistanie była jedną z najtrudniejszych w dziejach Wojska Polskiego w czasach pokoju, potem poprosi zgromadzonych o uczczenie minutą ciszy wszystkich tych, którzy polegli w Afganistanie, i składa hołd zmarłym żołnierzom, rannym i poszkodowanym oraz wyrazi współczucia najbliższym.

„Dziękuję wszystkim oficerom, żołnierzom i pracownikom wojska, którzy wykonywali naszą misję w Afganistanie od samego początku przez cały czas naszej obecności tam. Z całego serca w imieniu Rzeczypospolitej dziękuję, żeście nas tam z męstwem i odpowiedzialnością reprezentowali, budując zarazem dobrą opinię o naszym kraju i naszych żołnierzach. Dziękuję za każdy dzień służby, który został tam zrealizowany dla Rzeczypospolitej”.

Serio, tyle mamy do powiedzenia po pozostawieniu Afganistanu samemu sobie? Tyle mamy do powiedzenia inwalidom wojennym, weteranom, wdowom i sierotom? A co z tymi, którzy tam zostali, co z Afgańczykami, którzy chcieli żyć w innym niż talibskie państwie, tylko nie byli jeszcze na to gotowi? Co z współpracownikami, wojskiem i policją? Afgańczycy, moim zdaniem, potrzebowali tam tylko nadzoru i wsparcia międzynarodowego. Pozostawieni sami sobie rozbiegli się do domów, do wiosek. Kto swój, kto obcy? W miejscach, w których byłem, za dnia jest się policjantem, po zmroku sobą, tak tam się żyje i trzeba to zaakceptować, a nie opuszczać ten kraj z podkulonym ogonem i bezczelnie opowiadać międzynarodowej opinii publicznej historyjki o budowaniu pokoju, poświęcając życie swoich obywateli.

Pomysł z ewakuowaniem Afgańczyków do Europy czy Ameryki uważam za całkowicie chybiony. Oczywiście są Afgańczycy potrafiący żyć w naszym zachodnim stylu, ale jest to mniejszość. Tę różnicę można zobaczyć na podstawie obecnej sytuacji. 350-tysięczne afgańskie wojsko i tysiące policji poddały się w tydzień 60 tysiącom talibów. Mała w stosunku do Rosji Ukraina walczy o każdy centymetr swojego kraju z dużo większym i groźniejszym przeciwnikiem. To porównanie pokazuje po to, by łatwiej było zrozumieć, jak bardzo różnimy się my tu, w Europie, od ludzi mieszkających w tym górzystym kraju zwanym Afganistanem.

Kończąc epilog, zwrócę się do Was, Czytelników, jak do wyborców. Uważajcie, proszę, na kogo głosujecie, bo to nie żołnierze wywołują wojny, tylko politycy, ale to żołnierze walczą, za to wy, jako cywile, statystycznie najczęściej giniecie podczas wojny, giniecie, bo zagłosowaliście na polityków, którzy wywołują wojny.

W trakcie wycofywania się misji ISAF, ale przede wszystkim amerykańskich wojsk, z Afganistanu, największą wrzawę i oburzenie na świecie podnieśli amerykańscy weterani, szeregowi, sierżanci i oficerowie, którzy głośno domagali się od prezydenta Bidena odpowiedzi na temat uzyskanych w Afganistanie celów. Pytali o swoje poświęcenie, o ofiarę złożoną z życia żołnierzy, o rannych, pytali wprost o słuszność tej decyzji. A co nasi politycy mają do powiedzenia po 20 latach pobytu w Afganistanie? Co odpowiedzą nam, żołnierzom? Czy ktoś dba o nasze interesy, czy ktoś reprezentuje w rządzie, w polityce służby mundurowe i wojsko? Czy raczej nadal polski żołnierz i policjant, służąc, jest wyłącznie sługą, niemającym prawa nawet zadać pytania o sens wojny? A po robocie słyszymy o męstwie w imię politycznej zachcianki...